



SEMPER FIDELIS

PL ISSN 0866-9414

WRZESIEŃ - PAŹDZIERNIK
1995

5 (28) 1995

PISMO TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO—WSCHODNICH • WROCŁAW



DANUTA NESPIAK Znasz li ten kraj?	2
JERZY MASIOR CORSO – dyskretna uczuć	2
WŁADYSŁAW FILAR Zbrodnica działalność OUN—UPA przeciwko ludności polskiej na Wołyniu w latach 1942—1944.	3
WŁADYSŁAW ŚLEDZIŃSKI Oddziały Leśne Armii Krajowej Obszaru Lwowskiego	6
JAN KIELANOWSKI Czerwcowe egzekucje w lwowskich więzieniach	7
STANISŁAW MITRASZEWSKI Komunikat Rady Naczelnej Federacji Organizacji Kresowych	8
Ks. JÓZEF WOŁCZAŃSKI Arcybiskup metropolita lwowski Bolesław Twardowski (cd.)	9
SZCZEPAN ŚWIĄTEK Wspomnienia lwowskiego bankowca	12
IZABELLA CZERMAKOWA Dom na Krasuczynie (c.d.)	13
LUDWIKA CASTORI-DĄBROWSKA Moi kochankowie	15
ZBIGNIEW HIRNLE Huculska <i>tlaka</i>	18
DANUTA FAKOWSKA Wycieczka na Huculszczyznę	19
ANGELA SOŁTYS Kolekcja z Podhorzec w zbiorach Muzeum Okręgowego w Tarnowie	20
MIECZYSLAW BUZIEWICZ Pamięci Żydów Galicyjskich	22
IWAN MONOLATY Bezimiennie mogiły polskie na cmentarzu kołomyjskim	26
EUGENIUSZ TUZOW-LUBAŃSKI Polemika z Bogdaną Horyniem	26
BRONISŁAW SZEREMETA Odpowiedź na list profesora Jerzego Węgierskiego	27
JANINA AUGUSTYN-PUZIEWICZ P. Dr. Jerzemu Masiorowi odpowiedź na Pytanie w SF nr 27	28
REDAKCJA Cracovia — Leopoldis	29
LESZEK SAWICKI Książki o Lwowie — Lwów w książkach	29
JANUSZ WASYLKOWSKI W lwowskiej katedrze	30
REDAKCJA Uroczystość w Głubczycach — 11 czerwca 1995 r.	30
ZBIGNIEW GRATA Brodzianie znowu razem	31
Listy do Redakcji	32
HALINA MĘDREK Polskie dzieci z Ukrainy na obozie harcerskim w Sobótce k. Wrocławia	33
Harcerstwo we Lwowie	33
Z ŻAŁOBNEJ KARTY Profesor dr Andrzej Alexiewicz, Jerzy Michotek, Artur Leinwand, Józef Bobrowski	35

Fot. na okładce: Grupa młodzieży z IV L.O. w Nowym Sączu w westybulu UJK we Lwowie. 2.V.1995.
Fot. B.Skut

<i>Redaguje Kolegium w składzie:</i>	Krzysztof BULZACKI, Wiesława JELEŃSKA-HOMBEK, Andrzej KAMIŃSKI, Danuta KOTOWICZ, Danuta NESPIAK, Zdzisław OJRZYŃSKI, Jerzy PETRYŃSKI, Leszek SAWICKI, Danuta ŚLIWIŃSKA, Danuta TABIŃSKA-JUHASZ, Jan ZIEMBICKI
<i>Redakcja:</i>	Zdzisław OJRZYŃSKI (red. naczelny), Jerzy PETRYŃSKI
<i>Redakcja techniczna:</i>	Romuald LAZAROWICZ, Małgorzata WANKE-JAKUBOWSKA, Maria WANKE-JERIE
<i>Adres Redakcji:</i>	Zarząd Główny Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, 50-079 Wrocław, ul. Rуска 32/33 I p., skr. poczt. 1042 Wrocław 2, tel. 44-88-93
<i>Wydawca:</i>	Fundacja Kresowa „SEMPER FIDELIS” — PKO IV O/Wrocław Nr 93549-10012-132-3
<i>Prezes Fundacji:</i>	Danuta TABIŃSKA-JUHASZ

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca. W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów oraz poprawek stylistyczno-językowych.

*Znasz li ten kraj?
Gdzie tradycja umiera
fatszywy blask
zwodnicze złoci słowa
Gdzie wieńcem laur
miedziane zdoobi czoła
Gdzie buja chwast
z Canossy nikt nie woła*

Znasz li ten kraj?

DANUTA NESPIAK

Niech mi Wieszczy Mickiewicz wybaczy tę parafrazę. Jej tytuł winien brzmieć — Znasz li tę Polskę? — państwo, gdzie alkoholizm niszczy podstawową tkankę społeczną — rodzinę, a potężni protektorzy roztaczają parasol ochronny nad mniejszościami seksualnymi, państwo gdzie rozkwit demokracji zaowocował utworzeniem ponad 270 partii! Oczywiście, wiele z nich to partie „kanapowe”, niektóre chwalą się wydumanymi statystykami (np. 300 profesorami w składzie członków), wszystkie mówią o reformach, a dobre samopoczucie monarchistów proponuje nie elekcję lecz dziedziczość tronu w Polsce. Tylko gdzie szukać Piastów i Jagiellonów. A już kłopot byłby z damami dworu przyszej królowej, bo zaprotestowałyby pewnie polskie feministki, bo cóż to za zawód dla wyzwolonej kobiety. Żarty żartami, a sytuacja w Polsce jest niepokojąco — interesująca. Poseł J. Kuroń — jedyna rozumna i słuszna kandydatura na prezydenta — jak sądzi A. Szczypiorski, wykreowany na autorytet moralny przez mass-media (zob. jego artykuł w „Gazecie Wyborczej” z 12.IX. br.) rzadko używa słowa Polska, tylko kraj. Poseł Kuroń odbył na Dolnym Śląsku kilka spotkań w ramach swojej kampanii. W Wałbrzychu (11.IX.br) mówił m.in., że musimy pomóc ludziom budować kraj, by mogli być jego dziećmi, a nie sierotami. Te odkrywcze słowa pewnie wzruszą jego sympatyków wierzących, że jest on mężem opatrnościowym dla Polski, mnie jednak poseł Kuroń kojarzy się z czerwonym harcerstwem, amerykańskimi dzinsami i radością z ukraińskiego Lwowa.

A propos tego miasta: 10.IX. br. główne wiadomości TV przekazały smutną wiadomość o Lwowie. Wali się tam piękny zespół staromiejski. Patrycjuszowskie kamienice pozbawiane od 1939 r. przez kolejnych okupantów konserwatorskiej troski i opieki skazane są na śmierć techniczną, o ile nie przyjdzie ratunek. Skąd? Kogo ten fakt w Europie obchodzi — przecież pomocy oczekuje Wenecja, zniszczony został Mostar, uszkodzony Dubrownik. Ale w b. Jugosławii trwa wojna, a w tym wypadku zaczyna umierać piękne zabytkowe miasto w państwie nie uczestniczącym w żadnym konflikcie militarnym. A więc znowu skojarzenia — czy sytuacja by tak wyglądała, gdyby nie Jałta? Gdyby nie bolszewicki okupant, który jałtańską zdobycz pozostawił po latach innemu państwu. Niełatwa i tragiczna historia Ukrainy i jej rdzenna rusko-kijowska kultura związana jest z wielkim dziedzictwem prawosławno-bizantyjskim. A tymczasem we Lwowie popada w ruinę renesans i barok, zrujnowana jest również lwowska secesja. Całe to dziedzictwo architektury świeckiej nie należy wskazać do kręgu rusko-bizantyjskiego. Na jego waloryzację potrzebne są ogromne nakłady. Właściwie gdyby się uwzględniło całą infrastrukturę starego miasta, to dla ocalenia Lwowa potrzebna jest pomoc międzynarodowa. Tylko że ten postulat jest utopijny. Można jeszcze indywidualną troską i finansowym wsparciem uratować polski zabytkowy grobowiec na Cmentarzu Łyczakowskim — ale nie można w ten sposób rewaloryzować np. kamienicy Bandinellich w Rynku.

Dla naszych Europejczyków napewno bardziej „poprawne politycznie” było znane oświadczenie posła Kuronia o radości z ukraińskiego Lwowa niż, broń Boże, ewentualna uwaga, że zagrożone w jego rodzinnym mieście jest dziedzictwo kultury — zabytkowa architektura, z całym otoczeniem katedry ormiańskiej na czele.

W dniu pobytu kandydata posła Kuronia w Wałbrzychu, rozpoczął się w Warszawie XI Światowy Kongres Stowarzyszenia Uczestników Lotów Kosmicznych. Otworzył go gen. brygady Mirosław Hermaszewski. Znowu skojarzenia kresowe. Wołyń, pow. Kostopol, gmina Bereźno, wieś Lipniki. 25.III.1943 r. banderowcy wymordowali 170 polskich mieszkańców tej wsi (zob. Zbrodnie nacjonalistów ukraińskich dokonane na ludności polskiej na Wołyniu 1939–1945. Oprac. J. Turowski, W. Siemaszko, W-wa 1990, s. 30). Roman Hermaszewski, ojciec kosmonauty, zorganizował ucieczkę Polaków w Lipnikach w stronę kolonii Police. Wśród uciekających była jego żona z siedmiorgiem dzieci. Najmłodszy, półtoraroczny Mirosław, zawinięty w koc, wypadł z rąk matki, gdy banderowcy przestrelili jej ucho i straciła przytomność. Nazajutrz po napaści znaleziono dziecko całe i zdrowe na polu. Wśród zamordowanych był dziadek chłopca, Sylwester Hermaszewski (zakłuli go nożem). Wieś Lipniki spalono doszczętnie. Rodzina Hermaszewskich znalazła przytułek na plebanii przy kościele w Bereźnie u ks. Mieczysława Rossowskiego, gdzie mieszkała półtora roku. 14.VIII.1943 r. Roman Hermaszewski ze szwagrem Edmundem Bielawskim wybrali się do kolonii Police celem sprawdzenia, czy coś z niej pozostało. Padł zdradziecki strzał. Ciężko ranny ojciec Mirosława Hermaszewskiego zmarł po dwóch tygodniach. Uniknąwszy cudem wywozu na roboty do Niemiec, młoda wdowa Kamila z Bielawskich Hermaszewska z siedmiorgiem osieroconych dzieci w ramach „repatriacji” wyjechała do Polski. W Polsce powstanie Centrum Spotkań Ocalonych z Holocaustu. Przy tej okazji — może wreszcie opinia publiczna w Polsce i poza jej granicami zostanie poinformowana, że właśnie przedstawiciele narodu obwinianego z uporem o antysemityzm uratowali najwięcej Żydów, których najliczniejsze skupiska zamieszkiwały kresy wschodnie. Tam, na ich południowych obszarach rozegrał się drugi holocaust wołyńsko-małopolski którego ofiarą masową byli Polacy (Żydzi w indywidualnych wypadkach), a zastosiwała go UPA. Stwarzając równe szanse dla wszystkich obywateli polskich ocalonych z akcji ludobójczych należałoby również utworzyć Centrum Spotkań Ocalałych z holocaustu wołyńsko-małopolskiego. Póki jeszcze żyją świadkowie i póki „Gazeta Wyborcza” i nasi Europejczycy nie wmówią społeczeństwu, że AK = UPA, a mordy na Wołyniu miały swoją przyczynę w błędach polityki II RP względem mniejszości ukraińskiej, oraz że na Zachodniej Ukrainie w okresie 1942–45 miały miejsce tylko epizodyczne działania UPA. A w ogóle przeszłość należy zostawić historykom, zachować tolerancję wobec faktu postawienia kilku pomników UPA na „Zakerzonii”, przeprosić za akcję Wisła i bić się w piersi za własne winy. Ot, choćby za to, że spolonizowali Litwinów i rząd litewski ma teraz kłopoty, gdyż powstał Związek Polaków na Litwie. Mając perspektywę wejścia do Europy (ciekawe na jakim kontynencie biegły dzieje Polski od 966 roku?) musimy być przede wszystkim jako obywatele III RP, państwa demokratycznego, ale rządzonego nadal przez fachowców z rodowodami PZPR-owskimi, bardzo tolerancyjni i poprawni politycznie. Wstępem do dobrych obyczajów publicznych w tym kraju, tak aby przeszłość nie ciążyła nad teraźniejszością, ma być powszechne pojednanie, jak zaproponował w swoim organie prasowym czołowy Europejczyk, redaktor naczelny „Gazety Wyborczej” A. Michnik z p. posłem W. Cimoszewiczem. Oczywiście obaj panowie już w „Europie są”, nie są tylko ci, którzy domagają się prawdy o FOZZie, aferze alkoholowej, sprawiedliwych wyroków na zabójców górników w kopalni „Wujek”, osądzenia Humera i jemu podobnych, a w ogóle są przeciwni pogrubieniu grubej kreski Mazowieckiego.

W myśl tej propozycji wypadałoby też pojednać się z tymi, którzy dziś wyznają społeczną naukę Kościoła, w oświadczeniach piszą: „tak mi dopomóż Bóg”, głośno wołają o obronę Kresów, choć elementarna uczciwość wymaga, by naprzód publicznie odwołali marksistowsko-leninowskie płody swego pióra, a ci z temperamentem i mentalnością sekretarzy POP-u pozbyli się chęci reprezentowania środowisk kresowych i niepodległościowych w parlamencie. Inaczej znowu będzie *da capo al fine* — czyli repetycja.

CORSO

– dyskrekcja uczuć

JERZY MASIOR

Lwowskie Corso nie było hałaśliwe, jaskrawe, buńczuczne. Mimo uwikłania w śródmieście, pory roku przydawały mu swoich najweselszych barw, bo zieleni nie brakowało na tej niezbyt przydługiej ulicy — skwerze. Dziwnie przestrzenna jak na środek miasta była tu perspektywa dla wiosennych zmierzchów, jesiennych negliżów topoli i roziskrzonego, srebrzystego bezruchu, gdy pierwszy śnieg... A zimy, jak pamiętamy, były we Lwowie i śnieżne, i mroźne. Moja córka, która jest malarką wędrując Corsem, bo jakżeż nie wędrować z ojcem jego niegdyśjszymi, utartymi ścieżkami — zauważyła: tu tyle powietrza. Otworzyła mi oczy na coś dotychczas nieokreślonego: tak, rzeczywiście przestrzennie i szeroko na tym naszym Corsie bywało zawsze i jest chyba do dziś, bo obserwacja córki zaledwie sprzed kilku lat. To jest paradoks ulicy Akademickiej: trakt śródmiejski, nie za długi, trochę poszerzony, bo o dwóch jezdniach promenadą topolową oddzielonych, o perspektywach zamkniętych u wylotów sporymi kamienicami, a jednak taki „powietrzny”, jakby unoszący się ponad substancją miasta. Corso zawsze było bliskie lwowskim obłokom. Podobnie jak Wysoki Zamek, jak Cytadela. Ten ulotny charakter małej, miejskiej przestrzeni, jej wspomniana już „powietrzność” powodowały i powodują chyba do dziś u wrażliwszych na miejskie piękno bywalców i okazjonalnych przechodniów jakieś nienazwane wzburzenie, zachłanność przestrzeni, skrzącą bystrość wzroku, oszczędność słów. To wszystko dzieje się tam w głębokiej podświadomości, a odczytuje po chwilach refleksji, niekiedy nawet po latach.

Szukając lapidarnego określenia na taki stan ducha, a potrosze i ciała, można by go nazwać, choć niezbyt precyzyjnie — dyskrecją uczuć. Czymże ona jest? Świadomym, zamierzonym, wykoncypowanym (albo i nie) dla jakichś tam powodów ukrywaniem wzruszeń, cisnących się na usta słów, tłumionego objaśniania świata. Dyskrekcja uczuć jest wartością samą dla siebie. Z reguły i z natury hermetyczną, nierzadko spontaniczną. Natury wrażliwe sięgają po nią jak po coś niezbywalnego w określonych okolicznościach. Ludziom z grubsza ciosanym stan taki również się przydarza, często jako hamowanie wszystkiego co dotychczas. Czasy hałaśliwe ludźmi i mediami wyzbyły się pod koniec naszego wieku dość skutecznie intymności i zacisza. Prym tutaj dzierży młodzież. Wszystko co wymyśli, bądź dla niej wymyślono, obraca się przeciwko ciszy, przeciwko ładowi w czasie i przestrzeni.

Oczywiście to, co napisałem jest sporym uogólnieniem, ale konsumpcja świata w naszych czasach jest taka jaka jest i jakoś nic na to poradzić nie możemy, że wnętrza nam pustoszeją, że przyspieszanie rytmu serca wtedy jest coś warte, gdy wszyscy to słyszą i widzą. Trzeba jeszcze dodać że funkcjonuje jakieś zbiorowe samopodniecanie, że ludzie poszukują grup i miejsc, by strząsać z siebie to, co dotychczas ukryte, co ciężkie do udźwignięcia. Takie zachowanie jest modne, choć to zbyt duże uogólnienie. Socjologiczne przyczyny społecznego zachowania się homo sapiens doby współczesnej sięgają znacznie głębiej, mają dużą różnorodność uwarunkowań.

Ala powróćmy na Corso, bo powroty to nasza specjalność. Tam przenigdy nie było hałasu. Milieu tej ulicy — promenady, mimo jej architektonicznej jakby teatralności skłaniającej do wylewności zachowań, a nawet przekłamywania uczuć, nigdy

*Corso, Corso — blond warkocze
i spojrzenia, tylko spojrzenia,
zapamiętany kolor oczu,
a wciąż nie znam twego imienia.
I ta sama zawsze godzina;
ty nadchodzisz,
coś się zaczyna.*

wielkomiejskiego zgielku nie oferowało. Bale w Kasynie Literackim, czy w Izbie Przemysłowo-Handlowej, bo w tych gmachach najczęściej i najelegantsze takowe we Lwowie tamtych lat bywały, balowym szumem ulicy nie sięgały, zamykając urodę chwili w murach dostojnych, lwowskich kamienic i sal. Wystawy Zalewskiego w czasie przedmikołajowym powodowały zbiegowisko najmłodszych, ale tu natychmiast wyciszonych. Po prostu dech zapierało od czekoladowo-marcepanowych cudów.

Akademicka i jej Corso zostały dostatecznie i szczegółowo opisane przez wyśmienitych lwowskich autorów i nie mnie silić się na nowości i kompilacje w ukazywaniu wspaniałości tej lwowskiej, choć w zamyśle i materii galicyjskiej ulicy. Moja obecność na Corso zaczęła się od przekroczenia murów gimnazjalnych. Wraz z granatowym mundurkiem i tarczą z cyfrą „560”, co oznaczało, że jest uczniem II Budy na Podwalu, nabywałem prawa i nawet niejakiego obowiązku „bywania” na Corsie, co w owych czasach należało do szkolnego rytuału, którego należało przestrzegać, chociażby dla jakiegoś obowiązującego, nigdzie nie zapisanego fasonu. Było w owym czasie jeszcze kilka innych zachowań uczniowskich, ale te nie funkcjonowały w panoramie Corso, więc je tutaj pomijam.

Wciskaliśmy się w uliczną przestrzeń, wessani jak woda w gąbkę, bo fascynacje dla nas bywały tam niebywałe i jakby... skondensowane. Wkraczaliśmy wszak w wiek „męski”. Gdzieś tam kielkowało zainteresowanie dziewczętami, a te właśnie zbiegały się na Corsie. Była po temu ustalona tradycja pora jak i rytuał przechadzania się tam i z powrotem, aż do blasku zapalanych latarni. Najniższe klasy gimnazjum, prócz rozpoczęcia nauki niemieckiego, łaciny i czegoś tam jeszcze nowego, były także inicjacją wiedzy o dziewczętach. A wiedzę tę tworzyła mieszanina faktów i przecinań. Funkcjonowała zbiorowa i indywidualna wymiana rzeczywistości i fantazji. Z nieufnością przyjmowaliśmy proponowane nam przez dom i szkołę normy zachowań. Corso było magnesem budzącego się instynktu. Gimnazjaliści nie byli tu jedynymi; pojawiali się licznie przyodziani w licealną dostojność ci z czerwonymi wypustkami na rękawach, kadeci, co młodszy oficerowie i podchorążowie. Korporanckich czapek także nie brakowało. Wieczornemu spacerowaniu towarzyszył niezmienny rytuał: nie pojawialiśmy się na Corsie wcześniej jak przed zmierzchem, a w niedzielę w południe, po dwunastówce. Wieczór pod każdą szerokością geograficzną sprzyja budzeniu się uczuć, tam zaistniało miejsce na ich rozkwitanie. Nieśmiały, dyskretny, ale zawsze... Obnosiliśmy się z wybystrzonymi oczyma po prawej i tylko po prawej stronie ulicy, z ciekawością wypatrując dziewcząt, które przecież nie ukrywały, że im nasze nimi zainteresowanie przypada do gustu, że one po to tu są. Wzajemna demonstracja miała swoje gradacje, metody i stopnie wtajemniczenia: wymagała czasu, cierpliwości i umiejętności ponuszania się w klimacie tej tu mikroprzestrzeni ulicznej. Od nowego Sprechera do placu Fredry.

Była więc ulica Akademicka mojego czasu promenadą młodzieży. We Lwowie istniało po kilkanaście gimnazjów i liceów żeńskich i męskich. Dziewczęta różniły się krojem i barwą mundurka, a także kolorem tasiemek na kołnierzu bluzy marynarskiego kroju. W szeregach „męskich” takich różnic nie było, za wyjątkiem czapek Kistryniaków, jakoś przez nas niezbyt przychylnie

Corsie to pojedyncze egzemplarze, bo w Korpusie obowiązywały przepustki. Najczęściej zapraszani na szkolne bale, emablowani wszędzie i zawsze. Cóż, żyliśmy w czasach, gdy „za mundurem panny sznurem”. Studentów Uniwersytetu, Politechniki i innych szkół wyższych rozpoznawano po barwie aksamitnych czapek, lub korporacyjnym na nich hafcie. Oni i młodzi oficerowie to na Corsie paniska. Ich cele i taktyka obecności w tym miejscu dość wyraźnie różniły się od naszych, uczniowskich. Chodziliśmy najchętniej gromadnie i wspólnie umizgiwaliśmy się do obiektów naszych zainteresowań, bądź też kolegiennie je oceniali. Te oceny pozostawały zazwyczaj bez następstw. Rzadko bowiem zdarzało się, że odważniejszy „przystąpił” do rozchichotanych, ale spłoszonych odwagą chłopaka — dziewcząt. Wobec natręta zachowywały się one zdecydowanie i jakby programowo zniechęcająco: do zawarcia znajomości nie dochodziło. Zresztą i nie taki był cel naszej ulicznej włóczęgi po Akademickiej. Tam nic się nie musiało stać, lub spełnić. Wszak nawiązywanie bliższych znajomości przez młodych ludzi na ulicy do dobrych obyczajów wówczas nie należało. A skoro już, to fakt taki kończył na jakiś czas spacer po Corsie. Wypadało przecież być konsekwentnym: dotrzymać towarzystwa tej jedynej, a to na dłuższą metę było w naszym wieku nierealne. Zakochanych par na Corsie nie widywało się. Wołały inne okolice, nie wystawione na publiczny ogląd i docinki „życzliwych” kolegów. Młody ludek lwowski pod tym względem nie znał litości: „ciągnął łacha” z niewczesnych amorów ile wlaźło.

Pora powrócić do dyskrekcji uczuć, od której zacząłem. Ich rozbudzanie, ich śmieszna /dziś/ manifestacja właśnie tam, na Corsie była w owym czasie czymś nieuniknionym. Dorastaliśmy w klimacie złudzeń, że od jutra coś się zmieni, że dzisiejszy blask przychylnych oczu pozwoli na odrobinę więcej. Ta odrobina, to odpowiedź na pozdrowienie, poznanie imienia, przyzwolenie na zaczekanie przed szkołą, po lekcjach... Najczęściej były to tylko złudzenia przychylniejszego jutra. Biada więc takiemu, kto nabrał się na mowę oczu. Tak kręcił się młodzieżowy tłumek po ślicznym zakątku Lwowa, nie zdając sobie chyba wówczas sprawy ze szczególności tego miejsca, z jego urody i klimatu, z dyskrekcji rozbudzanych uczuć i pragnień. Taka świadomość przyszła później, nierzadko w konfrontacji z tym, jak to jest dziś. Cenię sobie tamte niespełnione i do końca nieujawnione myśli i pragnienia. Ich bezwiedne ładunki wypełniły mnie. Po to je w sobie nosiłem, by mnie po swojemu i kiedy trzeba kształtowały, podsuwały pomysły, zadawały lekcje do odrobienia. Co roku na Corsie przybywało nowych twarzy, a z nimi świeżych, innych pragnień. Dziś wiem, że tym wieczorom po prawej stronie ulicy zawdzięczam wrażliwość na urodę spojrzeń i ludzkiego uśmiechu, na czułość gestu. Nauczyłem się też potrzeby dyskrekcji uczuć. Wiem, że tylko te najskrytsze bywają prawdziwe.

Nowy Sącz, sierpień 1995

Zbrodnicza działalność OUN—UPA przeciwko ludności polskiej na Wołyniu w latach 1942—1944

Władysław Filar

W drugiej wojnie światowej ludność polska na Wołyniu poniosła duże straty. Pierwsze oznaki nadchodzącej tragedii pojawiły się zaraz po zajęciu Wołynia przez Związek Sowiecki w 1939 r. Władze sowieckie roznieciły wrogi stosunek Ukraińców do „pańskiej” Polski. Miejsce państwowości polskiej zajęła państwowość ukraińska typu sowieckiego. Nastąpiły aresztowania i deportacje Polaków w głąb Związku Sowieckiego. Były to dotkliwe straty, przede wszystkim jakościowe, bowiem objęły najbardziej patriotyczne i zdolne do czynu grupy ludności polskiej. Ale największe straty poniosła ludność polska w wyniku krwawego terroru ze strony nacjonalistów ukraińskich w latach 1942—1944. Szczególnie bolesne były wydarzenia 1943 r., kiedy terror i masowe mordy dokonywane przez oddziały UPA osiągnęły szczyt.

Bez poznania złożonej sytuacji, jaka wytworzyła się wówczas na Wołyniu, i która doprowadziła do głębokiego konfliktu polsko—ukraińskiego, nie sposób jest ocenić rozmiarów tragedii Polaków, nie można także odpowiedzieć na pytanie: kto jest odpowiedzialny za wywołanie tego konfliktu, który w latach 1942—1944 przybrał na Wołyniu tak krwawy charakter.

Wkroczenie Niemców na wschodnie ziemie II RP przyniosło rozwój ukraińskiego ruchu nacjonalistycznego. Nacjonałści ukraińscy, skupieni wokół OUN, z entuzjazmem przyjęli wybuch wojny niemiecko—sowieckiej, licząc na uzyskanie niepodległości Ukrainy. W końcu czerwca i na początku lipca 1941 r., nie czekając na rozporządzenie niemieckich władz wojskowych, OUN organizuje organ administracji ukraińskiej. Powstają rejonowe i powiatowe urzędy, a nawet wojewódzki urząd w Równem. Strategia OUN polegała na organizowaniu t.zw. „grup pochodowych”, które postępując za wojskami niemieckimi tworzyły z miejscowych nacjonalistów administrację terenową.

Od 1942 r. OUN całą swoją energię kieruje na działalność wojskową. Ośrodkami, w jakich prowadzone jest intensywne szkolenie kadr i oddziałów wojskowych są powiaty: Łuck, Dubno, Równe, Włodzimierz Wołyński, Krzemieniec. Powstają pierwsze zbrojne oddziały ukraińskich nacjonalistów. Burzliwy rozwój tych oddziałów nastąpił w marcu 1943 r., kiedy to kilka tysięcy ukraińskich policjantów przeszło do lasu z pełnym uzbrojeniem. Należy w tym miejscu wspomnieć o tym, że formacje tej policji w okresie służby u boku niemieckiego okupanta uczestniczyły w likwidacji Żydów na Wołyniu.

Wiosną 1943 r. na Wołyniu istniały trzy ugrupowania zbrojne nacjonalistów ukraińskich: oddziały „banderowców” formowane pod nazwą Wojskowych Oddziałów OUN S. Bandery, oddziały „melnykowców” występujące pod nazwą Wojskowych Oddziałów płk. A. Melnyka, oraz oddziały „bulbowców” Tarasa Bulby—Borowcia używające nazwy UPA.¹⁾ Począwszy od połowy 1943 r. przewaga Wojskowych Oddziałów OUN S. Bandery stawała się coraz wyraźniejsza. Banderowcy przystąpili o likwidacji innych oddziałów. Podstępem i siłą rozbrajano setki innych ugrupowań i po rozformowaniu wcielano do poszczególnych jednostek banderowskich. Swoich przeciwników likwidowali skrytobójczo przy pomocy utworzonej Służby Bezpieczeństwa. Spotkało to także oddziały UPA Tarasa Bulby. W ten sposób nastąpiło utworzenie jednolitej UPA pod kierownictwem najbardziej agresywnego nacjonalistycznego odłamu OUN—SD.²⁾

O tworzącym się ukraińskim ruchu zbrojnym czytamy w dokumentach niemieckich: „Był to (...) ruch zbrojny, który dążył do utworzenia Ukrainy jako państwa rządzonego przez nacjonalistów i nie związanego z innym państwem. Skierowany był przeciwko władzom i obywatelom tych państw, które zajmowały obszary

etniczne ukraińskie. Wrogiem nr 1 był Związek Sowiecki, nr 2 — Polska, a dopiero na trzecim miejscu wymieniano Niemców.³⁾

Na obszarze Wołynia działały oddziały UPA podporządkowane terytorialnemu dowództwu UPA — „Piwnycz”. Oddziały powyższe zostały organizacyjnie ujęte w trzy Okręgi Wojskowe: I OW „Turiw” (dowódca „Rudyj” — Jurij Stelmaszczuk) obejmujący swoim działaniem rejon Łucka, Włodzimierza Wołyńskiego, Horochowa, Kowla, Kamienia Koszyrskiego, Kobrynia i Brześcia; II OW — „Zahrawa” (dowódca „Dubowyj” — Iwan Łytwynczuk) działający na terenie powiatów: sarnieńskiego, kostopolskiego i pińskiego; III OW „Wołyń — Piwdeń” (dowódca — „Enej” Petro Olijnyk) obejmujący rejon Równego, Zdołbunowa, Dubna, Krzemieńca i Ostroga.⁴⁾

Główną bazą okręgu „Turiw” były Skulińskie Lasy rozciągające się na północny wschód od Kowla. Drugą ważną bazą były lasy Swinarzyńskie położone na wschód od Włodzimierza Wołyńskiego. Ważnym ośrodkiem stały się także Kołki, gdzie powstała szkoła podoficerska, ośrodek szkolenia sanitarnego i inne służby gospodarcze.⁵⁾

Od połowy 1943 r. UPA objęła swoim oddziaływaniem prawie całe społeczeństwo ukraińskie na Wołyniu, szczególnie na wsi. Wszyscy Ukraińcy podlegali bezwzględnemu rozkazowi dowódcy UPA oraz Służby Bezpieczeństwa. We wsiach ukraińskich przystąpiono do systematycznego szkolenia wojskowego młodzieży. Wszystko to odbywało się w warunkach rozkładu niemieckiego systemu okupacyjnego. W terenie szybko następowała samolikwidacja administracji niemieckiej. Utworzone oddziały UPA opanowały znaczne obszary Wołynia i ograniczyły swobodę działania administracji niemieckiej tylko do większych miast oraz głównych szlaków komunikacyjnych. Miejsce administracji niemieckiej zajęła administracja ukraińska podporządkowana OUN—UPA. Wołyń od tego czasu podlegał prowidnykowi OUN i dowódcy UPA w jednej osobie, a był nim „Kłym Sawur”, „Ochrim” (Roman Kłaczkiwskij).

Oprócz oddziałów UPA w terenie działały także bojówki OUN występujące pod nazwą amobronnych Kuszczewych Widdiliw” (SKW). Zasadniczą cechą tych bojowych grup OUN odróżniających je od oddziałów UPA było to, że członkowie tych organizacji mieszkali i pracowali w poszczególnych wioskach jak zwykli cywile” ale na wezwanie swojego dowództwa brali do ręki ukrytą broń, by wykonać wyznaczone zadanie bojowe, po czym rozchodzili się do domów.⁶⁾ Siatka tych bojówek pokryła w 1943 r. cały Wołyń, a następnie także Małopolskę Wschodnią i tereny na zachód od Bugu. SKW umożliwiały szybkie organizowanie zbrojnych akcji przeciwko polskim wioskom i uderzanie na nie z zaskoczenia. Niewielki bowiem pododdział UPA, który zjawiał się w danej wsi, w oparciu o SKW rozrastał się w ciągu jednej nocy w silną jednostkę bojową, i po przeprowadzeniu wyznaczonej akcji członkowie SKW wracali do swoich domowych zajęć, zaś pododdział UPA w swoim pierwotnym składzie mógł łatwo odskokoczyć w bezpieczne miejsce. Dzięki siatce SKW rozbudowany został także sprawny system rozpoznania i powiadamiania, stanowiący dużą pomoc dla oddziałów UPA.

Trudno ustalić, kiedy kierownictwo OUN—SD podjęło decyzję o rozpoczęciu akcji przeciwko ludności polskiej, bowiem dotychczas nie opublikowano w tej sprawie żadnego dokumentu. Ale rozwój wydarzeń na Wołyniu wskazuje, że nastąpiło to pod koniec 1942 r. kiedy późną jesienią we wsiach powiatu krzemienieckiego i dubieńskiego pojawiły się ulotki i napisy nawołujące do mordowania Polaków i rzucające hasło: Ukraina tylko dla Ukraińców. W ślad za tym miały miejsce mordy na pojedynczych osobach i rodzinach polskich. Masowe mordy w tym okresie były jeszcze rzadkością. Pierwszy zbiorowy mord miał miejsce 13 listopada 1942 r. w Obórkach (pow. łucki) którego ofiarą padło 50 osób narodowości polskiej.⁷⁾ Nasilenie wystąpień antypolskich nastąpiło w okresie od stycznia do kwietnia 1943 r. W tym czasie nie

tylko mnożą się zabójstwa pojedynczych osób i rodzin, ale coraz częściej zdarzają się także masowe mordy. Taki bestialski mord miał miejsce 9 lutego 1943 r. w polskiej kolonii Parosle (pow. sarnieński), gdzie zamordowano 173 osoby.⁸⁾

W marcu 1943 r. mają także miejsce silne represje wobec ludności polskiej ze strony niemieckiego okupanta i policji ukraińskiej w służbie niemieckiej. 3 marca żandarmeria niemiecka wspólnie z policją ukraińską dokonała pacyfikacji polskich wsi Borszczówka i Lidawka w gm. Hoszcza, pow. rówieński. W Borszczówce spalono 48 gospodarstw i rozstrzelano przeszło 200 osób, w tym dzieci i kobiety. W Lidawce zamordowano 104 osoby i spalono 29 gospodarstw.⁹⁾ W dniach 18 i 19 marca w dworach, wioskach i osadach gm. Hołoby, pow. kowelski przeprowadzono „czystkę” wśród Polaków mordując 206 osób, w tym dzieci i kobiety.¹⁰⁾ Takich akcji na terenie Wołynia było więcej.

Od maja 1943 r. wystąpiły zorganizowane masowe ataki na wsie polskie, obejmujące teren całego Wołynia. Eksterminacja ludności polskiej rozpoczęła w powiatach: sarnieńskim, kostopolskim, rówieńskim i zdołbunowskim w czerwcu 1943 r. rozszerzyła się na powiaty: dubieński i łucki, w lipcu objęła powiaty: kowelski, włodzimierski i horochowski, a w sierpniu także powiat lubomelski. Szczególnie krwawy był lipiec 1943 r. Oddziały UPA wchodzące w skład północno—zachodniego zgrupowania „Turiw”, przy aktywnym wsparciu ludności ukraińskiej, o świcie 11 lipca 1943 r. otoczyły i zaatakowały uśpione wsie i osady polskie jednocześnie w trzech powiatach: kowelskim, włodzimierskim i horochowskim. Doszło do nieludzkich rzezi i zniszczeń. Ludność polska ginęła od kul, siekier, noży, młotków i innych narzędzi zbrodni — płonęły wsie polskie.

Antypolskie akcje na Wołyniu były prowadzone zgodnie z dyrektywami kierownictwa OUN—SD w sposób zorganizowany, i miały charakter ludobójstwa. W tanej dyrektywie terytorialnego dowództwa UPA — „Piwnycz” podpisanej przez „Kłyma Sawura” (płk Roman Dmytro Kłaczkiwskij) czytamy: „(...) powinniśmy przeprowadzić wielką akcję likwidacji polskiego elementu. Przy wycofywaniu niemieckich wojsk należy wykorzystać ten dogodny moment dla zlikwidowania całej ludności w wieku 16 do 60 lat. Tej bitwy nie możemy przegrać i za każdą cenę trzeba osłabić polskie siły. Leśne wioski położone obok leśnych masuwów powinny zniknąć z powierzchni ziemi.” Wskazania tej dyrektywy w pełni zrealizowały oddziały UPA mordując ludność nie tylko w wieku 16—60 lat ale także dzieci i starców. Jurij Stelmaszczuk „Rudyj”, dowódca I OW „Turiw”, obejmującego swoim działaniem rejon Łucka, Włodzimierza Wołyńskiego i Kowla, pisał do Mykoły Łebedia „Rubana” czołowego działacza kierownictwa OUN—SD: „(...) Drużo „Raban”, zawiadamiam, że w czerwcu dowódca UPA — „Piwnycz” „Kłym Sawur” przekazał mi ustnie tajną dyrektywę w sprawie wyniszczenia ludności polskiej. (...) Dla wykonania tej dyrektywy poleciłem rzetelnie przygotować się do akcji przeciw Polakom i wyznaczyłem odpowiedzialnych do poszczególnych rejonów: kurinnego „Łysoho” na rejon turzyski, „Sosenka” na rejon Owadna i Oździutycz, „Hołotobenka” na rejon kowelski. 24 czerwca 1943 r. Dowódca grupy UPA „Turiw” — „Rudyj”.

Warto w tym miejscu przytoczyć jeszcze jeden dokument świadczący o wykonaniu dyrektywy dowócy UPA — „Piwnycz” z całą bezwzględnością. Otóż we wrześniu 1943 r. dowódca kurenia „Łysy” w sprawozdaniu do kierownictwa OUN donosił: „(...) 29 sierpnia 1943 r. przeprowadziłem akcję we wsiach Wola Ostrowiecka i Ostrowki gowiańskiego rejonu. Zlikwidowałem wszystkich Polaków od małego do starego. Wszystkie budynki spaliłem, mienie i chudobę zabrałem dla potrzeb kurenia.” W wyniku tej akcji we wsi Wola Ostrowiecka zginęło 529 osób, w tym 220 dzieci w wieku do 14 lat, a we wsi Ostrowki zamordowano 438 osób, w tym 246 dzieci do lat 14. W sierpniu 1992 r. dokonano ekshumacji szczątków ludności polskiej w tych miejscowościach, która potwierdziła

masowe mordy dokonane przez UPA.

Dane o zbrodniach nacjonalistów ukraińskich można znaleźć w dokumentach archiwalnych sowieckich i niemieckich. W meldunku sowieckiego oddziału partyzanckiego Szytowa z dnia 30.03.1943 r. znajduje się następujący zapis: „Ukraińscy nacjonałiści przeprowadzili zwierzęcą rozprawę nad bezbronną ludnością polską stawiając sobie zadanie pełnego zniszczenia Polaków na Ukrainie.” I dalej „W rejonie cumańskim wydano polecenie sotniom UPA, aby do 15.04.43 r. zniszczyć wszystkich Polaków i wszystkie miejscowości i osady spalić.”¹¹⁾

Również w sprawozdaniu bojowym zgrupowania sowieckich oddziałów partyzanckich za okres od 19.6. do 18.8.1943 r. czytamy: „Głównym hasłem nacjonalistów ukraińskich w obecnym czasie jest zebranie sił i walka w celu oczyszczenia zajmowanego terytorium z Polaków. Nacjonałiści po zwierzęcemu rozprawiają się z Polakami. Ludzi palą, rzną, rozstrzelują, ich dobytek konfiskują, budynki palą.”¹²⁾

W dokumentach niemieckich są informacje na temat wydarzeń na Wołyniu. Niemiecki kontrwywiad w raporcie z dnia 13.7.1943 stwierdza wyraźnie, że od 1943 r. nacjonałiści ukraińscy realizowali politykę eksterminacji ludności polskiej stosując groźby i przemoc. Jednocześnie donosił, że ruch banderowski unicestwia (Ausrottung) polskich osadników na Wołyniu.¹³⁾

Podano tu tylko kilka faktów i dokumentów potwierdzających, że czystkę etniczną skierowaną przeciwko ludności polskiej na Wołyniu przeprowadzały oddziały UPA, zgodnie z dyrektywami jej kierownictwa. Nawet Tadeusz Andrzej Olszański, który w książce pt. „Historia Ukrainy XX w.” uważa, że akcja ukraińska na Kresach miała na celu wygnanie, a nie eksterminację Polaków, musiał przyznać, że „ludobójczy charakter mogła mieć akcja lipcowa 1943 r.”¹⁴⁾

Zastanawiając się nad przyczynami krwawych wydarzeń na Wołyniu, których ofiarami była ludność polska, nie można mieć tylko na względzie niewłaściwą politykę narodowościową II RP. Trzeba uwzględnić politykę sowiecką w stosunku do ludności polskiej na tych ziemiach po 17 września 1939 r. oraz działania okupacyjnych władz niemieckich, które stosując wyrafinowaną manipulację dążyły do rozbicia jedności Polaków i Ukraińców, i wykorzystania tych ostatnich przeciwko Polakom. Wszystko to padło na podatny grunt, przygotowywany starannie od wielu lat przez OUN. W sprawozdaniu komendanta Okręgu AK Wołyń z dnia 28 lipca 1943 r. znajdujemy następującą ocenę przyczyny tych wydarzeń: „(...) Rozbijały żywioł ciemnego chłopstwa ukraińskiego, mordującego Polaków, jest wykorzystywany przez Sowietów i Niemców, działających jednakowymi metodami, chociaż dla odmiennych celów. (...) Jest nieszczęściem, że aranżerami są dwaj nasi wrogowie — Niemcy i Sowiety, a królikami my i masa ukraińska.”¹⁵⁾

Na konflikt polsko-ukraiński na Wołyniu, jaki miał miejsce w II wojnie światowej, należy spojrzeć jako na wielką tragedię obu narodów. Zginęły tysiące niewinnych ludzi, pozostali przy życiu zmuszeni byli do opuszczenia swojej ojczystej ziemi i pójścia na tułaczkę. Zadaniem współczesnych historyków oraz świadków tych tragicznych wydarzeń jest wyjaśnienie zaistniałych faktów, wskazanie inspiratorów i organizatorów krwawej rozprawy z ludnością polską na Kresach. Nie cały naród ukraiński, a tym bardziej młode jego pokolenie, ponosi tu winę. To należy wziąć pod uwagę, gdyż jest to konieczne dla ułożenia dobrosąsiedzkich stosunków między bratnimi narodami: polskim i ukraińskim.

Władysław Filar

Przypisy

- 1) O. Szuliak, „W imia prawdy”, wyd. „Dorrego”, Buenos Aires, 1948, s. 16—17
- 2) OUN—SD — „Orhanizacja Ukrajinskich Nacjonalistiw — Samostijnikiw Derżawnykiw” /OUN — Niepodległościowców Państwoców)
- 3) Bundesarchiv, sygn. R 58/698, Der Chef der Sicherheistpolizei und des SD—Komandostab, Maldungen aus den besetzten Ostgebieten
- 4) Przyjęto wg danych M. Omeliusika — szefa Oddziału Operacyjnego Sztabu Głównego Dowództwa UPA, (Litopys UPA t. I „knyha persza”)
- 5) W. Nowak „Kryłatyj”, „Piwniczno—zachidnia okruha „Turiw”, Litopys UPA nr 5, s. 96—134
- 6) Petro Mirczuk, „Ukraińska Powstańska Armia” 1942—1952, Monachium 1953 r., s. 197
- 7) Jan Łukaszów, Walki polsko—ukraińskie 1943—1947, Zeszyty Historyczne, Instytut Literacki, Paryż 1989, zeszyt 90, s. 168
- 8) J. Turowski, W. Siemaszko, Zbrodnie nacjonalistów ukraińskich dokonane na ludności polskiej na Wołyniu 1939—1945, Główna Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce., Warszawa 1990, s. 22
- 9) Meldunek Weg. „E”, Biblioteka UW, sygn. 3312; także: J. Turowski, W. Siemaszko, op. cit., s. 25
- 10) J. Turowski, W. Siemaszko, op. cit., ós. 27—28
- 11) Centralne Arch. MO Federacji Rosyjskiej, F.1, op.23, spr.523
- 12) Archiwum Part. Instytutu Historii Partii przy CK Kompartii Ukrainy, „Osobyj Sektor — Sekretnej Czast”, F.57, op.4, spr. 191, s. 118
- 13) Militararchiv, sygn. H 3/474, Amt Ausland/ Abwehr Dienststelle Walli III, Nr. D 5800/43 g/B/AUSW. 273) Feststellungen zur Bandenlage, Q.U. den 13.7.1943
- 14) Tadeusz Andrzej Olszański, Historia Ukrainy XX w., s. 192
- 15) Sprawozdanie okresowe Okręgu ZWZ—AK Wołyń nr 189/23 z dnia 28.7.1943 r., Biblioteka UW, sygn. 3312

Grottger

Polonio zrozpaczona
Nad synem swoim
Nad obrazem i lirą
Smutek twój
Bezpańskim powojem
Nad trumną
Odartą z Ojczyzny
Z ziemi

Z nieba

Z wiarą
Gdy pośród krzyży z piaskowca
Wyrasta
Pajęcza czerwona pięcioramienna
Gwiazda...

Jan Bill

— poeta Miasta Semper Fidelis

Oddziały Leśne Armii Krajowej Obszaru Lwowskiego

Władysław Śledziński vel Wojciech Myślenicki, ps. „Nemo”

Inżynier Stanisław Cisek z Wrocławia (słynny żeglarz, który w 1972 roku samotnie, na jachcie „Narcyz” przepłynął Atlantyk), przekazał mi wiadomość, że 30 marca 1995, w Gniewczynie Łańcuckiej, pod podłogą w domu nr 319, odkopał archiwum oddziałów leśnych „Warta”.

O zakopanych tam dokumentach wiedział mieszkający w Kielcach ppor. Stanisław Panasiewicz („Śmiały”) i on wskazał to miejsce.

Organizowanie oddziałów leśnych poprzedziły trzy pamiętne zdarzenia: pierwszego sierpnia 1944 r. zaczęło się Powstanie Warszawskie, w połowie sierpnia Komenda Główna wezwała oddziały Armii Krajowej na pomoc Warszawie, a nazajutrz Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego (PKWN) ogłosił zarządzenie o mobilizacji młodych roczników do wojska.

Zmobilizowani mieli bić się z Niemcami, nie mogli więc iść na pomoc powstańcom, gdyż nie po to na „wyzwolonych” ziemiach wschodnich likwidowano Armię Krajową, aby ją wzmacniać w Warszawie.

We Lwowie z każdym dniem było trudniej się ukrywać. Umundurowani i cywilni Rosjanie wchodzili do mieszkań, sprawdzali kto zameldowany a kto nie — i nakłaniali, żeby szybko decydować się na wyjazd. Wiedzieli, że Polacy mieli być „repatriowani”, chcieli zajmować ich mieszkania i straszili paszportyzacją. Kto nie wyjedzie — dostanie paszport sowiecki i będzie wywieziony na Wschód.

XXX

Stan osobowy akowskich okręgów: lwowskiego, stanisławowskiego i tarnopolskiego — do dnia „Burzy” — liczone na około 27 tysięcy. Wielu oficerów i żołnierzy, ujawnionych podczas „Burzy” znalazło się w sytuacji bez wyjścia. Nie mogli wracać do swoich domów i nie mieli gdzie się ukrywać. W miesiąc po likwidacji Komendy Armii Krajowej, 1 września, aby umożliwić im przetrwanie, utworzono Dowództwo Oddziałów Leśnych „Warta” Obszaru Lwowskiego.

Komendantem „Warty” został ppłk Franciszek Rekucki „Topór”, zachowując tytuł i uprawnienia komendanta Okręgu Lwowskiego AK, jego zastępcą i szefem sztabu — ppłk Bolesław Tomaszewski „Ostroga”, uprzednio szef Oddziału III (Operacyjnego) Komendy Obszaru. Ja zostałem szefem Oddziału W/II, czyli wywiadu i propagandy.

Z ludzi Obszaru zorganizowano cztery bataliony. Około tysięcy sześćset osób rozlokowano w powiatach: batalion „A” w przemyskim (dowódca Ludwik Kurtycz „Mazurkiewicz”), batalion „B” w lubaczowskim (dowódca Ring), batalion „C” w przeworskim (dowódca Witold Szredzki „Sulima”), batalion „D” w powiatach leżajskim i brzozowskim (dowódca Włodzimierz Białoszewicz „Dan”). Bataliony miały charakter partyzancki, ale nie uprawiały rozumianej dosłownie partyzantki.

XXX

Przykładem, jak bywało w tych „partyzanckich” wsiach może być Korniaaków. Kierowniczką łączności BIP (Biuro Informacji i Propagandy) Magdalena Niżnik „Henryka” jeździła tam co tydzień. Duża wieś, odległa od siebie domy, rozległe łąki, w pobliżu las. Ludzie przyjemni, gościnni, ciekawi wiadomości ze świata. Czekali na biuletyny.

Już z daleka, gdy szła ścieżkami i opłotkami, witali ją znajomi, wychodzili na spotkanie. Zatrzymywała się w domu Sekuły, zostawiała im część przywiezionych biuletynów i szła do wójta. Ukrywała się tam Wala Sołtyśnik, do niedawna kierowniczką kan-

celarii kontrwywiadu, więcej znana z pseudonimu „Marek” niż z nazwiska. Dzieliła resztę biuletynów na dwie części — dla wójta i proboszcza, szybko schodzili się chłopaki, zabierali po ileś tam egzemplarzy, rozbiegali się w różne strony, a jak dalej — to na rowery i pedałowali, aby prędzej. Jechał znajomy funmanką — też dostał, żeby w domu rodzina poczytała. W niedzielę biuletyny przyklejało się na dzwonnicy i w kilku miejscach wsi na parkingach, po wyjściu z kościoła ludzie się zatrzymywali, czytali — w domu było o czym mówić.

Patriotyczna wieś, gospodarze zubożeli podczas okupacji, ale nie tchórzliwi, duży oddział, dawali zakwaterowanie i wyżywienie.

Większość chłopców mogłaby urządzić się w bliższym czy dalszym mieście, ale czekali na decyzję dowództwa, na rozkazy. Chociaż mieli i swoje plany. Jeśli zostaną tu Rosjanie — jak we Lwowie i Wilnie — będą się przedzierać, nawet i zbrojenie — na Zachód.

XXX

Pod koniec września dowódcy „Warty” zdecydowali się przejść za San, na teren akowskiego podokręgu rzeszowskiego. Sztab „Warty” zainstalował się w Jarosławiu. Ja zostałem we Lwowie.

Dlaczego nie wyjechałem?

Jeden z historyków Armii Krajowej napisał, że — po przejściu dowództwa za San — zostałem „i na zapleczu Armii Czerwonej prawdopodobnie kierowałem kontrwywiadem”. Nieprawda. Zostałem, aby utrzymywać łączność z pozostałymi oddziałami, udzielać pomocy zagrożonym i w razie potrzeby — kierować ich na punkty przerzutów za San lub na punkty kontaktowe w Jarosławiu i Łańcucie.

W połowie czerwca 1945, ppłk „Topór” skontaktował się z Delegaturą Sił Zbrojnych i otrzymał rozkaz rozwiązania „Warty”. Wykonano ten rozkaz pismem Dowództwa „Warty” (L.dz. 95/41/I/4) z dnia 1 lipca 1945. Archiwum zakopano. Ale tym już nie ja się zajmowałem.

XXX

Dopiero 17 lipca 1995, inżynier Stanisław Cisek przywiózł mi do Szczecina kserokopie wykopanych, dotyczących mnie, maszynopisów, bardzo już — po pięćdziesięciu latach „archiwalnego” przechowywania w ziemi — podniszczonych, ale w 90 procentach czytelnych.

Z otrzymanych 50 kartek — 42 są to moje raporty, artykuły, serwisy informacyjne i inne, podpisane moimi pseudonimami: Nemo, Wojtek, Wierch, oraz wnioski dowództwa o przyznanie mi Złotego Krzyża Zasługi z Mieczami i Srebrnego Krzyża Zasługi z Mieczami doktorowi Fidelisowi i st. sierżantowi rezerwy — Strykowski.

Otrzymałem też pismo „Ostrogi” do Komendy Głównej: kartka maszynopisu z nagłówkiem: „Warta” Dn 11 IV 43 (rok błędny, powinno być: 45, ale napisano 43, zapewne aby zmylić służby bezpieczeństwa). W piątym punkcie tekstu napisano: „Dnia 10 bm zgłosił się do nas Nemo (Wyspiański) wraz ze swoją współpracowniczką Henryką. Przyjąłem go z wielką radością, bo sprawa propagandy i wywiadu stała ciągle na niskim poziomie z braku odpowiednich speców”. Podpisał: Ostroga.

Wiadomość o odkopanych dokumentach była opublikowana w telewizji wrocławskiej. Ale nie wspomniano, że ja byłem autorem ponad czterdziestu tekstów — nie wymieniono mojego pseudonimu i nazwiska. Dlaczego?

Jako szef Oddziału VI (BIP) i jednocześnie przez kilka miesięcy

CZERWCOWE EGZEKUCJE W LWOWSKICH WIĘZIENIACH

Jan Kielanowski

O wojnie niemiecko-bolszewickiej dowiedział się Lwów wczesnym rankiem w niedzielę, 22 czerwca 1941 roku, gdy nad miastem ciężko zahuczały eskadry niemieckich bombowców. Gęsto rzucały bomby nie pozwalając na żadne złudzenia. Kraje, które przed niespełna dwoma laty sprzymierzyły się, żeby nas zniszczyć, teraz przystąpiły do wzajemnej walki. Myśliwce radzieckie pokazywały się na niebie raz czy dwa razy, ale bezradność ich była oczywista. Bez przerwy tylko turkotała artyleria przeciwlotnicza, deszcz ciepłych jeszcze pocisków spadał na bruk. Czasem artyleria była skuteczna, zastrzelony bombowiec spadł na cmentarz Łyczakowski. I tak wśród basowego pomruku bombowców, tenorowych serii artylerii przeciwlotniczej, odgłosów maszynowej albo ręcznej broni, wycia bomb lub przerażająco bliskich wybuchów, od niedzielnego świtu po piątkowy zmierzch upływały nam długie dni i krótkie, rozświetlane pożarami noce.

W mieście powstał chaos i zapanowała niewiarygodna panika. Wielodzietne rodziny przybyszów ze wschodu, teraz dopiero okazywało się jak liczne, usiłowały upchać się z dobytkiem i ze wszystkim na ciężarówkach, ciągnących uparcie ulicą Łyczakowską, której zachwycony lud nadał nazwę ulicy „dawaj na zad”. Tylko milicja gdzieś się zapodziała. Oddziały wojskowe pałętały się bez określonego celu. W poniedziałek wiedziałem na przedmieściach kilka całkowicie opuszczonych posterunków, w próżnych pokojach zwąły aktów walały się po podłodze. Z poniedziałku na wtorek, gdy bombardowanie było szczególnie ciężkie, jacyś cywile (kto taki? może ktoś wie?) rozwalili czy spalili wrota małego oddziału Brygidek — dozorców nie było i paruset (?) niespodziewanie wolnych więźniów w noc świętojańską ruszyło w poszukiwaniu przytuliska.

We środę obraz zmienił się dość znacznie. Wróciła milicja. Rozklejono plakaty mobilizacyjne. Przewalił się już egzodus przez ul. Łyczakowską. Ruszyły pociągi ewakuacyjne. Wyjechało trochę zaangażowanych politycznie literatów, aktorów, profesorów. Ledwo rozpoczętą mobilizację wstrzymano. Ale oddziały wojskowe wycofały się w porządku. Jak się później dowiedzieliśmy, Czerwonej Armii udało się w ciężkich bojach zapobiec zamknięciu lwowskiego kotła i umożliwić dzięki temu ewakuację.

Lwowian ogarnęła euforia. I radość. Czyż można się dziwić? Jak się coś złego kończy, trudno się nie cieszyć, choćby dalsza przyszłość była nieznana. A tego co się skończyło — dwudziestu miesięcy nieznosnej udręki — już naprawdę każdy miał dosyć. Lwowskie batiary śmiali się wczorajszym najeźdźcom w twarz. Nie było to bezpieczne, bo w odpowiedzi często rozlegała się salwa, były egzekucje uliczne i podwórkowe, w wielu mieszkaniach szyby były postrzelane. O najgorszym niosła się wieść. Jak,

którędy — nie wiadomo. Wieść, że w Brygidkach, na Łąckiego, wszędzie więźniowie są mordowani. To nie była pogłoska. Lwowianie wiedzieli o tym na pewno. Od czwartku 26 czerwca. Może lokatorzy sąsiadujących z więzieniami mieszkań słyszeli strzały i krzyki? Skrzydła radości opadły, zastąpiło ją przerażenie. Wszystkie więzienia przepełnione były do ostatnich granic, wielu lwowian miało tam krewnych, wszyscy chyba znajomych. Więźniowie byli naturalnie „polityczni”, a nawet przedwojenni komuniści (długie miesiące w lwowskiej celi spędził Broniewski) i socjaliści, działacze wszelkich odcieni, ale większość stanowili z pewnością przygodni więźniowie, których pozamykano za urojone, albo nawet wyjątkowo realne przekroczenia administracyjne. Lwów uznany został bowiem za „reżimnyj gorod” i za przebywanie w mieście bez zameldowania (zaświadczonego, jak podobnie w PRL, pieczęcią w „pasporcie” (otrzymywało się od razu 3 lata. Patrole milicyjne krążyły po ulicach i odwiedzały mieszkania; niedokładności albo ich brak nie mogły więc ujść przed czujnym okiem władzy. No i naturalnie, jak wszędzie i zawsze, niezawodnymi dostawcami więźniów byli donosiciele.

Niestety, w więzieniach siedziało dużo młodzieży. Skład narodowościowy mieszkańców dokładnie nie mógł być znany, nie unikali aresztu Ukraińcy ani Żydzi, ale według ogólnego przeświadczenia, przynajmniej większość stanowili Polacy. Począwszy od czwartku miasto opróżniało się systematycznie i dość prędko z żołnierzy, a kto z cywilów chciał uciec na wschód; wychodził choćby pieszo, o wiele trudniej było naturalnie ludziom obciążonym rodziną. W sobotę ulice były już prawie puste. Trwało, choć może już nieco słabsze bombardowanie. Dopalały się pożary, płonęły np. prowizoryczne koszary na rogu ulic Rutowskiego i Skarbkowskiej, gdzie sowieccy żołnierze wyrzucali z okien stare szyniele, które ludność skrzętnie zbierała. Wieczorem zupełnie już pustymi ulicami przelatywały ciężarówkami, z których żołnierze długimi drągami wrzucali płonące żagwie do parterowych publicznych lokali, np. parterowych okien dawnej Izby Skarbowej.

W niedzielę 29 czerwca do opróżnionego Lwowa w idealnym porządku wtoczyły się hitlerowskie czołgi, pełne żołnierzy wozy transportowe, artyleria. Wszystko to domyte, ogolone, błyszczące czystością, w kolorze zaśniedziałego brązu. Chyba dla wyreżysowanego kontrastu z brudną, zaniedbaną, przegrywaną armią przeciwników. Żołnierze, którzy swobodnie rozsypali się po mieście, chętnie wdawali się w rozmowy — język niemiecki był we Lwowie dość dobrze znany. Jeszcze przed paru tygodniami czerwonoarmiejsi wysztorcowanymi bagnietami zagradzali drogę w pobliżu koszar i wszelkiej wojskowości. Hitle- ➤

szef kontrwywiadu Sztabu Okręgu Lwowskiego Armii Krajowej, a następnie — szef Oddziału W/II w Dowództwie Oddziałów Leśnych „Warta” i w końcu — szef propagandy w dolnośląskiej organizacji WiN — kontynuowałem moją konspiracyjną działalność nieprzerwanie od września 1939 roku do połowy czerwca 1946.

Od Redakcji

Ze względu na to, że ww. artykuł porusza tylko marginesowo wojskową działalność oddziałów „Warty” w następnych numerach SF zamieścimy artykuł zawierający więcej informacji o celach powołania tego zgrupowania, które działało od września 1944 do lipca 1945 na terenie Rzeszowszczyzny. Członkowie „Warty” w okresie stalinizmu oraz w PRL aresztowani przez UB byli poważnie skazywani na karę śmierci, choć wielu z nich nosiło za walkę z okupantami najwyższe polskie odznaczenia bojowe.

rowcy pozwalali dzieciakom wdrapywać się na własne, bądź pospute radzieckie czołgi porzucone na ulicach. Myślę, że było to z góry ułożone i dla nas odgrywane przedstawienie. Tak mało wiedziano we Lwowie co dzieje się po drugiej stronie.

Nastolatki mieli swoją specjalną, niebylejaką przyjemność. Na każdym malowniczym miejscu — a takich jest we Lwowie dużo — stał pomnik, sporządzony z jakiejś nieokreślonej masy, wyglądającej na spiz, ale lżejszej niż gips. Pomniki te były pewnie odlewane, bo ściśle takie same poustawiano w różnych odległych miejscach. Najczęściej przedstawiały one Stalina, obejmującego ramieniem Lenina, siedzących obok siebie na jakiejś ławce — kanapie. Czasem z Leninem siedział Gorki, Czasem Gorki ze Stalinem, czasem każdy z osobna, czasem może Puszkina albo jakiś nieznany bohater. Każdy taki pomnik był źródłem radości dla batiarów, którzy ćwiczyli oko i rękę w tłuczeniu kamieniem tej osoby albo jej organu. Masa była krucha i rozłukiwała się doskonale. Do wieczora zabrakło pomników i chłopcy żalowali, że było ich tak mało.

Gdy dzieciaki zabawiały te wesołe igraszki, ogromne korowody Lwowian ruszyły ku więzieniom. Już pierwszych przybyszów uderzał straszliwy fetor rozkładających się zwłok, który wręcz uniemożliwiał wejście do budynków; cały tydzień panowała przecieć upalna pogoda. Jak się zabrano do opanowania tej makabrycznej sytuacji? Wiadomości moje pochodzą z wiarygodnych źródeł, ale z drugiej ręki, fragmenty, które sam widziałem, opiszę.

Według zgodnych opowiadań, do uporządkowania i segregacji zwłok więźniów, Niemcy posłużyli się lwowską ludnością żydowską. Zaczęto od łapanek, dokonywanej przez oddziały chyba specjalnie dobieranych, rosyjskich Ukraińców w niemieckich mundurach z żółto-niebieską opaską. Łapanka ta podobno zamieniła się w potworny pogrom. Godne zaufania szczegółowe opisy kiedyś czytałem. Skatowani Żydzi wynosili zwłoki z więzień na przyległe podwórza i układali w długie szeregi, obok których dusząc się ze smrodu przechodzili ci wszyscy, którzy kogoś poszukiwali — jeżeli mieli na to siły. Niekiedy dało się zwłoki rozpoznać — pamiętam tylko, że zidentyfikowano prof. Szumanowskiego, laryngologa, może dzięki jego posturze. Zapewne zidentyfikowano także innych, ale w większości przypadków ze względu na daleko posunięty rozkład, połączony z obrzękiem, było to niemożliwe. Dużo było błędnych rozpoznaw.

Nieśczęsne ofiary zabite były strzałem w tył głowy i nie może być żadnej wątpliwości, kto był zabójcą; śmierć ich musiała nastą-

pić na parę dni przed wejściem wojsk niemieckich. Przypuszczam, że zabijano więźniów już od środy 25 czerwca, tj. od momentu gdy czerwonoarmiejcom udało się odeprzeć manewr okrążający.

Sam widziałem tylko zwłoki wyłożone na podwórzu obok więzienia na Łackiego. Jak we wszystkich tych miejscach, dostęp uniemożliwił trudny do wyobrażenia zaduch rozkładu. Trzeba było nieprzerwanie zastaniać chustką usta i nos. Wśród zwłok leżących rzędami, dostrzegłem jedno w pozycji siedzącej, o coś oparte, czarne skrwawione. Po chwili postać ta poruszyła się i wstała. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że był to jeden z Żydów zapędzonych do porządkowania zwłok. Raz po raz przejeżdżały niemieckie samochody wojskowe, z których dokonywano zdjęć filmowych. Porządku pośród nas, żywych, postępujących tragiczną procesją, pilnowali żołnierze w niemieckich mundurach z niebiesko-żółtymi opaskami na ramionach, w hełmach, z wianuszkami obronnych granatów ręcznych na każdej nodze — dla fasonu.

Porządkowanie, połączone z pogromem Żydów, nie trwało długo, zaledwie parę dni. Ofiary więziennych egzekucji, razem z pomordowanymi Żydami, zakopano z pewnością we wspólnych grobach. Żydzi musieli jeszcze przed śmiercią wysprzątać i wydezynfekować więzienia, bo wkrótce miały być znowu potrzebne. Już w pierwszych dniach lipca rozeszły się wiadomości o aresztowaniu lwowskich profesorów.

Od tych strasznych dni mija 47 lat. Do niedawna publicznie wypowiadanie się o przytoczonych tu faktach spowodować mogło przykre konsekwencje. I dziś, choć nigdzie nie rozumiem się z prawdą, nie mogę być zupełnie pewien braku szyszan, lecz ze względu na mój wiek, jest mi to obojętne.

Nie jest mi natomiast obojętne, aby dla kogokolwiek wypadki te pozostały nieznane, tak jak dziś są jeszcze napewno dla wielu. Pragnąłbym także, aby liczniejsze szczegóły rzezi doszły do publicznej wiadomości. Liczbę pomordowanych więźniów określa się zwykle na 3500 do 5000, wszyscy wiedzą, że było ich bardzo dużo, ale może są gdzieś podstawy do dokładniejszego rachunku? W aktach radzieckich mogą być konkretne dokumenty, tyle mówi się o szczerości, może je ogłoszą? Podobno istnieje zarządzenie wydane w 1941 r. przez władze centralne ZSRR by więźniów ewakuować, a w razie niemożności — likwidować. Mówią o podobnej zbrodni w Brześciu, a może i innych miastach. Czas nadszedł, aby wszyscy, mający rzetelne wiadomości o takich wydarzeniach przestali je ukrywać. Niech wszyscy się o nich dowiedzą.

Komunikat Rady Naczelnej Federacji Organizacji Kresowych

W ostatnim okresie nasilają się działania różnych samowolnych grup, „organizacji”, „fundacji” lub pojedynczych osób nikogo nie reprezentujących, podejmujących zbiórki pieniężne na różne cele na Wschodzie.

Działania te wytwarzające chaos i zamieszanie powodują rozproszenie sił i środków, dezorientują opinię publiczną i stwarzają uzasadnione obawy, że zebrane środki finansowe nie zostaną właściwie wykorzystane.

Istniejąca sytuacja przyczynia się także do poważnych nieporozumień, często wręcz niezgody w środowiskach polskich na Wschodzie.

Wobec takiego stanu rzeczy informujemy i przypominamy wszystkim potencjalnym ofiarodawcom, iż organizacjami środowisk kresowych, które zarówno niosą pomoc Polakom na Wschodzie, jak i uczestniczą w odbudowie cmentarzy i innych pamiątek narodowych są:

— Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Zarząd Główny we Wrocławiu,

ul. Rуска 32/33, konto PKO BP IV O. Wrocław Nr 93549—99192—132,

— Towarzystwo Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej, Zarząd Główny: 87—100 Toruń, ul. Gagarina 7 p. 25 (Rektorat), Nr konta: PKO Toruń 87—519—4327—132.

— Towarzystwo Miłośników Wołynia i Polesia, Zarząd Główny: 00—322 Warszawa, ul. Krakowskie Przedmieście 64, konto: Bank Kredytowo-Depozytowy SA w Lublinie, O. Warszawa, ul. Bielańska 4A, numer 330022—52676ä.

Organizacje te ściśle współpracują z Radą Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa.

Za Radę Naczelną Federacji
Stanisław Mitraszewski
przewodniczący

Warszawa, dnia 25 września 1995 r.

Arcybiskup metropolita lwowski Bolesław Twardowski (18.II.1864-22.XI.1944)

Ks. JÓZEF WOŁCZAŃSKI

Biskupstwo

Nieudana współpraca abp. Józefa Bilczewskiego z biskupem pomocniczym Władysławem Bandurskim, obfitująca w niemało drażliwych epizodów i konfliktów, zakończyła się ostatecznie rezygnacją tegoż ostatniego z pełnionych funkcji oraz wyjazdem ze Lwowa. Ponownie więc na porządek dzienny wróciła kwestia nominacji na opróżnioną sufraganię ks. Bolesława Twardowskiego. Tym razem abp J. Bilczewski osiągnął swój cel: 14.IX.1918 r. kandydat został prekonizowany biskupem tytularnym Telmissus i sufraganiem lwowskim. Niespodziewany wybuch polsko-ukraińskiej wojny o Lwów i południowo-wschodnią Galicję odroczyły znacznie termin konsekracji. Dopiero 12.I.1919 r. w oblężonym przez Ukraińców Lwowie, z udziałem głównego konsekratora abp. J. Bilczewskiego i współkonsekratorów: ordynariusza tarnowskiego bp. Leona Wałęgi (1859-1933) i biskupa pomocniczego przemyskiego Karola Józefa Fischera (1847-1931), w pustej niemal bazylice metropolitalnej biskup-nominat przyjął sakrę biskupią. W uroczystościach nie uczestniczyli biskupi obrządku grekokatolickiego, których nie zaproszono z obawy przed nieprzewidywanymi incydentami ze strony społeczeństwa polskiego.

Podsumując przebieg konsekracji swego współpracownika, metropolita J. Bilczewski pisał w dzienniku: „*Chrystusowi niechaj wielkie będą dzięki, że sobie przygotował apostoła. Będę mógł spokojnie umierać, bo nie zostawiłbym diecezji sierotą*”. Wkrótce po konsekracji bp B. Twardowski przyjął na siebie obowiązki wikariusza generalnego, wiceprezesa Wydziału Centralnego Instytutu Ubogich we Lwowie, a nade wszystko rektorat Seminarium Duchownego we Lwowie. Tę ostatnią funkcję objął po swoim poprzedniku, znakomitym uczonym, filozofie, profesorze i rektorze Uniwersytetu Lwowskiego — ks. Kazimierzu Waisie (1865-1934), przenosząc się latem 1919 r. na jego miejsce do apartamentów rektorskich w gmachu seminaryjnym. Liczące wówczas 70 alumnów Seminarium Duchowne znajdowało się w niełatwym położeniu. Z jednej strony wraz z całym miastem dzieliło biedę lat wojny, a z drugiej przed rektorem stało zadanie doprowadzenia do końca rozpoczętej budowy skrzydła gmachu seminaryjnego. W trosce o aprowizację kleryków, rektor wysyłał ich na kwestę do bardziej zamożnych parafii we Lwowie i okolicy, dzięki czemu zdołał zapewnić egzystencję instytucji oraz jej wychowanków. Zrealizował też drugie zadanie, oddając do użytku nowoczesnie wyposażone nowe skrzydło budynku dla potrzeb zwiększających się wciąż szeregów alumnów. Kiedy wybuchła wojna polsko-sowiecka w 1920 r., rektor w porozumieniu z metropolitą zgodził się na ochotniczy zaciąg kleryków do wojska, interesując się żywo ich losem.

Jakby w dowód rekompensaty minionych niepowodzeń, współpraca abp. J. Bilczewskiego z biskupem pomocniczym układała się nad wyraz zgodnie. Nie dane im jednak było długo cieszyć się wzajemną bliskością i ofiarne dzielić trudy pasterzowania w lokalnym Kościele lwowskim. Zaledwie czteroletnią wzorową współpracę obu przyjaciół przerwała śmierć abp. J. Bilczewskiego 20.III.1923 r.

Dwa dni po śmierci lwowskiego metropolity, 22 marca Kapituła Metropolitalna wybrała bp. Twardowskiego wikariuszem kapitulnym, składając w jego ręce rządy nad osieroconą archidiecezją. W okólniku wydanym z tej okazji do duchowieństwa diecezjalnego i zakonnego nominat informując o tym fakcie adresatów zapowiadał zarazem kontynuację linii programowej swego poprzednika. Sześć

miesięcy później, 3.VIII.1923 r. dotychczasowy wikariusz kapitulny otrzymał ze Stolicy Apostolskiej bullę nominacyjną, powołującą go na arcybiskupstwo lwowskie obrządku łacińskiego. Uroczysty ingres do bazyliki metropolitalnej odbył on 11 listopada t.r. w asyście arcybiskupa lwowskiego omniańskokatolickiego Józefa Teodorowicza (1864-1938), księcia biskupa krakowskiego Adama Stefana Sapiehy (1867-1951), biskupa przemyskiego Józefa Sebastiana Pelczara (1842-1924), biskupa kamienieckiego Piotra Mańkowskiego (1866-1933), biskupa tarnowskiego Leona Wałęgi oraz biskupów pomocniczych: krakowskiego — Anatola Nowaka (1862-1933), przemyskiego — Karola Józefa Fischera i tarnowskiego — Edwarda Komara (1872-1943). I tym razem nieobecni byli biskupi grekokatolicki. Jeszcze tego samego miesiąca, w listopadzie 1923 r. abp B. Twardowski udał się do Rzymu, gdzie z rąk kard. Bisletiego odebrał paliusz metropolity i złożył przepisana przysięgę wierności Stolicy Apostolskiej. Wtedy też został przyjęty dwukrotnie na audiencji przez Piusa XI.

W swym pierwszym liście pasterskim do duchowieństwa i wiernych z 7.X.1923 r. nowy rzędca archidiecezji lwowskiej ponownie podkreślił zamiar kontynuacji programu pastoralno-społecznego abp. J. Bilczewskiego. Zaraz jednak w najbliższych zdaniach ustosunkował się do aktualnych problemów nękających lokalny Kościół. Nade wszystko apelował o podnoszenie z gruzów kościołów zniszczonych w okresie I wojny światowej oraz w latach wojny polsko-ukraińskiej 1918-19. Odwołując się z całą pewnością do własnych doświadczeń, zachęcał do wznoszenia nowych kaplic w wioskach odległych od kościołów parafialnych jako nośników wiary i polskiej kultury chrześcijańskiej. Nie przeceniał wszakże sfery materialnej egzystencji Kościoła, wyrażając swą głęboką troskę o wartości duchowe; wzywał więc do odnowienia pierwiastków religijnych w człowieku, które zniszczone zostały wpływami wojny, rozwiązłością i swobodą obyczajów. Jako remedium na panoszące się w świecie zło wskazywał na konieczność powrotu do wiary, której zasady trzeba poznać metodą katechizacji oraz uczestnictwem w życiu liturgicznym Kościoła. Wzorem swego przewodnika na stolicy arcybiskupów lwowskich nawoływał do pogłębienia nabożeństwa eucharystycznego i kultu Matki Bożej, duchowieństwo zaś upraszał o modlitwy w intencji powołań kapłańskich.

Nakreślone mu wówczas programowi pozostał wierny przez cały swój 21-letni pontyfikat. Nade wszystko wydatnie pomnożył sieć parafialną i liczbę kościołów oraz kaplic. Do 1935 r. zbudowano 27 kościołów parafialnych, rozpoczęto budowę czterech dalszych, a poddano renowacji 19. Do tego samego czasu erygowano 7 parafii, 26 ekspozytur i 214 kaplic filialnych. Największym wszakże osiągnięciem na polu budownictwa sakralnego pontyfikatu abp. Twardowskiego był kościół p.w. Matki Bożej Ostrobramskiej wzniesiony w latach 1931-34 jako wotum za utrzymanie Kresów Wschodnich przy Macierzy. Metropolita był nie tylko inicjatorem, ale też fundatorem całego przedsięwzięcia. Wydatny udział miała również Rada Miejska Lwowa, która ofiarowała parcelę przy ul. Łyczakowskiej oraz subwencję w wysokości 250 tys. zł. Na czele Komitetu Budowy Kościoła stał komisarz rządowy miasta Lwowa prof. Otto Nadolski, twórcą zaś projektu został prof. Tadeusz Obmiński. Arcybiskup Twardowski i tym razem odwołał się do pomocy wypróbowanych fachowców, których umiejętności miał okazję sprawdzić przed 25 laty podczas wznoszenia kościoła w Tarnopolu. Tak więc po śmierci prof. Obmińskiego kierownic-

two architektoniczne powierzył inż. Wawrzyńcowi Dajczakowi, natomiast nadzór techniczny inż. Stefanowi Neuhoffowi. Już 7.X.1931 roku w dniu Matki Bożej Różańcowej metropolita poświęcił kamień węgielny, a trzy lata później 7.X.1934 roku dokonał konsekracji kościoła. Jednonawowa świątynia w stylu bazyliki wczesnochrześcijańskiej mogła pomieścić jednorazowo 2200 osób. We wnętrzu mieściły się trzy ołtarze: główny z obrazem M.B. Ostrobramskiej oraz dwa boczne: ku czci Serca Pana Jezusa i św. Jana Bosko. Przez najbliższe lata aż do 1939 roku świątynia pełniła rolę narodowego sanktuarium Lwowa.

Realizując zapowiedź kontynuacji linii duszpasterskiej swego poprzednika, abp Twardowski kładł duży nacisk na regularne wizytacje kanoniczne parafii, rekolekcje kapłańskie i misje ludowe, propagował kult Eucharystii. Zorganizował Archidiecezjalny Kongres Eucharystyczny we Lwowie 16–18.V.1928 r. oraz regionalny w Kołomyi 12–14.VI.1936 r. Rok wcześniej, 13–17.VI.1935 r. odbył Archidiecezjalny Kongres Różańcowy we Lwowie. Słowem pisany i mówiony zachęcał wiernych do kultu patrona archidiecezji lwowskiej — błog. Jakuba Strzemię. W trosce o podniesienie poziomu pracy parafialnej zwołał Kurs Duszpasterski do Lwowa 24–26.IX.1926 roku oraz dwukrotnie urządził kursy Akcji Katolickiej w 1932 i 1935 roku. Jako doskonały znawca prawa kanonicznego przeprowadził kodyfikację prawodawstwa lokalnego w czasie Synodu Archidiecezji Lwowskiej 23–25.IX.1930 r. Z inicjatywy duszpasterstwa chorych — ks. Michała Rękaśa, erygował 2.V.1930 r. Sekretariat Apostolstwa Chorych we Lwowie, zatwierdzony niebawem przez Episkopat Polski na cały kraj. Był zwolennikiem i propagatorem idei Akcji Katolickiej; jako jej protektor zatwierdził nowy statut Ligi Katolickiej Archidiecezji Lwowskiej, a po jej rozwiązaniu 14.IX.1934 r. wcielił tę organizację do Akcji Katolickiej. Dn. 25.IV.1934 roku erygował Archidiecezjalny Instytut Akcji Katolickiej we Lwowie, natomiast w sierpniu następnego roku powołał do życia Archidiecezjalną Radę Akcji Katolickiej we Lwowie. Dla zapewnienia stosownego zaplecza materialnego tej instytucji, polecał m.in. budowę domów parafialnych. Z wielkim zaangażowaniem popierał i propagował prasę katolicką, m.in. tygodnik dla rodzin katolickich — „Gazetę Niedzielną” oraz tygodnik poświęcony życiu religijnemu Lwowa — „Lwowskie Wiadomości Parafialne”. W celu pogłębienia formacji religijnej polskiej inteligencji erygował 15.XII.1937 r. Instytut Wyższej Kultury Religijnej we Lwowie, powierzając go pieczy księży profesorów z Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Jana Kazimierza.

Dużą wagę abp Twardowski przywiązywał do akcji charytatywnej Kościoła. Dn. 15.XII.1937 r. erygował we Lwowie Związek „Caritas” Archidiecezji Lwowskiej jako koordynatora dzieł miłosierdzia chrześcijańskiego. W dobie ekonomicznego kryzysu angażował się na rzecz zwalczania bezrobocia i głodu w archidiecezji lwowskiej; w tym celu polecił m.in. wznowienie struktur i działalności zasznużonej na tym polu w czasie I wojny światowej delegacji Księżęco-Biskupiego Komitetu (1931 r.), powołanego do życia pierwotnie w diecezji krakowskiej, a potem we Lwowie. Ponadto metropolita apelował do społeczeństwa o pomoc dla biednych w miesiącach zimowych, organizował Dni Miłosierdzia Chrześcijańskiego w trosce o głodujących i ubogich, czynnie solidaryzował się ze społecznymi inicjatywami organizacji oraz komitetów niosących pomoc potrzebującym, wreszcie wzywał duchowieństwo do udziału w pracach Komitetu Pomocy Zimowej Bezrobotnym (1926–1939). Poza tym był długoletnim prezesem Centralnej Rady Instytutu Ubogich we Lwowie.

W przeciwnieństwie do swego poprzednika, abp Twardowski z coraz bardziej słabnącym w miarę upływu lat zaangażowaniem odnosił się do chrześcijańskich organizacji robotniczych w Małopolsce Wschodniej. Początkowa solidarność i systematyczna pomoc materialna dla Zjednoczenia Chrześcijańskich Związków Zawodowych oraz Domu Katolickiego we Lwowie przerodziła się w

milczącą tolerancję, ożywianą sporadycznymi adresami grzecznościowymi w odpowiedzi na pisma hołdownicze pod adresem metropolity. Jak się wydaje nie miał on zrozumienia w takim jak abp Bilczewski stopniu dla istoty współdziałania ze stowarzyszeniami chrześcijańskich robotników, a być może obawiał się też perspektywy radykalizowania ich programu ideowego lub dominacji w ich szeregach elementów socjalistycznych. Podobnie z dużą rezerwą odnosił się do udziału duchowieństwa w życiu politycznym ówczesnej Polski. Jako zwolennik — choć nie członek — Stronnictwa Narodowej Demokracji, był zdecydowanym przeciwnikiem czynnej akcji politycznej wśród duchowieństwa. Po początkowej tolerancji względem księży piastujących mandaty w parlamencie, w 1935 r. zabronił im kandydowania w następnych wyborach parlamentarnych.

Wydało się, iż stosunkowo mało udzielał się na forum publicznym Kościoła polskiego. Z tytułu swego prawniczego wykształcenia należał do kilku komisji Episkopatu Polski, ale chyba nie odgrywał w nich wiodącej roli. W sprawowaniu rządów archidiecezji lwowskiej, poza wspomnianym już wizytacjami kanonicznymi, abp Twardowski chętnie posługiwał się metodą listów pasterskich. Napisał ich łącznie kilkanaście, a skalę poruszanych w nich problemów pozwała poznać tytuły przynajmniej niektórych z nich: o Matce Bożej (1923 r.), o miłości Boga i bliźniego (1930), 1500 rocznica Soboru Efeskiego (1931) o rodzinie katolickiej (1931), o wierze (1932), o Kościele (1933), o różańcu (1935), o krzyżu (1935), o kapłaństwie (1936), o komunizmie (1937), o miłości bliźniego i miłosierdziu (1938), o różańcu (1938), o miłości Boga (1939), do wywiezionych na Syberię (1940).

W czasie swego pontyfikatu abp Twardowski przeżywał kilka wydarzeń, które wolno uznać za przejaw społecznej aprobaty jego pracy i osoby. I tak w 60 rocznicę urodzin Rada Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie przyznała mu doktorat honoris causa. W czasie uroczystej promocji 16.II.1924 r. rektor Juliusz Makarewicz w laudacji podkreślił, że zaszczytny ten tytuł metropolita otrzymał w dowód uznania za utrzymanie i pomnożenie polskich wartości narodowych i chrześcijańskich na kresach archidiecezji. Ostatnie lata przed wybuchem II wojny światowej arcybiskup przeżywał w atmosferze jubileuszu 50. lecia kapłaństwa. Uroczystości jubileuszowe odbyły się 19–20.IX.1936 r. we Lwowie z udziałem papieskiego delegata ks. Eugeniusza Pacciniego, sześciu polskich biskupów, lwowskiej Kapituły Metropolitalnej oraz przeszło 50. tys. wiernych. Osiem lat później, 12.I.1944 r. w przygnębiającej atmosferze wojennej świętował 25. lecie sakry biskupiej, celebry Mszy św. i życzeń ze strony duchowieństwa.

1.IX.1939 r. abp Twardowski podpisał szereg uprawnień dla kapłanów, uzupełnionych pismem z 28.IV.1944 r. celem zapewnienia ciągłości opieki religijno-moralnej w parafiach archidiecezji. Z jego inicjatywy, pomimo działań wojennych, w latach 1939–1941 w całej archidiecezji lwowskiej urządzono zebrania kapłanów, na których omawiano aktualne zagadnienia z teologii moralnej i pastoralnej oraz szukano skutecznych metod obrony młodzieży przed skutkami demoralizacji czasu wojny i sowieckiej propagandy ateistycznej. W instrukcji wydanej do duchowieństwa i wiernych metropolita nakazywał, aby zagrożonej ideami ateizmu młodzieży szczególnie gorliwie wykładano w murach świątyń zasady wiary i moralności chrześcijańskiej. Ponadto metropolita zarządził akcję permanentnej formacji religijno-moralnej dla zakonnic, inicjując od sierpnia 1940 r. dwukrotnie w miesiącu konferencje w kościele Matki Bożej Śnieżnej we Lwowie. Często wizytował domy zakonne, niosąc podporę modlitewną i zachęcając do wytrwania. Przyjmował również zaproszenia na wizytacje duszpasterskie do parafii, a nawet mimo niesprzyjających warunków wojny dokonał poświęcenia dwóch nowych kościołów: 3.IX.1939 r. w Batorówce i 8.XI.1942 r. w Koziełnikach koło Lwowa. Spełniając postulat duchowieństwa i katolików świeckich, metro-

polita wydał odezwę 1.VI.1944 r. z apelem o udział w modlitwach w intencji otwarcia procesu beatyfikacyjnego abp. J. Bilczewskiego. Formalny proces beatyfikacyjny otworzył on 2.VII.1944 r. i do dnia dzisiejszego Kościół archidiecezji lwowskiej oczekuje na wyniesienie Sługi Bożego J. Bilczewskiego do chwały ołtarzy.

W dobie eskalacji mordów popełnianych przez szowinistów ukraińskich na polskiej ludności cywilnej w Małopolsce Wschodniej podczas II wojny światowej, abp Twardowski nawiązał w latach 1943–1944 na ten temat korespondencję z biskupami lwowskiej metropolii greckokatolickiej, a szczególnie z abp. Andrzejem Szeptyckim (1865–1944), bezskutecznie wszakże apelując o zahamowanie zbrodni. w 1944 r. prosił abp. Adama Stefana Sapiehę o interwencję w tej sprawie u gubernatora Hansa Franka w Krakowie, ale list krakowskiego metropolity pozostał bez odpowiedzi.

Doświadczenia, jakie spadły na Kościół archidiecezji lwowskiej obrz. łac. podczas wojny były również osobistą tragedią dla podeszłego wiekiem i schorowanego metropolity. Zmieniająca się raz po raz okupacja sowiecka i niemiecka, represje wobec duchowieństwa i wiernych szczególnie dotkliwie z rąk sowieckich, zamknięcie i rozproszenie Seminarium Duchownego, zamykanie i niszczenie świątyń czy wreszcie eksterminacyjna akcja szowinistów ukraińskich wymierzona w Kościół rzymskokatolicki oraz w naród polski — były nieuchronną zapowiedzią zbliżającej się zagłady wielowiekowej tradycji i bogatej historii archidiecezji lwowskiej. Metropolita świadomy rangi sytuacji informował papieża Piusa XII pismami z 7.III. i 12.VII.1943 r. w zasadzie o sytuacji religijnej lokalnego Kościoła, wskazując na przejawy ożywienia wiary i praktyk religijnych, nie akcentując jednak dość wyraźnie strat ponoszonych przez archidiecezję. Czy kryła się tu obawa przed eskalacją represji ze strony wrogów po ewentualnym przejściu owych dokumentów, czy też zaważyły na postawie metropolity inne argumenty? Pytanie to nie zostało dotąd pozytywnie rozstrzygnięte.

W drugiej połowie grudnia 1939 r. abp Twardowski został wyrzucony przez władze sowieckie ze swej rezydencji przy ul. Czarnieckiego 32, znajdując schronienie w domu Księża Misjonarzy przy ul. Dwernickiego. Powrócił stamtąd do pałacu arcybiskupiego 16.VII.1941 r. po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej. Postępująca choroba powodowała, że metropolita ciężar rządów archidiecezją złożył w dużej mierze na barki biskupa pomocniczego Eugeniusza Baziaka (1890–1962), który od 26.IV.1944 r. pełnił przy nim funkcję koadiutora z prawem następstwa, choć sakrę biskupią przyjął dużo wcześniej, bo 5.XI.1933 r. Stopniowo abp Twardowski wycofywał się z czynnego życia; ostatnich święceń kapłańskich udzielił we Lwowie 15.XI.1942 r., zlecając potem szafarstwo sakramentów św. biskupowi pomocniczemu. Nie rezygnował jednak bynajmniej z jakiegokolwiek szansy niesienia pomocy ofiarom wojny. Warto w tym miejscu wspomnieć choćby mało znany fakt przygarnięcia do rezydencji arcybiskupiej podczas okupacji niemieckiej żydowskiej rodziny lekarza dr. Władysława Elmera, czy o przejawach troski względem uwięzionego przez gestapo rektora Seminarium Duchownego we Lwowie — ks. prof. dr. hab. Stanisława Frankla (1903–1944).

Rok 1944 przyniósł ze sobą decydujące rozstrzygnięcia w życiu abp. Bolesława Twardowskiego: otrzymał on bowiem koadiutora z prawem sukcesji, co napawało otuchą i zapewniało ciągłość funkcjonowania Kościoła lokalnego, ale z drugiej strony zdrowie coraz bardziej podupadało. Zapowiedzią bliskiego końca stała się postępująca w błyskawicznym tempie choroba wywołana przeziębieniem podczas udziału w pogrzebie abp. Andrzeja Szeptyckiego 5.XI.1944 r. we Lwowie. Pomimo troskliwej opieki lekarskiej i modłów całej archidiecezji, metropolita zmarł 22 listopada tegoż roku z powodu choroby serca i zapalenia płuc. Ceremonii pogrzebowej przewodniczył nowy rządca archidiecezji — abp E. Baziak w asyście alumnów i nielicznych księży. Trumna ze zwłokami



*Abp dr Bolesław
Twardowski*

zmarłego pozostawała przez dwa dni w kościele seminaryjnym, gdzie wierni oddali ostatni hołd Pasterzowi. 25.XI. w procesyjnym kondukcie doczesne szczątki metropolity przeniesiono do bazyliki metropolitalnej. Wzdłuż całej trasy pochodu stały rozstawione grupy uzbrojonego wojska sowieckiego, którego reprezentanci kroczyli też wraz z konduktem w obawie przed nieprzewidzianą manifestacją.

W bazylice nabożeństwo żałobne odprawił jeszcze tego samego dnia najpierw abp Józef Slipij (1892–1984) — metropolita lwowski obrz. łac. greckokatolickiego, a po nim abp E. Baziak. W stallach zasiadali dwaj biskupi przemyscy obrz. łac.: Franciszek Barda (1880–1964) i Wojciech Tomaka (1875–1967), przedstawiciele polskiej armii kościuszkowskiej oraz duchowieństwo. Przed wyruszeniem konduktu z bazyliki, żałobne egzekwie odprawił przedstawiciele trzech obrządków katolickich Lwowa: łacińskiego, ormiańskiego i unickiego, przy czym ci ostatni nie uczestniczyli w dalszych uroczystościach pogrzebowych. Pochód wyruszył ze świątyni i przez place: Mariacki, Halicki, Bernardyński skierował się ku ul. Piekarskiej, poczym wzdłuż Cmentarza Łyczakowskiego ul. św. Piotra i Pawła doszedł do ul. Łyczakowskiej i skierował się do kościoła M.B. Ostrobramskiej. Na całej trasie pochodu zgromadziło się setki żołnierzy sowieckich pod bronią i kilka czołgów wymierzonych w maszerujących. W ostatniej drodze zmarłemu metropolicie towarzyszyli reprezentanci wszystkich warstw społecznych Lwowa i całej archidiecezji oraz ok. 300 kapłanów. W głębokiej zadumie, w modlitewnym nastroju żegnano Polaka-patriotę, zwierzchnika Kościoła Archidiecezji lwowskiej oraz steranego trudami życia człowieka, z pełną świadomością końca pewnej epoki w dziejach narodu i Lwowa.

Zwłoki zmarłego złożono zgodnie z jego życzeniem w krypcie kościoła M.B. Ostrobramskiej, natomiast serce umieszczono wedle woli testatora w ścianie chóru zakonnego klasztoru Sióstr Karmelitanek we Lwowie. Niedługo wszakże ciało abp. Twardowskiego spoczywało w umiłowanej przezeń świątyni, bowiem po sprofanowaniu jej przez władze sowieckie, przeniesiono je w 1947/48 r. do krypty w podziemiach bazyliki metropolitalnej we Lwowie. Podobny los — o czym wcześniej wspomniano — spotkał serce metropolity, wywiezione wraz z transportem zakonnice granie dzisiejszej Polski do Włocławka.

Nie ulega wątpliwości, iż abp Bolesław Twardowski należy do

grona zasłużonych postaci Kościoła katolickiego i narodu polskiego na południowo-wschodnich kresach Rzeczypospolitej. Choć raz rozmachem inicjatyw społeczno-religijnych, naukowych czy kulturalnych nie dorównał swemu wielkiemu poprzednikowi abp. Józefowi Bilczewskiemu, to jednak zapisał się w pamięci potomnych jako pasterz dbały o dobro Kościoła i wiernych. Już w czasie pogrzebu, a potem jeszcze wielokrotnie akcentowano, iż nie

był „reformatorem, lecz kontynuatorem dzieła” Sługi Bożego, strzegącym skrzętnie i pomnażającym wypracowane przez niego wartości. Nie umniejsza to jednak autentycznych walorów i zasług człowieka i kapłana, któremu wielotysięczny tłum towarzyszący w ostatniej drodze wystawił najlepsze świadectwo rzeczywistej, ponadczasowej wartości.

Wspomnienia lwowskiego bankowca

Szczepan Świątek

st. kustosz Archiwum Państwowego w Krakowie

Przeprowadzając kwerendę źródłową do dziejów bankowości krakowskiej, ściśle powiązanej z bankowością lwowską stwierdziłem w aktach zespołu Towarzystwa Kredytowego Miejskiego Oddziału Krakowskiego (Archiwum Państwowe w Krakowie) spisane wspomnienia dyrektora Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego we Lwowie. Rękopis niepodpisany liczy 38 str., z wyodrębnionymi „rozdziałami”: krótka przedmowa o nastrojach przedwrześniowych, Lwów od 1 IX — 22 IX 1939, okres okupacji bolszewickiej, stan umysłów we Lwowie. Sądząc po informacjach w tekście, spisany po kwietniu 1940r. Autorem wspomnień był Andrzej Dunin.

Omawiane nastroje przedwrześniowe we Lwowie są zgodne z udokumentowanym w historiografii polskiej nastrojem społeczeństwa polskiego.

„Społeczeństwo polskie we Lwowie przyjęło wojnę spokojnie i z powagą. To krwawe miasto ma już swoją wojenną rutynę”. Autor wspomnień eksponuje znaczenie doświadczeń wojny 1919–1920 na nastroje społeczeństwa lwowskiego. Niepokoje zapanały po opuszczeniu Warszawy przez władze państwowe i po napływającej fali uchodźców z Krakowa i Warszawy, przechodzące przez Lwów wojska (w tym lotnicy) kierujące się ku Rumunii. Tylko nieliczni Lwowianie opuszczali miasto. Wzmiankuje o nalotach i stratach wojennych.

Po 17 września 1939 r. zapanowała niepewność, kto przejmie miasto: Niemcy czy Sowieci. Zastanawiano się nad tym w Zarządzie Miasta i na Uniwersytecie (tzw. „grupa profesorska”, do której zaliczał się autor wspomnień). Za Sowieci opowiadali się ludzie powiązani — także rodzinnie — ze środowiskiem żydowskim. Autor bardzo krytycznie ocenia postawę części ludności żydowskiej w szczególności robotniczej i drobnomieszczańskiej. Relacjonuje pobyt oficerów niemieckich w majątku rodzinnym pod

Lwowem i mapę, na której Lwów i zagłębie naftowe leżały w strefie niemieckiej, oraz ich późniejsze zdziwienie w momencie wycofywania.

Omawiając okres okupacji bolszewickiej autor wspomnień wzmiankuje o represjach wobec ziemianstwa, prokuratorów, sędziów, oficerów, urzędników administracji państwowej i policji. Ludność ukraińska była zainteresowana zmniejszeniem polskiego stanu posiadania. Omawia z goryczą lansowaną propagandę sowiecką. Z humorem omawia wkraczającą administrację rosyjską, za komisarzem żona lub rodzina obarczona tobołkami, której Lwów imponował swoim bogactwem. Informacji dostarczał jedynie „Czerwony Sztandar” wydawany w duchu „nowego życia”.

Relacjonuje pierwsze kontakty z pułkownikiem rosyjskim, który zajął bank. O przeprowadzeniu inwentaryzacji nie chciał słyszeć: „U nas jest taki zakon (prawo), że się nie pisze”. „W toku rozmowy pozwoliłem sobie na jedno wnikliwe pytanie „Co też towarzyszu będzie z całą tą masą inteligencji, która jest w nowym ustroju?”. „Sowieci” popatrzyli na mnie twardo, zastanowił się i ostro wygarnął: „Znajcz szczo bude — zdoch”.

Relacjonuje nieprzyjemne przesłuchanie przez NKWD i kontakty z rosyjskim komisarzem bankowym, który nadawał się do prowadzenia Kasy Stefczyka. Inne wspomnienia dotyczą spraw ściśle bankowych, w tym archiwum TKZ we Lwowie w 1939.

Omawiając stan umysłów we Lwowie, związany z oczekiwaniem na wiosenne wyzwolenie w 1940, kończy zdaniem: „Naród Polski był i jest z krwi i kości narodem ludzi wolnych i myśl o niewoli uważał za absurd”.

Rękopis wspomnień bankowca przechowywany jest w zbiorach Archiwum Państwowego w Krakowie, ul. Sienna 16. Dokumentuje nastroje inteligencji lwowskiej (urzędniczej) oraz założenia polityki sowieckiej.

Przepis na chleb kulikowski:

Trzeba wziąć pół serca
Funt tęsknoty i pół litra żalu
Przemieszać jak kotyliony
Na ostatnim przedwojennym balu
Ugnieść porządnie po łagrach
Obozach emigracyjnych
I wypiekać
Wypalać — na kamień...

Jan Bill — poeta Miasta Semper Fidelis

Dom na Krasuczynie c.d.

Izabella Czermakowa

W jakiś słoneczny dzień, w samo południe znaleźliśmy się na gwarnej, handlowej ulicy Kazimierzowskiej. Nagle pośród mnóstwa furgonów zaprzęzonych w ciężkie perszerony, Jerzy spostrzegł na jezdni coś, co go zafrapowało. Zatrzymał się i bez słowa wskazał mi wzrokiem niezwykłą scenę — przodem szedł szybkim krokiem stary karawaniarz w wyszarzałej liberii z białą dziecięcą trumienką na ramieniu, za nim dreptała drobna, młoda kobieta w czarnej chusteczce na głowie. Płakała. Z prawej strony, tuż nad trumienką, wisiał wielki, brunatny łeb konia. Nikt nie zwracał uwagi na ten osobliwy kondukt. Przed kościołem św. Anny pogrzeb skręcił w stronę Janowskiego cmentarza. Był to najsmutniejszy pogrzeb jaki w życiu widziałam. Obojętność ruchliwej ulicy była wstrząsająca.

Nieślubne dziecko służącej, zmarło na garnuszkę u fabrykantki aniołków — pomyślałam głośno.

Jerzy zachnął się. — Nie o to chodzi, to literatura, i to kiepska. Ale ten łeb koński — nad trumną! A powiedzieliby: wariacki surrealizm!

Nie ulega kwestii, że w owym czasie wiedzę o życiu czerpałam raczej z literatury niż z doświadczenia. Ale wtedy wydawało mi się, że właśnie ja dostrzegłam w tej scenie ulicznej prawdę życia. Tylko że nic z tego nie wynikało, nie mogło wynikać. Natomiast absurdalne zestawienie form — trumna i koński łeb — mogło wywołać wstrząs. Zrozumiałam wtedy jałowość tzw. trzeźwego widzenia. Takie chwile uczą szacunku dla każdej, choćby najmniejszej iskierej twórczej.

Drugi pogrzeb był wspaniały, jeśli mnie pamięć nie myli, był to pogrzeb arcybiskupa omiańskiego Teodorowicza. Wyszliśmy na Plac Bernardyński i ugrzęźliśmy w tłumie gapiów. Na tle pięknej fasady starego kościoła toczył się majestatyczny pochód niezliczonych kleryków, księży, mnichów i zakonnic w najrozmaitszych strojach: czarnych, brązowych, białych, tu i ówdzie przeblyskiwały fiolety. Niebo było chmurne, ale od czasu do czasu skośny promień słońca omiatał jakiś fragment konduktu; porywisty wiatr wydymał habity wyolbrzymiając ich rozmiary, sztywne kornety zakonnic robiły wrażenie ogromnych motyli, które lada chwila wzbiją się w powietrze. Jerzy stał nieruchomo, oczarowany tym widokiem, zapominał, że znajduje się w zwartym tłumie i z zachwytem wykrzykiwał raz po raz: Ależ to Goya, naprawdę Goya!

Nagle, jak gdyby spod ziemi wyrósł przed nim wysoki, zażywny policjant i rzekł groźnie: „Co pan powiedział? Goje? To są dla pana goje?”

Jerzy spojrzał na niego nieprzytomnym, bezgranicznie zdumionym wzrokiem. Nic nie rozumiał. Ale ja zrozumiałam. Podeszłam szybko do policjanta i zaczęłam trzepać: „Ten pan jest malarzem, panie przodowniku, i powiedział, że ten pogrzeb przypomina mu obraz wielkiego hiszpańskiego malarza Goyi. Goya nazywał się ten sławny Hiszpan, Goya, to można sprawdzić!”

Policjant zmierzył mnie nieufnie od stóp do głów. Byłam dobrze ubrana. „To państwo jesteście razem?” — zapytał już trochę mniej groźnie. „Razem, panie przodowniku, razem!”. Teraz policjant chciał już tylko „ratować twarz”. — Ale na pogrzebie nie wolno mówić tak głośno, proszę to sobie zapamiętać! — huknął i znikł w tłumie.

Jerzy dalej nic nie rozumiał. Wytłumaczyłam mu. Weszliśmy do najbliższej bramy żeby się wyśmiać. Płakaliśmy ze śmiechu i długo nie mogliśmy się uspokoić. Ale mnie nadal dławilo coś w krtani; czułam, że ściany dyliżansu trzeszczą.

Przeciwieństwem Janischa był zawsze skory do śmiechu, figłów i kawałów architekt Karol Kocimski. Jeszcze podczas stu-



Warszawa — Stare Miasto 1939: Stanisław Tesseyre, Matka — Izabella Czermak, Marylka Tesseyre, Tadeusz Wojciechowski

diów zaprzyjaźnił się serdecznie z Wojciechowskim i wdepnął między malarzy. Sam zresztą świetnie rysował, jego projekty architektoniczne przypominały Noakowskiego. Karol był typowym lwowskim dzieckiem i nawet zgrywał się trochę na „prostego” chłopaka z Wólki, kpił na potęgę z naszych „pięknoduchowskich” rozmów, z tych wszystkich „Proustów i Huxleyów”, których mimo to czytał i nawet się nimi zachwycił — „w tajemnicy przed samym sobą”, jak twierdziła Marylka. Kocimski znakomicie władał gwarą lwowskich przedmieść, którą jego przyjaciele Szczepcio i Tońcio rozsławili na całą Polskę; podejrzałam, że nie jeden koncept Karola, zrodzony przy kieliszku w knajpie Atlasa, zasilili repertuar „Wesołej Lwowskiej Fali”.

Tej knapce na Rynku należy się chyba rzewne wspomnienie, choćby dlatego, że wszyscy czuliśmy się tam jak w domu. Lokal popularnego w pewnych kołach inteligencji Edzia Atlasa był niewielki i skromnie urządzone. Składał się z jednej średniej wielkości sali i dwóch, a może trzech małych. Schodzili się tam głównie artyści, dziennikarze i profesorowie uniwersytetu, oczywiście ci, którzy nie tchórzeli przed posądzeniem o „żydokomunę”. Ściany najmniejszej sali obwieszane były podobiznami i karykaturami dawniejszych bywalców lokalu. Pamiętam z tych sal burboński profil Henryka Zbierchowskiego z młodopolską grzywą, złośliwą karykaturę rzeźbiarza Kurczyńskiego, wyolbrzymiającą jego pokazną tuszę. Pamiętam rozłożystą brodę popularnego niegdyś recytatora poezji — Krzyżanowskiego.

Kuchnia była u Atlasa znakomita. Nie tak wykwintna jak u pobliskiego Kozioła, ale równie smaczna. Edzio osobiście dobierał

swoim gościom potrawy i trunki, znał na wylot ich gusty i... zawartość portfeli. Miał zdecydowanego febla do artystów i nie raz udzielał im kredytu. I jakoś wcale nie bankrutował, wręcz przeciwnie, dorobił się nawet ładnej fortunki.

Od Atlasa wychodziło się wprost na sędziwą Kamienicę Królewską, mijało się mroczną uliczkę Dominikańską i od razu stawiało się przed urzekającą fasadą kościoła Dominikanów. Zielona kopuła i księżyc — jeden Gałczyński mógłby temu sprostać...

W owych czasach przyjeżdżał niekiedy do Lwowa któryś z malarzy polskich mieszkających stale w Paryżu. Nie pamiętam kiedy to było, gdy zjawił się wśród nas znany już i ceniony zagranicą malarz — Zygmunt Menkes. Pamiętam, że był już marzec, ale miasto tonęło jeszcze w zwałach śniegu. W słoneczny niedzielny ranek wybraliśmy się z Menkesem i jego piękną żoną na Wysoki Zamek. Towarzyszyła nam wtedy jakaś młoda, bajecznie ubrana Francuzka (nie pamiętam skąd się wzięła!) i chcieliśmy pokazać jej miasto, które z góry wyglądało naprawdę pięknie. Dobrze wychowana Francuzka była naturalnie wszystkim zachwycona i na każdym kroku dawała upust swoim wrażeniom. Paplała jak sroka. Około południa powiał ciepły wiatr i gwałtowna odwilż zmusiła nas do szybkiego odwrotu. Chcąc najkrótszą drogą dostać się do tramwaju weszliśmy w wąską i stromą uliczkę Sieniawską. Była to jedna z tych ulic, których zazwyczaj nie pokazuje się cudzoziemcom. Cała okolica słynęła z podejrzanych spelunek oraz pań, co do których profesji nie można było mieć złudzeń. Teraz środkiem ulicy płynął wartki strumień brudnej wody, więc szliśmy ostrożnie gęsiego wzdłuż parterowych ruder. Nagle nasz „paryżanin” zatrzymał się przed jednym z domków i wykrzyknął z emfazą: „Tutaj!”.

I z liryczną łezką w głosie wyznał, że jako kilkunastoletni gimnazjalista pod tym właśnie ubożuchnym dachem doznał pierwszych uniesień miłosnych i dostąpił najwyższego wtajemniczenia. Był szczerze wzruszony.

A wytworna Francuzeczka, nie zrozumiałwszy sensu lirycznej apostrofy Menkesa, patrzyła przez lorgnon na odrapaną rudę, i w nieustającym zachwycie powtarzała w kółko słowo „pittoresque”. Odtąd wyraz „pittoresque” zastępował nam inne słówko, którego wtedy nie używano jeszcze tak często jak dzisiaj.

A propos humoru — nie brakowało go naszym artystom. Wysoce ceniono dowcip, nawet złośliwy. Nikt się nie obrażał gdy przyczepiono mu jakąś łatkę. Pamiętam, że w 1935 roku po wystawie lwowskich plastyków pozwoliłam sobie — w szczupłym gronie osób — przeczytać żartobliwie rymowaną „recenzję” z tej wystawy. Każdemu dostała się jakaś złośliwostka, nie przeznaczona bynajmniej dla szerszej publiczności. Któryś z przyjaciół (dotychczas nie wiem który) zrobił mi kawał: jeden z tych kiepskich wierszyków zaniósł do redakcji „Sygnałów” i wierszyk został wydrukowany. Była to fraszka na temat malarza Macieja Marsa, człowieka młodego, ale barczystego i ogromnego wzrostu. Malował jednak bardzo subtelny plamkami, leciutkimi dotknięciami pędzla, na modłę francuskich impresjonistów. Kontrast pomiędzy potężną postacią artysty a delikatnością faktury jego płócien nasunął mi następujący żart:

Chłopa tyli
i pointyli-
stycznie?

Komicznie!

Nie pamiętam której to zimy „towarzystwo” — jak nazwał nas uroczystie Karol — uczestniczyło na swój sposób w hucznym kamawale. Nie chodziliśmy wprawdzie na oficjalne zabawy, ale po premierze teatralnej czy filmowej szliśmy całą paczką do Atlasa, a potem do dancingu „Cyganeria” w gmachu Hotelu Krakowskiego. Tańczyło się nie raz do białego rana. Często spotykaliśmy tam „ekipę Schillera”, a więc Ottona Axera z Bronką (byliśmy z nimi bardzo zaprzyjaźnieni), Białoszczyńskich, Strachockich, Daszewskich i wielu innych. Aktorom nie raz patronował entuzjasta

teatru, jowialny i złotousty mecenas Axer, znany w całej Polsce z głośnego procesu Gorgonowej.

Pamiętam wieczór w „Cyganerii”, kiedy wstawiony na smutno młody, lecz wybijający się poeta Tadeusz Hollender twierdził z tragicznym uporem, że „biada tym, którzy po Tuwimie zechcą tworzyć poezję”. Uwielbiał Tuwima i zdawało mu się, że przynajmniej na najbliższe sto lat wszyscy poeci polscy są skazani na wtórnosc. A przecież wtedy sam zaczynał wyzwalać się z urzeczenia i znajdował już własne struny. W tych czasach bardzo bliski był mi wiersz Hollendra pt. „WE LWOWIE”:

Tutaj do jedenastej łukami perspektyw
przesuwa noc latamie jak perły na sznurach,
szumi park, drzemie głowa nad paskiem korekty,
noc usiada chmurami na siedmiu pagórkach.
Może Rzym, może Londyn morzem mgły podpływa,
może florencki Kraków na tym lwowskim rynku,
bo któż wie ile troski i życia ubywa
w splakany harmonjami tyczakowskim szynku.
O, bo żadne Warszawy, Paryże ni Rzymy
nie kryją takiej pustki na wylotach ulic,
gdy w mrok bram, po dziesiątej zamkniętych, tulimy
twarze — i tylko smutku już nam nie utulić.
Tu patrzymy z teatru w najpiękniejszą w świecie
perspektywę, utkaną lampami przez mroki,
tu wracamy uliczką przez mgliste stulecia
pod omniańską katedrę, prującą obłoki,
tu śpiewamy piosenki, wychodzimy z kina,
tu znużeni czytamy prasę po kawiarniach,
tu długo się nam młodość kończy i zaczyna,
tu zagarniamy życie, nim nas śmierć zagarnie.
Tu nagle, niespodzianie — Bernardyński kościół,
po nieprzespanej nocy, o którejś nad ranem,
prosty, śmigły, cudowny, piękny jak najprościej
pod pogodą niebiosów i burzą kasztanów.
Tu miłość. Tu aleje. Tu jesienią cmentarz.
Tu wszystkie parki lwowskie w niebo strzelające.
Tu włóczęgi po mieście, jeśli noc przekłeta,
a gdy słodka — czekanie na wybuchy słońca.
Czekanie na wybuchy, na świty czerwieńsze,
które wciąż burza czasów niepewnych odwleka.
Piszę — noc dziś jest słodka — na swem trzecim piętrze,
zamykam wiersz nad miastem — i czekam. I czekam.

Kiedyś na zakończenie kamawalu urządzono w „Cyganerii” zabawę kostumową. Przypuszczam, że Związek Plastyków był jednym z jej inicjatorów, gdyż w jury, które miało wybrać „najpiękniejszą panią i najelegantszego pana” zasiadło m.in. kilku naszych przyjaciół. Królową balu obwołano Marylkę Teisseyre, zaś arbitrem elegancji znanego matematyka, profesora lwowskiego uniwersytetu — Hugona Steinhausa. A kiedy para laureatów zatańczyła solo walca, wszyscy obecni wstali i bili im huczne brawa. Wszystko to odbyło się na niby, z przymrużeniem oka — Marylka ani przez chwilę nie czuła się Gretą Garbo, a profesor Steinhaus lordem Edenem. Niejeden uczone bawił się wówczas z całą prostotą w gromadzie plastyków, aktorów i młodych poetów...

Dzień ósmego maja — imieniny Staszka Teisseyre’a — otwierał zazwyczaj „sezon na Krasuczynie”. Jeden z tych wieczorów szczególnie utkwił mi w pamięci, był to bowiem ostatni wieczór, który spędził z nami Ludwik Lille przed swym definitywnym wyjazdem zagranicę.

Tym razem zebranie było niezwykle liczne; zeszli się nie tylko najbliżsi przyjaciele, ale też mnóstwo kolegów i znajomych solenizanta. Część gości zjawiała się w fantazyjnych i dowcipnych kostiumach, o które przy znanej pomysłowości artystów było łatwiej niż o porządne ubrania. Janisch przyprowadził jakiegoś tajemniczego marynarza; byliśmy przekonani, że to któryś z jego



Ludwik Lille

przyjaciół przebrał się w strój marynarski, ale niebawem okazało się, że Jerzy dla kawału zagamął wprost z ulicy autentycznego marynarza, który przyjechał z Gdyni na urlop do rodziny. Chłopak był inteligentny i bardzo szybko dostosował się do ogólnej atmosfery.

Zabawną mieszaniną gwary uczniowskiej i marynarskiej opowiadał o egzotycznych rejsach polskich statków szkolnych i przez dłuższą chwilę był primadonną zebrania. Potem bractwo się rozluźniało. Dom trząsał się od muzyki i tańca. A pośród śmiechów i

wesołych okrzyków przewijał się pogodny, absolutnie trzeźwy Ludwik Lille i... zbierał niedopałki.

— Ta dzieci kochane — perswadował dobrotliwie — ta nie zapominajcie, że dom jest drewniany, ta uważajcie trochę!

Pamiętam taki obrazek: na schodach wiodących z hallu na górę stoi tancerka w króciutkiej spódniczce a'la Toulouse-Lautrec, przed nią, o stopień niżej, Ludwik w grubym, ciemnym ubraniu z dużą popielniczką w wyciągniętej ręce i błaga dziewczynę, by zgasila papierosa. Wyglądał jak kwestujący mnich. Nagle Staszek otworzył szeroko drzwi na taras i ogród. Do hallu wtargnęła pogodna, księżycowa noc — i głośny, szalony, frenetyczny chór słowików.

Umilkł patefon, ucichły rozmowy i śmiechy. Włożyłam płaszcz, usiadłam na tarasie, za chwilę przyłączył się do mnie Ludwik. Rozmawialiśmy aż do świtu. Mówiliśmy o sprawach bardzo odległych od nastroju rozśpiewanej chaty, gdzie znowu zaczęto tańczyć. Ani łkanie saksofonów, ani śpiew słowików nie zdołały nam zagłuszyć podziemnych grzmotów, zwiastujących bliski wybuch wulkanu.

Było to moje ostatnie spotkanie z Ludwikiem Lillem. I nigdy więcej nie słuchałam już słowików.

Wulkan wybuchł.

I oto okazało się, że te „wieżyczki z kości słoniowej”, te „świętyńki sztuki” z dnia na dzień przeobraziły się w gniazda zjadłego oporu przeciwko hitlerowskiej przemocy. Ci oderwani od życia artyści z najwyższym zaparciem się siebie potrafili ratować od zagłady nie tylko przyjaciół, ale również ludzi zupełnie im obcych.

Takie były ich obyczaje.

Moi kochankowie

Ludwika Castori-Dąbrowska

Wspominać kochanków — to bardzo proste: wystarczy przywołać w pamięci ich twarze, policzyć ilu ich było i nic więcej. Natomiast wspominać tylko tych dwóch, nierozdzielnie ze sobą związanych — to o wiele trudniej. Więc proszę wybaczyć, że wspomnienia te będą trochę chaotyczne, przewijając się będą tutaj postaci ludzi, którym mam wiele do zawdzięczenia, którzy mi pomagali i którzy nauczyli mnie kochać właśnie tych dwóch wybrańców: Lwów i Teatr!

Oto garść wspomnień z ostatniego roku ostatniego zawodowego polskiego Teatru we Lwowie. Chciałabym wydobyć z niepamięci fakty, które pokryły się już mgłą przeszłości. Z pożółkłych recenzji, wyblakłych fotografii, z listów i notatek odczytuję treść wzruszającą, ślady niezatarte.

PIERWSZORZĘDNY SALON ARTYSTYCZNYCH TOALET DAMSKICH

„JOLANDA“

LWÓW, ULICA STASZICA L. 8, II. p.

zaopatrzone w najnowsze żurnale, posiadający najwybitniejsze siły fachowe, został otwarty z dniem 15 grudnia b. r. — Wykonuje wszelkie roboty w zakresie krawiectwa damskiego wchodzące. — Wypożyczalnia stylowych kostiumów na bale kostiumowe i readowe.

Poleca się łaskawym względem Szan. P. T. Pań.

Konc. przez Min. Wyzn. Rel. i O. P. kurs kroju i szycia.

Urodzona we Lwowie, wychowałam się w „rodzinie teatralnej”. Wuj mój Eugeniusz Kalinowski był reżyserem i sekretarzem Teatru Wielkiego we Lwowie, a wujenka Anna, śpiewaczką Opery lwowskiej. To ona zabierała mnie bardzo często najpierw na bajki, potem na przedstawienia szkolne, tak że już bardzo wcześniej połączyłam „bakcyła teatralnego”. Potem już w szkole nie było

„wieczorów artystycznych” — jak to szumnie nazywaliśmy, czy okolicznościowych akademii, w których nie brałabym udziału.

Na jedną z końcowych prób takiej właśnie akademii została zaproszona pani Wanda Siemaszkowa, która miała ocenić poziom i wykonanie imprezy. Bardzo nam wszystkim zależało na uwagach i wskazówkach wielkiej aktorki. W pierwszej części wieczoru recytowałam wiersz mego uwielbianego poety Jana Lechonia „Piłsudski” — „Czama Rachel”. W czasie przerwy zostałam wezwana do gabinetu dyrektora, gdzie pierwszy raz zetknęłam się z panią Wandą. Spojrzała na mnie i z jej tylko właściwym uśmiechem i czułością zapytała kto uczył mnie recytacji. Odpowiedziałam, że profesor organizujący akademię dawał mi wskazówki, a właściwie pracowałam sama. Po chwili zapytała: „A czy miałabyś ochotę uczyć się dalej recytacji?”. Zaniemówiłam. Jak to? przecież chodzę do szkoły, czeka mnie matura, a tu taka propozycja. Zrozumiała moją konsternację i zaproponowała, abym dwa razy w tygodniu przychodziła na lekcje do szkoły teatralnej, którą prowadziła. Z wielkim wzruszeniem i łzami w oczach pocałowałam ją w rękę, powiedziałam tylko: „jutro przyjdę!” i wybiegłam z gabinetu. Oczywiście wieść rozeszła się lotem błyskawicy, wszystkie koleżanki cieszyły się razem ze mną, a Hugo Piesch (późniejszy pseudonim: Krzyski), który był zaproszony do udziału w akademii a kończył właśnie szkołę Pani Wandy, powiedział: „Ale masz szczęście dziewczyno, może się jeszcze kiedyś spotkamy w teatrze!”. I tak się stało, bo kiedy wróciłam po pięcioletnim pobycie w Teatrze Polskim w Warszawie — do Krakowa, zastałam go w Teatrze im. J. Słowackiego.

I tak się zaczęło. Jakoś udało mi się godzić naukę w szkole i lekcje u Pani Wandy.

Na jednej z lekcji pani Wandy zauważyłam, że koleżanka

bardzo szybko notuje uwagi. Podeszłam do niej i zobaczyłam jakieś dziwne hieroglify. Zapytałam: „Co to?” — „Stenografuję” odpowiedziała. Bardzo mnie to zaciekało i poprosiłam aby mnie nauczyła. Zaprowadziła mnie do prof. Karpińskiego, który prowadził kursy stenografii przy ul. Hoffmana. Zapisalam się na skrócony kurs trwający trzy miesiące i zdałam końcowy egzamin. Jak mogłam pogodzić te trzy zajęcia — do dzisiaj nie mogę zrozumieć. Tak to bywa, gdy się ma... naście lat. Wszyscy znajomi i koleżanki pytali ze zdziwieniem: „Na co jej ta stenografia?” i zakreślali kółko na czole. Ale mnie to nie obchodziło, bo — jak się później okazało. Jeden z moich wujów, lotnik, zaprzyjaźnił się z profesorem drem Aleksandrem Domaszewiczem, neurochirurgiem, który przygotowywał właśnie publikację na ten temat, dyskutując swoje uwagi w czasie badań pacjentów i operacji. Ponieważ żadna z pielęgniarek nie mogła nadać szybkiemu dyktandu. Kiedy profesor przypadkowo dowiedział się od mego wuja, że umiem stenografować, zwrócił się do mojej matki, aby zezwoliła na okresowe zatrudnienie mnie w klinice w charakterze... stenografistki. Matka ani słyszeć o tym nie chciała, tłumacząc, że przecież się uczę, że czeka mnie matura, że jeszcze na dobitkę zachciało mi się szkoły dramatycznej — nie, to niemożliwe, bardzo jej przykro — ale niemożliwe. Profesor jednak był nieugięty. Wyjednał u samej ksieni SS. Benedyktynek zwolnienie mnie z zajęć szkolnych pod warunkiem, że dwa razy w tygodniu będę zabierała materiał przerabiany na lekcjach i w wyznaczonych przez pedagogów terminach zdawała z niego „egzamin”. Prof. Domaszewicz był tak znanym i cenionym we Lwowie lekarzem, tylu ludziom uratował życie, że wszyscy się z Nim liczyli i każde Jego słowo było święte.

I tak zostałam stenografistką w Klinice Neurochirurgicznej i słuchaczką Szkoły Dramatycznej.

Przez pierwszych parę dni wszystko układało się pomyślnie. Profesor był zadowolony z nowej „sekretni”. Ale... pewnego dnia kazał mi przynieść z sali, obok gabinetu, słój zaopatrzonej numerem ... (nie pamiętam). Weszłam do sali, w której na półkach stały ponumerowane duże słoiki. Numer, który miałam przynieść umieszczony był dość wysoko, więc wstałam na stojącą obok drabinę, spojrzałam na dolne półki i ... obudziłam się na kozetce w gabinecie Profesora. Nade mną stał Profesor i pielęgniarki. Okazało się, że widok mózgow ludzkich umieszczonych w słojach z formaliną doprowadził mnie do omdlenia. Mimo tego pierwszego „egzaminu” — po wypiciu filiżanki czarnej kawy, musiałam pisać dalej. Na szczęście nigdy się to więcej nie zdarzyło.

Nadszedł rok 1939. Coraz więcej mówiło się o grożącej wojnie, ale przecież my „silni, zwarci i gotowi” wierzyliśmy, że jeżeli nawet będzie, to wyjdziemy z niej zwycięsko. Praca stała się coraz bardziej nerwowa. Profesor pracował dniami i nocami, aby skończyć rozpoczętą „Neurochirurgię w Polsce”. Ja zaniedbywałam naukę w szkole, nawet lekcje u Pani Wandy odbywały się coraz rzadziej. Bo przecież sam stenogram nie wystarcza, trzeba go przepisać na maszynę, a ponieważ jej nie mieliśmy, ani Profesor, ani ja, korzystałam z uprzejmości osób, które były w jej posiadaniu. Nawet w Banku Hipotecznym, którego dyrektor był przyjacielem Profesora, w pokoju maszynistek pisałam o neurochirurgii.

Przyszedł sierpień. O niczym się nie mówiło tylko o wojnie, a ja kończyłam ostatni rozdział pracy Profesora. I tu popełniłam największy błąd w moim życiu. Bo zamiast zachować u siebie cały przepisany egzemplarz, z wielką radością i dumą zaniósłam go Profesorowi. Z wielkim wzruszeniem odebrał go ode mnie, podziękował za pomoc, wierzył, że niedługo wojna się skończy.

1 września 1939. Na Lwów spadły pierwsze bomby. Profesor organizuje prace w konspiracji. Po złożonej przysiędze otrzymuję stopień łączniczki i pseudonim „Monika”, które towarzyszą mi do końca wojny.

Nie ma już gimnazjum, nie ma lekcji u Pani Wandy. 17 września do Lwowa wkraczają bolszewicy. Z Marysią Saganową i Krysią Dzierżanowską jesteśmy siostrami u prof. Ostrowskiego na chirurgii.

gii. Marysia — przełożoną pielęgniarek, Krysia — siostrą gospodarczą, ja — operacyjną. Miałymy przynajmniej zapewnione wyżywienie i nawet dla domu coś zostawało. Przez nasz dom przewinęły się dziesiątki „biednych uciekinierów” z Warszawy, którzy z wyładowanymi złotem kieszeniami, uciekali do Rumunii, a my tacy bogaci! Pracowałyśmy bez wytchnienia. Wciąż nowe transporty rannych, operacje, wszystko pod ciągłymi nalotami, w okropnych warunkach. I tak do końca września.

Teatr wznowił swoją działalność w swoim dawnym budynku teatru Wielkiego. Potem już jako „Państwowy Teatr Dramatyczny” został przeniesiony do gmachu przy ul. Jagiellońskiej 11 (w podwórzu), gdzie mógł pomieścić zaledwie 600 osób. Dyrektorem tego teatru został Ukrainiec Włodzimierz Kandyba.

Pani Wanda też wznowiła lekcje, ale w podziemiu. Nie były to już takie lekcje jak dawniej, ale o tyle może ciekawsze, że przychodzili aktorzy Teatru Polskiego: Alfred Szymański, Jadwiga Żmijewska, Edward Żytecki, Teresa Suchecka, Tadeusz Surowa i inni. Gawędy z nimi wiele nam dały, bo wprowadzały w atmosferę prawdziwego teatru.

Ale trzeba było z czegoś żyć. Zostałam tylko z matką, (ojciec mój umarł, kiedy byłam małym dzieckiem), obaj wujkowie zostali rozstrzelani zaraz po wejściu bolszewików, reszta rodziny albo się ukrywała, albo udało im się przedostać do Rumunii. Dzięki znajo-

Najlepsze ciastka i wyroby cukiernicze
poleca
CUKIERNIA L. ZALEWSKI
LWÓW, ul. Akademicka 22, tel. 218-77

mości z właścicielem znanej firmy cukierniczej we Lwowie L. Zalewskim, która została zmieniona na „Głównorożnoje” dostałyśmy z moją koleżanką Hanią Polową kiosk z lodami u zbiegu ulic Batorego i Piłsudskiego. Nie muszę opisywać, jakie kolejki znajomych ustawiały się przy naszym kiosku. W każdym razie można było jakoś żyć. Więc ja — w dzień — jak mnie nazywali „lodziarka” a w nocy wkuwałam dostarczane mi przez profesorów i kolegów materiały do matury. Bardzo mi wtedy pomogli prof. Zofia Zalewska i prof. Tadeusz Urbański. Kiedy mogłam, chodziłam na Tarnowskiego, gdzie po każdej wizycie uwielbianych przez nas aktorów i wykładach Pani Wandy coraz bardziej byłam zauroczona teatrem.

Aż tu nagle w listopadzie miasto obiegła wieść, że Prof. Domaszewicz został aresztowany. Tu właśnie (o czym pisałam wyżej) okazał się mój błąd: że oddałam przepisaną, gotową pracę autorowi. W czasie rewizji w domu Profesora natrafili na ten egzemplarz, a ponieważ tytuł „Neurochirurgia w Polsce” wydawał się im bardzo podejrzany — zabrali. Wiem, że rodzina Profesora starała się odzyskać „Neurochirurgię”, ale bez rezultatu. I ta wspaniała, tyloletnia praca Profesora, która byłaby tak pomocna Jego następcom — przepadła. Gdybym ją była zatrzymała u siebie — może by się uratowała.

Ale życie musiało się toczyć dalej. I tak dzieliłam czas pomiędzy sprzedawaniem lekcjami u Pani Wandy i — kiedy tylko czas pozwolił — chodzeniem do teatru. Widziałam wszystkie nowe premiery, znałam cały repertuar, ale największe wrażenie zrobił na mnie montaż utworów A. Mickiewicza „Książka Adama Mickiewicza” wystawiony w 85. rocznicę zgonu wielkiego poety. W drugiej części tego wieczoru wstrząsające wrażenie wywołała recytacja przez Wandę Siemaszkową fragmentu XI Księgi „Pana Tadeusza” „O roku ów, kto ciebie widział w naszym kraju!” Jej niezapomniany głos, każde słowo które jak perełka docierało do licznie zgromadzonej publiczności, pozostaną na zawsze w mojej pamięci.

W listopadzie 1940 roku zostaje prof. Domaszewicz zwolniony. Z jaką ulgą przyjęliśmy tę wiadomość! Wprawdzie w czasie Jego nieobecności pracami w konspiracji kierował b. wice—prezydent m. Lwowa Dr Zdzisław Stroński — ale to nie było „to”. I teraz prof. Domaszewicz dotrzymał danego słowa, bo sobie tylko znanymi drogami — doprowadził do włączenia mnie do małej grupy uczennic gimnazjum im. Kr. Jadwigi, gdzie jako eksternistka zdałam maturę.

I tak dotrwaliśmy do czerwca 1941 roku. Pamiętam ostatnią premierę teatru „Krakowiacy i górale”, która odbyła się 20 czerwca 1941 roku. Widziałam jak hitlerowcy wtargnęli do Lwowa, a aktorzy mimo nalotów i bombardowań grali jeszcze ostatni spektakl 27 czerwca, ale już go nie dokończyli, bo bojąc się represji, w kostiumach i charakterystyce uciekali pustymi ulicami do domów.

Zaczął się najtrudniejszy okres. Ponure chmury drugiej okupacji zawisły nad Lwowem. Nie było już teatru. Zespół rozproszył się. Niektórzy opuścili miasto, wycofując się z armią radziecką (Krasnowiecki, Hanin). Pozostali podejmowali się różnych zajęć, nie mających nic wspólnego z ich dotychczasowym zawodem. Niektórzy zmuszeni byli nałożyć opaski, inni zginęli w kaźniach i obozach faszystowskich. Znakomity aktor, syn wielkiego ojca, Mieczysław Węgrzyn został rozstrzelany w Oświęcimiu, uwięzieni i rozstrzelani zostali J. Staszewski, N. Zarembińska, A. Byszczyński, H. Plesnerówna, T. Grudziwski. Ocalałych podtrzymywały na duchu ich konspiracyjne imprezy artystyczne urządzone w prywatnych mieszkaniach. Znajomi chętnie użyczali na nie swoich mieszkań a przewodzili im Bronisław Dąbrowski, Artur Młodnicki, Tadeusz Surowa, Zdzisława Życzkowska i Teresa Suchecka. Ta właśnie piątka postanowiła przygotować konspiracyjne przedstawienie polskiej sztuki. T. Surowa znał bardzo dobrze Ks. Alfonsa Schletza, który użyczył locum na to przedstawienie, a mieściło się ono w domu parafialnym przy kościele św. Wincen-

tego przy ul. Św. Zofii, obok... koszarów gestapo a po drugiej stronie... mieszkania gubernatora. Wybrano sztukę małoobsadową Gabrieli Zapolskiej: „Ich czworo” w obsadzie: Mąż — A. Młodnicki, Żona — I. Tomaszewska, Kochanek — T. Surowa, Wdowa — Z. Życzkowska, Szwaczka — T. Suchecka, Służąca — J. Pitołajówna, Dorozkarz — B. Broński, Dziecko — Joasia Skwarczyńska. Reżyser — B. Dąbrowski. Były tylko dwa warunki: wchodzenie do budynku najwyżej po dwie osoby i surowo zabronione brawa. Ale to było nieuniknione, bo pojawienie się ulubionych aktorów i dźwięk polskiego słowa płynący ze „strychu”, obok gestapo wywoływały mimowolne brawa i uśmiechy, bo i tak wierzyliśmy wszyscy, że wojna się już kończy.

Ja zmieniłam tylko miejsce pracy, bo zamiast w kiosku „Głównomorożno” znalazłam się wraz z kilkoma koleżankami w dużym lokalu „Eisdiele” przy ul. Legionów (obok Wielkiego Teatru). Przychodzili tam Polacy, Niemcy, ale najczęściej włoscy żołnierze, którzy pokrywom sprzedawali różne rzeczy, zachowywali się całkiem poprawnie i kelnerki nawet się z nimi zaprzyjaźniły. Kiedy zwracałam im uwagę aby tego nie robiły, nie pamiętam już z jakiej okazji, ofiarowały mi bukiet kwiatków z bilecikami:

*Nie gniewaj się na nas Lidko,
Puść na „randkę” gdy czas nagli,
Kariera przemienie szybko,
A amantów wezmą diabli!*

Zbliżała się zima. Lody zamieniono na kawę, herbatę i ciastka. Tuż przed świętami Bożego Narodzenia dostaję rozkaz dostarczenia w dniu Wigilii dwóch pistoletów z mieszkania profesora przy ul. Ossolińskich na ulicę Nabelaka. Mam się po nie zgłosić o zmierzchu. Przysłałam o wiele za wcześnie, bo nerwy poniosły. I teraz problem: w czym ten „towar” przenieść bezpiecznie. Pani Bola, żona profesora (moja niezapomniana opiekunka) wpada na pomysł, że najlepiej będzie ukryć w dwóch torbach pełnych ziemniaków. Więc pakuję na spód ziemniaki, potem pistolety i na wierzch znów ziemniaki. I tak obładowana, już całkiem o zmroku idę ostrożnie, bo chodniki ośnieżone i oblodzone, ulicami Ossolińskich, Chorażczyzny, Akademicką, pl. Mariackim. Widzę w niektórych oknach zapalone już choinki, nastrój świąteczny może i mnie by się udzielił, gdyby nie ta cholerna trema. Nagle u wylotu pl. Mariackiego i ul. Kopernika wyrasta przede mną żandarm i woła: „Ausweis!” I tu był mój pierwszy debiut sceniczny. Zaczynam grać! A myśli przewijają się błyskawicznie: jeżeli postawię obie torby na ziemi (a są one uszyte z worków, więc są miękkie, to ziemniaki mogą się zsunąć i ukaże się przedziwna zawartość). Więc zaczynam nimi manewrować: to chcę położyć na śniegu, to przenieść do drugiej ręki, chcę zyskać na czasie. Żandarm patrzy, nawet uśmiecha się, wreszcie widzi, że nie mogę się zdecydować, bierze ode mnie obie torby. Ja spokojnie sięgam do konduktorki, którą mam na ramieniu, aby pokazać ausweis i zaczynam (nie wiem kto mi nakazał czy podsunął tę myśl) cichutko śpiewać — rozczulającą wszystkich Niemców — kolędę „Stille Nacht, heilige Nacht”. Żandarm ogłupiały, oddaje mi obie torby, salutuje i mówi: „Verzeihen Sie, Fraulein, frohliche Weihnachten!”. I poszedł. Ja dalej stoję jak skamieniała, nogą ruszyć nie mogę, bo to wszystko działo się jakby poza mną. Wreszcie doszłam do przytomności i już nie napotkawszy nikogo dotarłam jeszcze przed godziną policyjną do celu. Wszyscy obecni, którzy z niepokojem na mnie czekali, przerazili się moim widokiem. Podobno wyglądałam jak upiór. A złożyły się na to i strach przed tym co mnie czeka i żal, że już matki nie zobaczę, a przede wszystkim trema przed występem, na całe szczęście... nie scenicznym.

Rok 1942. Prof. Domaszewicz wyjeżdża do Warszawy, gdzie na Pradze organizuje szpital. I tu — niestety — w lipcu zostaje aresztowany przez gestapo. Zwalniana go wprawdzie ale dopiero w maju 1943 r. Wycieńczony przeżyciami lat spędzonych w więzieniach, nie może już tak pracować jak dawniej. pozostaje w Warszawie.

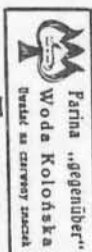
Zeszyt 3 Cena egzemplarza 50 groszy Rok VIII



MIEJSKIE TEATRY WE LWOWIE

pod dyrektcją TEOFILA TRZCIŃSKIEGO

EX LIBRIS
M Stef. Gakli.



EMIL URICH

Lwów, ul. 3-go Maja 7, Tel. Nr. 505



Skład maszyn do pisania, małe (portable), do rachowania, piszące do dodawania i odejmowania, aparaty do powielania oraz wszelkie przybory do tychże pierwszorzędnych fabrykatów. Składy i biuro pisania i powielania pism. Wersja i naprawy maszyn do pisania, rachowania i powielania.

Ludwik Heczowski Główny Skład Farb

Telefon Nr. 669 we Lwowie, ul. Akademicka 3. Konto P.K.O. 141.276.
LINOLEUM CERATY

GOTUJCIE NA GAZIE!

UŻYWAJCIE GAZOWYCH

PIECÓW KAPIELOWYCH!

PRASUJCIE NA GAZIE!

Kompletne urządzenia gazowe na spłaty ratalne dostarcza ZAKŁAD GAZOWY MIEJSKI WE LWOWIE.

Kosztorysy bezpłatnie. Zapytania w Dyrekcji Zakładu Gazowego Miejskiego, przy ul. Gasowej 1. 26. Telefon Nr. 492 i 43.

W 1944 po „wyzwoleniu” przez wojska radzieckie, władze pozwoliły na wznowienie działalności teatru pod nazwą „Państwowy Polski Teatr Dramatyczny”. Delegację aktorów złożoną z E. Żyteckiego, A. Młodnickiego, A. Szymańskiego i T. Surowy zaproponowała B. Dąbrowskiemu objęcie kierownictwa artystycznego. Po bardzo długim namyśle — zgodził się, wyznaczając na swego zastępcę E. Żyteckiego. Kierownikiem literackim Teatru został dr Jerzy Koller. Powołano radę artystyczną w której skład weszli A. Bardini, S. Cegielski, S. Czosnowski, J. Leliwa, A. Młodnicki, A. Szymański, J. Żmijewska, Z. Życzkowska, E. Żytecki.

Teatr był doszczętnie ograbiony i zniszczony przez Niemców, więc uzupełnienie tych strat wymagało ogromnej pracy i czasu. Ale konspiracyjne przedstawienie sztuki „Ich czworo” pozwoliło zainaugurować ten pierwszy sezon „Teatru Polskiego”. Pierwsze przedstawienie odbyło się 19 sierpnia widziało się, że są duże braki w zespole artystycznym, brak było młodzieży, więc kierownictwo postanowiło utworzyć przy teatrze Studio Dramatyczne.

Szukam pracy. Idąc ulicą Jagiellońską zobaczyłam wywieszkę na bramie Teatru: „Przyjmuje się do zespołu artystycznego, administracyjnego i technicznego”. Niewiele się namyślając weszłam do budynku, na korytarzu spotkałam Młodnickiego, który o nic nie pytając, zanotował moje nazwisko i powiedział, abym przyszła o godz. 17. Przyszłam, a tu na korytarzu przed gabinetem dyrektora

czekało kilkanaście młodych osób. Nic z tego nie rozumiałam, ale spokojnie czekałam wraz z nimi. Wreszcie Młodnicki wywołał moje nazwisko. Wszłam. Przy stole siedzieli Dąbrowski, Bardini, Szymański, Żmijewska, Suchecka, Surowa i Żytecki. Teraz dopiero zorientowałam się, że jest to wstępny egzamin do Studia Dramatycznego. Dąbrowski spytał, co przygotowałam, a ja, nie dając poznać po sobie, że to pomyłka, bo ja szukam pracy, a oni słuchaczki Studia — odpowiedziałam: Lechonia („Czarna Rachel”). Spojrzeli po sobie, ale kazali mówić. Dojechałam do połowy — przerwali — (bo jakże? tu okupacja radziecka, a ja o Piłsudskim!) i zapytali o jakiś fragment prozy. Potem fragment prozy z „Chłopów” Reymonta. Po skończeniu Młodnicki powiedział: „Dziękujemy, to wystarczy, proszę czekać, wezwiemy panią”. Wychodząc spojrzałam jeszcze na siedzących za stołem aktorów, i ci, którzy mnie pamiętali z wykładów u Pani Wandy, uśmiechali się do mnie tak serdecznie, że to mi dodało otuchy. Na korytarzu musiałam wszystkim czekającym opowiedzieć szczegółowo, jak się odbył ten pierwszy egzamin do Studia. Po przesłuchaniu wszystkich kandydatów zostałam ponownie wezwana do gabinetu, gdzie zawiadomiono mnie, że zdałam egzamin pomyślnie i zostaję przyjęta do Studia. Młodnicki wręczył mi „poświadczenie pracy”, gdzie było zaznaczone, że jestem słuchaczką Studia i „aktrisą” Państwowego Polskiego Teatru Dramatycznego.

cdn.

Huculska tłoka

Zbigniew Hirnle

Jest ciepły wrześniowy wieczór 1940 r. Niespełna rok temu ulegliśmy zdradzieckiej przemocy. Odebrano nam niepodległość. Pozostaliśmy na tej ziemi, wśród tych samych obywateli. To wszakże była nasza wspólna Ojczyzna. Wtedy jeszcze nie było oznak zbliżającej się potężnej fali historii, która brutalnie rozdzieliła nas od nich i od tej ziemi, — ziemi mego szczęśliwego dzieciństwa.

Na południe od Kołomyi, za Prutem skryła się wśród malowniczych wzgórz wieś Huculówka. Tu — jak i na całym Pokuciu znana była tzw. tłoka, polegająca na zabawie z okazji zakończenia sąsiedzkiej pomocy przy sprzącie pól. (Tłoką nazwywano też wspólne darcie pierza lub łuszczenie kukurydzy).

W tekście użyłem paru miejscowych, a powszechnie znanych określeń gwarowych, używanych na Huculszczyźnie.

Tu powstała też barwna akwarela, namalowana 9.IX.1940 r. Przedstawia ona Hucula zajętego zwózką siana. Typowy huculski konik i wóz drabiniasty. Chłop ubrany w biały strój konopny, składający się z bluzy — koszuli wypuszczonej na spodnie, przepasany szerokim skórzanym pasem. Spodnie z tego samego płótna z podwiniętymi nogawkami. Bosa, ale na sobie ma barani kiptar bez rękawów, a na głowie nieodłączny słomkowy kapelusz. W ręce zaś trzyma drewniane widły do siana. Dziś takich widoków już się nie spotyka. A szkoda. Niech wiersz ten i ta skromna akwarela ocalą choć fragment tej przeszłości od zapomnienia...



Do koziorożca słońce już dostaje:
Pożółkły lasy, pokraśniały gaje,
Ranki ubrane siwawej mgły szatą,
Pola osnuło srebrne babie lato...
Od świtu do zmroku, o każdej dnia porze
Gwarno, wesoło na rojnym ugorze.
Donośne pienia samorzutnych chórów
Śięgają lubo bezkresnych lazurów
I wszędzie tylko kędy zwrócisz oko,
Praca na polu — ot, po prostu tłoka!
To jedni drugim do pomocy stają —
Przy śpiewie, słońcu — radzi chleb zbierają.
Dziewki w chustynkach niby polne maki,

Albo bławatki posiane w zygzaki
 Falują, niby pod wiatru podmuchem,
 Za każdym krokiem i motyki ruchem.
 A pieśni płyną i nie znają przerwy
 Coraz to inne, pełne życia, werwy,
 Choć zda się wszystkie niby jednakowe,
 Jednak wciąż inne, odmienne i nowe!
 Kartofle lecą do kosza obficie
 Wprawnie wrzucane przez młodziecie.
 Pełne już kosze — to łeginiów sprawa,
 Oni od tego, by praca nie stała.
 Byle nadażyć — tylko kosz po koszu
 pachnącej bulwy do wozów odnoszą...
 A przygadują se przy tym weseli,
 (Na smutek żaden się nie ośmieli).
 Bachory watrę kładą wśród zagona
 I płonie hyczka w kopki zgromadzona,
 A choć do nocy już czasu niewiele,
 Pieką kartofle w gorącym popiele.
 Lecz gdy już słońce za góry opada,
 Wszystko motyki i kosze odkłada:
 Niepowstrzymaną, żywiołową falą
 Po dług do gazdy — na hulankę wałą...
 Tu już od proga ich grzeczna spotyka
 Najęta na to cygańska muzyka.
 Rozochociona się młodzież uwija,
 A poprzez cały gwar bęben przebijają...
 Wchodzą do izby przybraną odświeżnię
 (Kapela ciągle przygrywa namiętnie),
 Lecz by podtrzymać nastrój i humory
 Gazdyni musi wglądać do komory —
 Zaczepnąć niby z rogu obfitości
 Coś dla użytku pożytecznych gości.
 Gazda kieliszkiem jednym wódkę mierzy,
 Co ochotę daje i wesołość szerzy.
 Znikają gołąbki bez śladu, pierogi,
 Bo co na stole, to wszystko są „wrogi”.

Więc biesiadnicy wierni tej zasadzie
 Niszczą wroga, — barszczem popijają radzi,
 A kto woli, gorzałką może się napoić,
 Wszak do użytku chętnych flaszka stoi!
 Grają „huculkę”. Bęben i cymbały
 Na wyścig piskliwe skrzypki zawezwały:
 W zawrotnym tempie wirują niebogi —
 To nagle ustają, tupią do podłogi
 I w drugą stronę powtarzają płasy...
 A stary cygan podkręciwszy wąsy
 Jak utnie smykem od ucha, a rzewniej,
 Na cymbalistę spoglądawszy gniewnie...
 W trzy tempa tupot uderza miarowy
 Pot zalewa obficie utrudzone głowy,
 Lecz to im właśnie dodaje ochoty,
 A kurz, co podniósł się do powały
 Nie jest przeszkodą, — byle skrzypki grały.
 Zabawa wszystkie zmartwienia przygłusza,
 Bo nie poddaje im się chłopska dusza:
 Chce zawsze sobą pozostać uparcie,
 Tradycji dziadów swych broniąc otwarcie,
 Czerpiąc z niej siły, poradę, natchnienie,
 Bo to ich skarbiec, charakter, sumienie...
 Lecz z uczestników posepny pozostał
 Jeden, którego jakiś smutek chłostał,
 Jakoż na pozór wesoły, spokojny
 Patrzył jak bawi się lud bogobojny,
 Sam wywijając prysyudy, oberki,
 Nie dawał poznać po sobie rozterki...
 Sed nolens — sam nieopatrznie się zdradzał
 W przerwach podwórzem samotnie gdy chadzał:
 Czy gwiazdy liczył, czy księżyc go wabił,
 Czy taniec może, lub gwar go osłabił,
 Czy do Ojczyzny tęsknił, czy dziewczyny,
 Nie wiem. — Cierpienia nie badam przyczyny.

Huculówka, 10 września 1949 r.



NASI CZYTELNICZY PISZĄ

Danuta Fakowska

Czytając książkę pt. „Na wysokiej połoninie” Vincenza, zaraziłam się ciekawością huculczyzny. Choć pochodzę ze Lwowa, to tamtych przepięknych stron z dzieciństwa nie znałam.

Oddział Tow. Miłośników Lwowa i KPW „Czortków” organizował w lipcu br. wyjazd w tamte strony, obiecali zawieść do Kołomyi i okolic, więc pojechałam. Przybyliśmy — z postojem 2 godz. we Lwowie — do Czortkowa. Czortkowie oczekiwali nas, tj. „Czort-kowiaków” z Wrocławia, i przyjęli bardzo serdecznie na noclegi do swoich domów. Były spotkania wzruszające, wspomnienia wspólnych zabaw z lat dziecińczych tych, którzy przyjechali i mieszkających tamod zawsze. Była tam mieszkanka Czortkowa, p. Stefa, która codziennie rano biegła 3 km, by przynieść nam a to świeże gołąbki, a to ciepłe młode kartofelki, a to jajka i świeżo upieczone bułeczki i by ugościć moją koleżankę p. I. Zduniak, na której rodziców parceli p. Stefa wybudowała dom i obecnie mieszka.

Była Jadzia, goszcząca nas tortem i szampanem, śpiewała pięknie pieśni religijne po polsku, grając na akordeonie. Uczestniczyłam w nabożeństwach w remontującym się kościele rzymskokatolickim, odprawianych w języku polskim, choć mieszkańcy Czortkowa słabo go znają (jest to już 2. lub 3. pokolenie), dlatego też „Ojcie nasz” i pieśni na dziękczynienie śpiewane są w językach

polskim i ukraińskim. Przebywający tam ksiądz Wiśniowski, dominikan z Warszawy (rodem z Czortkowa), na pewno wie dlaczego tak prowadzi nabożeństwo.

Widziałam kościoły czynne zdewastowane np. w Jagielnicy brak podłogi, słoma rozścielona i ozdobiona zielonymi gałązkami. W Gwoźdźcu piękny, duży barokowy kościół zniszczony, w kacie skorupy porozbijanych figur. Jedyne obrazy Matki Boskiej na ścianie przywieziony przez księdza Dragułę z Wrocławia. Kilka rodzin polskich nie stać nawet na świecę do tego kościoła — dajemy do koszyka kilka dolarów. W Zaleszczykach ksiądz M. Przybylski odprawia mszę św. dla nas, jest krótkie spotkanie z parafianami, częstują nas herbatą i paczkami.

— Kontakty między Polakami z tamtąd i mieszkających w Polsce są bardzo potrzebne. Oni wtedy nie czują się zapomniani i pozostawieni samym sobie. Brałam udział w spotkaniach z dziećmi uczącymi się języka polskiego — były też ich występy, tańce, recytacje i pieśni, oczywiście już w jęz. polskim. Były spotkania z dziećmi niepełnosprawnymi w zakładzie prowadzonym przez siostry Szarytki-grecko-katol. Wszędzie dzieci otrzymały upominki i słodycze. Podejmowano nas również obiadem w centrum rehabilitacji dla dzieci niepełnosprawnych. Jest okazja by prosić „Czortko-

wian” z Wrocławia o sprzęt do rehabilitacji, bo choć jest to „centrum” specjalistyczne, lecz dysponują tylko jednym balonem do ćwiczeń zdobytych gdzieś okazjonalnie. Więc potrzeby są duże. Wrocławscy „Czortkowianie” myślą już w drodze powrotnej jak to wszystko zdobyć i za co. Ale jak ich obserwowałam, to jestem przekonana, że spokoju nie zaznają, aż coś zdobędą i zawiozą.

W Czortkowie na cmentarzu jest rozsypujący się pomnik upamiętniający walki Wojska Polskiego z lat 20., „Czortkowanie” z Wrocławia, ciesząc się przychylnością tamtejszych władz miejskich, uzyskali obietnicę przeznaczenia funduszy na remont pomnika — chyba tego dopilnują. Czortków to urocze miasteczko, pięknie położone w krajobrazie.

No i wreszcie jesteśmy w Kołomyi i dalej.

„Kołomyja ne pomyja, Kołomyja misto”...

Miasteczko śliczne, nowe elewacje w rynku, co w słońcu bardzo ładnie wygląda, ładne lampy oświetleniowe. Dookoła czysto. Je-

dziemy dalej przez Delatyn do Jaremcza. Okolice piękne. Szum Prutu płynącego przełomem gór urzeka nas. Okoliczni mieszkańcy sprzedają wyroby huculskie, delikatnie zapraszają nas do kupna sprzętów wyszywanych, garnuszków drewnianych i wielu innych wyrobów. Kupić można za kupony, dolary lub złotówki. Szybko potrafią przeliczyć walutę, ale kupujących jest nie dużo.

Nocujemy w Jaremczu, rano jedziemy dalej przełomem Prutu przez Worochtę i wracamy do domu. Obiecałam sobie, że tu jeszcze przyjadę do Czarnohory, nad Czeremosz i Prut, bo szum Prutu się pamięta.

Narazie oglądam wspaniałą wystawę „POKUCIE — ZIEMIA VINZENZA”, otwartą niedawno we wrocławskim Ossolineum — zorganizowaną przez pp. Bożenę Krupską i Irenę Zielińską — to jest dla mnie dalszy ciąg niezapomnianej wycieczki na Huculszczyznę.

Kolekcja z Podhorzec w zbiorach Muzeum Okręgowego w Tarnowie

Angela Sołtys

Wystawa przygotowana przez Muzeum Okręgowe w Tarnowie (jest otwarta do 31 X br.) jest pierwszą od 1945 r. prezentacją tej części dawnego wyposażenia pałacu w Podhorcach, która po całkowitej niemal ewakuacji zbiorów w okresie I wojny światowej trafiła do magazynów Centralnego Zarządu Dóbr Książąt Sanguszków w Gumniskach pod Tamowem, gdzie zastał ją wrzesień 1939 r., i nigdy już nie powróciła do swej pierwotnej siedziby.

Pomysł zaprezentowania szerszym kręgom obiektów uratowanych z Podhorzec powstał w rezultacie trwającej od lat kilku współpracy między Państwowymi Zbiorami Sztuki na Wawelu, Lwowską Galerią Obrazów i Tarnowskim Muzeum Okręgowym. Ostatecznym celem wspólnych działań tych instytucji jest opracowanie kompletnego katalogu kolekcji w oparciu o bogatą dokumentację archiwalną i przedmioty zabytkowe w Lwowskiej Galerii Obrazów (oddział w Olesku), Muzeum Historycznym we Lwowie i Muzeum Okręgowym w Tarnowie.

Pałac w Podhorcach, położony na północno—zachodnim krańcu Wyżyny Podolskiej, wzniesiony został przez Stanisława Koniecpolskiego herbu Pobóg (1594—1646), hetmana wielkiego koronnego i kasztelana krakowskiego, w latach 1637—1640. Autor projektu, najprawdopodobniej Włoch, Andrea dell’Aqua, zatrudniony przez hetmana przy wznoszeniu pobliskiej fortecy w Brodach, nadał budowli podhoreckiej formę ufortyfikowanej willi o układzie czworobocznym z wyodrębnionym w bryle skrzydłem głównym po stronie północnej, stanowiącym właściwy pałac. Zgodnie z zamierzeniem fundatora źródłem inspiracji architekta były realizacje zamków i pałaców francuskich końca XVI i I ćwierci XVII wieku, zinterpretowano je jednak na sposób włoski. W rezultacie powstała jedna z najwybitniejszych realizacji architektonicznych tego okresu, łącząca w sposób harmonijny tradycyjne i nowoczesne elementy budownictwa rezydencjonalno—obronnego I połowy XVII w.

Z pierwotnego wyposażenia wnętrza zachowały się głównie portale, kominki i inne detale kamieniarki architektonicznej odkute w marmurze czarnym i różowym, pochodzącym z kamieniołomów checińskich.

Zbiory, których niewielka część ocalała z wojen, grabieży i pożarów ukazuje wystawa, narastały we wnętrzach pałacu podhoreckiego od końca XVII w., kiedy właścicielami klucza brodzkiego, zawierającego sukcesję po Żółkiewskich i Koniecpolskich zostali Sobiescy: Jakub Ludwik (1667—1737), książę na Oławie, najstarszy syn Jana III, po którym sukcesja przeszła na królewicza Konstantego Władysława (1680—1726). Brak szczegółowych rejestrów ruchomego wyposażenia pałacu końca XVII i I ćwierci

XVIII w. utrudnia, a niekiedy uniemożliwia odtworzenie zbiorów po przejęciu Podhorzec przez Sobieskich. Elementem wzbogacającym wystrój wnętrz mogły być w tym czasie portrety członków rodziny Jana III, prezentujące bardzo zróżnicowany poziom artystyczny. Były wśród nich przykłady odpowiadające zarówno przeciętnemu poziomowi sztuki portretowej, uprawianej ówczesnie przez twórców obcych, często francuskich na zamówienie dworu i klienteli magnackiej, jak i prace najznakomitszych artystów europejskich. Do pierwszych zaliczyć wypada portret nieznaney, młodej kobiety, tradycyjnie określanej jako Maria Kazimiera. W grupie drugiej sytuuje się mistrzowsko ujęty portret królewicza Jakuba wykonany w Paryżu przez twórcę tej rangi, co Francois de Troy, dyrektor Królewskiej Akademii Malarstwa i Rzeźby (obecnie w zbiorach książąt Sanguszków w Sao Paulo, nie prezentowany na wystawie).

Sobiescy rzadko przebywali w Podhorcach. Z opisu budowli, zawartego w inwentarzu z 1717 r. wynika, że nie kontynuowali prac dekoratorskich wewnątrz pałacu, poprzestając jedynie na drobnych pracach remontowych.

Właściwym założycielem kolekcji podhoreckiej był Stanisław Mateusz Rzewuski herbu Krzywda (1662—1728), hetman polny, a następnie wielki koronny i wojewoda bełski, utalentowany negocjator, którego błyskotliwa kariera w latach wojny północnej i zamętu wewnętrznego Rzeczypospolitej utorowała drogę do materialnej i politycznej potęgi Rzewuskich w I połowie XVIII w. Ten zwolennik doktryny kartezyjańskiej, człowiek o dużej kulturze umysłowej, występował jednocześnie jako apologeta zachowawczej ideologii szlacheckiego republikanizmu, co rzutowało na podtrzymywanie w jego kręgu konserwatywnych zjawisk kulturowych i smaku artystycznego odpowiadającego mantłności „sarmackiej”. W 1720 r. zawarł on z królewiczem Konstantym transakcję, na podstawie której nabył Podhorce wraz z całym kluczem dóbr.

W pałacu rozpoczął Rzewuski gromadzenie zbiorów odziedziczonych po ojcu, Michale Florianie (+ 1687), regimentarzu wojska koronnego, pochodzących prawdopodobnie z dworu w Rozdole, dziedzicznych dóbr Rzewuskich w powiecie żydaczowskim, tworząc zbrojownię oraz kolekcję obrazów, wśród których bardzo licznie reprezentowane były portrety Stanisława Mateusza i jego najbliższej rodziny, a także rodzin spokrewnionych. Już w tym czasie rozpoczęło się w pełni świadome tworzenie wielkiej galerii rodowej w celu podniesienia prestiżu rodzinnego Rzewuskich jako nowo uformowanej magnaterii.

Kolejny właściciel Podhorzec, syn Stanisława Mateusza, Wac-

ław rzewuski (1706—1779), hetman wielki koronny i kasztelan krakowski, kontynuował tę tradycję, poszerzając zbiory o archowum i bibliotekę. Ten niezmiennie ambitny magnat o ciasnej, tradycyjnej umysłowości i bez większych udolności politycznych, wykazywał jednocześnie rozległe zainteresowania jako pisarz polityczny, znawca architektury, muzyki, dramaturg i poeta. Poszerzył on dawny trzon rodowej galerii ukształtowany przez Stanisława Mateusza Rzewuskiego, wprowadzając szereg portretów ukazujących nie tylko bliską rodzinę, rodzeństwo, dzieci i wnuki, ale także krewniaków żony, Anny z Lubomirskich (ok. 1717—1763), wojewodźnianki czernihowskiej, jej braci i rodziny szeroko z nimi skoligacone. W zespole tworzącym kolekcję znalazły się też wizerunki bliskich współpracowników i przeciwników politycznych Rzewuskich — podobizny królów, hetmanów i innych osobistości dawnej Rzeczypospolitej oraz powiatowej szlachty — klienteli hetmana. Osobliwością kolekcji była niezmiennie interesująca, choć ukształtowana stosunkowo późno, bo dopiero w latach 50—tych i 60—tych XVIII w. galeria portretu chłopskiego i podobizn oficerów regimentu Buławy Polnej Koronnej.

Podhorecki zbiór portretów powiększał się nie tylko wskutek realizacji świadomych założeń kolekcjonerskich. Wzbogacały go rodzinne prezenty i uposażenia majątkowe wnoszone przez małżonki. W 1754 r. znacznie powiększyło galerię włączenie do niej obrazów i sprzętów odziedziczonych po zmarłym bezpotomnie bracie hetmana, Sewerynie Józefie Rzewuskim, wojewodzie wołyńskim, właścicielu zamku w Olesku. W ten sposób trafiły do Podhorzec wszystkie cenniejsze przedmioty z Oleska, w tym dużo pamiątek po Sobieskich.

Licniejszą część stale powiększającej się kolekcji stanowiły jednak nie portrety, lecz pejzaże, sceny rodzajowe, biblijne i mitologiczne. Głównym źródłem pozwalającym określić przybliżone rozmiary kolekcji jest „Regestr Mebli w Pałacu Podhoreckich będących” z 1768r., a więc spisany w okresie jej największej świetności. Wymieniona w nim suma 737 obrazów zdobiących reprezentacyjne sale I piętra pałacu, pozwala określić w przybliżeniu ich łączną sumę na około 1000 sztuk, jeśli podaną liczbę uzupełnią dzieła nigdy nie uwzględniane w inwentarzach, które dekorowały drugie piętro oraz pomieszczenia parterowych skrzydeł pałacu.

Ocena wartości artystycznej tego bardzo różnicowanego zbioru, przy obecnym stanie wiedzy o jego całokształcie nie jest jeszcze w pełni możliwa. Wiele jednak wskazuje, że kolekcja podhorecka stanowiła typowy dla kresowej magnaterii przykład późnobarokowego kolekcjonerstwa, nastawionego raczej na wywołanie wrażenia bogactwa i przepychu niż preferencję rzeczywistych walorów artystycznych. W zbiorze zdecydowanie przeażały XVIII—wieczne kopie takich mistrzów, jak Rafael, Tycjan, Correggio, Parmigianino, Guido Reni, Ribera, Carlo Dolci, Domenichio, Paolo Veronese i Salvator Rosa. Szkołę flamandzką i holenderską reprezentowały powtórzenia i naśladownictwa Rembrandta, Rubensa, van Dycka i Jordaensa, a malarze francuscy najczęściej wymieniani w inwentarzach to Simon Vouet, Charles Le Brun, Hyacinthe Rigaud, Nicolas Poussin, Antoine Pesne.

A zatem, pod wieloma względami dobór obrazów był tradycyjny, typowy dla późnobarokowej, XVIII—wiecznej kolekcji, w której dominowało wielkie malarstwo włoskie, zarówno renesansowe, jak i barokowe. Często powtarzające się określenia „kopia”, „według”, „krąg” umieszczone pod wystawionymi obrazami świadczą, że w Podhorcach gromadzono dzieła nieautentyczne, z przewagą dużo późniejszych od oryginałów, nie zawsze dobrych kopii, choć wśród nich zdarzały się egzemplarze o dużej wartości. Do niewątpliwie najlepszych należały: „Miłosierny Samarytanin” — replika Jordaensa (obecnie w Sao Paulo), „Pochód do świątyni” przypisywany Janowi van Boeckhorst oraz „Herkules i Omfale” — malowany według Francois Le Moyne’a (dwa ostatnie w Lwowskiej Galerii Obrazów). Z tego zespołu pokazano na wystawie

między innymi XVIII—wieczną kopię „Judyty z głową Holofernesa” według Cristofano Allori i „Kupidyna sporządzającego łuk” według obrazu Parmigianina, znajdującego się obecnie w zbiorach wiedeńskich. Znakomitymi dziełami sztuki, pomimo że ich autorzy pozostają nieznani, są też: „Portret młodej kobiety” nie określonego malarza holenderskiego z I połowy XVII w. i kameralny obraz szkoły neapolitańskiej, przedstawiający scenkę z Judytą.

Za czasów Wacława Rzewuskiego kolekcja wzbogaciła się o ponad 100 obrazów Szymona Czechowicza, który przebywał tu w latach 1762—1767. Przeważały dzieła o tematyce religijnej. Niestety, niemal wszystkie pozostają na terenie Ukrainy, a prezentowane na wystawie obrazy mogą być jedynie uznane za dzieła warsztatowe artysty.

Odziedziczoną po ojcu zbrojownię powiększył Rzewuski o znakomitą kolekcję broni. Dużą grupę broni, XVII i XVIII—wiecznej, przeważnie wschodniej pokazuje stała ekspozycja w ratuszu tarnowskim: miecze perskie i szable tureckie, łuki, kołczany, sahajdaki oraz czynne i bębniaki sygnalizacyjne, tzw. „łombaszk”, ponadto kopie, buzdygany, częściowe ryszunki, oraz kusze i pistolety pochodzące z manufaktur europejskich. Warto zwrócić uwagę na turecką szablę z konnym wizerunkiem Jana III oraz łacińskim napisem: „Dextra Joannis Vicit Ad Viennam 1683 Ann” i buzdycan z kutej stali, o siedmiopiórowej głowicy, dekorowany kanelami. Wystawa czasowa pokazuje skromną część zbioru: zespół szabli tureckich typu „kilidż” z I połowy XVIII w.

Niewielki, ocalony z wojennej zawieruchy zbiór mebli z Podhorzec tworzą cztery komody palisandrowe z I ćwierci XVIII w. w typie Charles Cressent, pochodzące z paryskiego warsztatu Francois Mondona, stół — prawdopodobnie wyrób miejscowy, inspirowany motywami regencyjnymi, i późniejszy od niego stółki przysięcenny, dekorowany motywami rocaille z barwną, stiukową płytą. Kolekcję uzupełniają czarne, pięcioskrzydłowy parawan ze scenkami a la chinois, przypuszczalnie należący niegdyś do Zofii Tarłowej, wojewodziny sandomierskiej, secundo voto Lubomirskiej, oraz para siedzących kurdybanowych, francuskich lub flandryjski import z I połowy XVIII w. Pokazujemy także zegar szafkowy (jeden z pary) zdobiony motywami dalekowschodnimi, sygnowany „Wiliam Gourdain London” z I ćwierci XVIII w., grupę luster w rzeźbionych, złożonych ramach z rokokową ornamentyką, oraz wybór szkła polskich i obcych dla udokumentowania bogatej kolekcji szkła podhoreckiego.

Wywiezienie przez Rosjan Wacława Rzewuskiego, wraz z grupą senatorów do Kaługi w r. 1767 i jego pięcioletni pobyt na zesłaniu rozpoczęły proces degradacji podhoreckiej rezydencji, częściowo ograbionej i zdewastowanej przez wojska moskiewskie. Stopniowemu rozproszeniu kolekcji pozostałej w pałacu sprzyjała samowola zarządców i brak zainteresowania Podhorcami kolejnych właścicieli — Seweryna Rzewuskiego, hetmana polnego koronnego, jednego z przywódców konfederacji targowickiej oraz jego syna Wacława, znanego jako Emir Tadz ul—Fahr. Z poważnego zaniedbania zaczęto dźwigać pałac podhorecki w połowie XIX w., kiedy jego właścicielem został syn Emira, Leon Rzewuski (1808—1869), żonaty z Taidą Małachowską. Dokonał on niezbędnych zabezpieczeń budowli i zajął się porządkowaniem zbiorów, sporządzając własnoręcznie w r. 1859 „Inwentarz rysunkowy zamku podhoreckiego”, który zawierał dokładnie przerysy lokalizacji wszystkich ścian reprezentacyjnych sal korpusu pałacu i obrazów, oznaczonych numeracją. Oznaczenia te, umieszczone w postaci nalepek na każdym obiekcie ułatwiły w dużej mierze nie tylko identyfikację niemal wszystkich malowideł ujętych w rejestrach, ale również — co najważniejsze — identyfikowanie osób portretowanych i rekonstrukcję całych ciągów ekspozycyjnych w stanie z połowy ubiegłego stulecia. Ten właśnie moment stara się odtworzyć obecna ekspozycja, zwłaszcza tam, gdzie niemal wszystkie obrazy z pewnych pomieszczeń znajdują się dziś w Tarnowie,

jak w przypadku tzw. przedpokoju „Sali Rycerskiej”.

Nie jest jasne, z jakich przyczyn Leon Rzewuski sprzedał Podhorce w 1865 r. Władysławowi Hieronimowi Sanguszcze, który w r. 1867 oddał pałac z kompleksem dóbr swemu synowi Eustachemu (1842—1903), galicyjskiemu działaczowi politycznemu, żonatemu z Konstancją z Zamoyskich.

Sanguszkowie kontynuowali prace nad odnawianiem rezydencji i przystosowaniem jej do celów muzealnych. Duże zasługi w tym względzie przypadły Konstancji Sanguszkowej (1864—1946), która prowadziła rozpoczętą przez Eustachego Sanguszkę konserwację pałacu i założenia ogrodowego. Zleciła też prace nad odnowieniem obrazów, z których znaczna ilość znajdowała się w złym stanie. Konserwację powierzono różnym artystom na miejscu, jak Juliuszowi Krupskiemu, twórcy modernistycznych polichromii z terenu Małopolski, ale także Kazimierzowi Pochwalskiemu, który podjął się odnowy portretów na krótko przed wybuchem wojny.

Wszystko to zakończył wybuch wojny w 1914 r., walki z Ukraińcami i wojna 1920 r. Pałac, wielokrotnie znajdujący się na linii frontu, nie został wprawdzie uszkodzony, ale stacjonowały w nim kolejno wojska austro-węgierskie, rosyjskie, ukraińskie i bolszewickie. Mimo dramatycznej sytuacji kolekcja nie poniosła większych strat. Zbiory ewakuowano sukcesywnie w latach 1915—1920 do Sławuty i Gumnisk, a następnie dużą ich część zdeponowano w Zamku Królewskim na Wawelu. Ewakuację prowadzono pośpiesznie, bez należytego zabezpieczenia i szczegółowych wykazów. Przyczyną tych gorączkowych działań była postawa Centralnego Zarządu Dóbr Książąt Sanguszków w Gumniskach, przez dłuższy czas ignorującego skalę zagrożenia zbiorów. Jedynym kierownikiem ewakuacji został w tych okolicznościach Marcin Grabikowski, burgrabia pałacu podhoreckiego, który samotnie, nierzadko pod ostrzałem artyleryjskim, podejmował rozpaczliwe działania w celu uchronienia kolekcji przed grabieżą i zniszczeniem.

W związku z 250. rocznicą odsieczy wiedeńskiej Sanguszkowie przystąpili do ponownego odrestaurowania pałacu. Restauracją

kierował wówczas Aleksander Czołowski, dyrektor zbiorów miejskich we Lwowie przy współpracy Rudolfa Mękickiego, którego zasługą było uporządkowanie kolekcji zgodnie z pierwotnym rozmieszczeniem. Niewyjaśniony pozostaje fakt, jakimi kryteriami kierował się Czołowski, dokonując selekcji zbiorów przeznaczonych do ponownego umieszczenia w Podhorcach. Przypadkowy pod wieloma względami ich dobór zadecydował, że możemy oglądać dziś w Tamowie niewielką, ocalałą część zbioru.

W latach 1939—1945 wyposażenie pałacu zaczęło ulegać ostatecznemu rozproszeniu. Eksplozja amunicji zrujnowała jedno z parterowych skrzydeł pałacu, pociski artyleryjskie i odłamki bomb zniszczyły dotkliwie dach i elewacje, pałac jednak ocalał i po zakończeniu wojny przekazany został do dyspozycji Lwowskiego Okręgowego Muzeum Historycznego, które przystąpiło do jego zabezpieczenia i odbudowy. Remont został jednak z nieznanых przyczyn przerwany, a pałac przekształcono w szpital gruźliczy.

Pożar, który wybuchł w lutym 1956 r. przyniósł najpoważniejszą w jego dziejach stratę. Całkowitemu zniszczeniu uległ wystrój korpusu głównego: dach, plafony, posadzki, sztukaterie i cała stolarka. Doszczętnie spłonęły stropy pierwszego piętra, znakomite dzieła snycerki lwowskiej z połowy XVII w. Ocalały jedynie mury zewnętrzne, parter i sztukatorski wystrój Kaplicy.

Odbudowany od strony zewnętrznej, pałac nadal spełnia funkcje szpitalne. W 1991 r. opiekę nad nim objęła Lwowska Galeria Obrazów.

Gromadzone w Podhorcach na przestrzeni dwóch stuleci zbiory nie imponują wprawdzie wysokim poziomem artystycznym, jednak ich wartość w skali polskiej jest niepodważalna. Są bowiem jedną z nielicznych zachowanych w dużej części kolekcji magnackich z epoki saskiej i stanowią znakomite źródło badań nad obyczajowością, kulturą materialną i artystyczną społeczeństwa szlacheckiego w I połowie XVIII w.

Są ocalałą częścią dziedzictwa kulturalnego I Rzeczypospolitej.

Pamięci Żydów Galicyjskich

Mieczysław Buziewicz

Lesko — w porównaniu do innych miast Polski południowo-wschodniej — posiada znaczące zabytki kultury materialnej Żydów Galicyjskich. Główne to: Synagoga i kirkut. Obiekty te są zwiedzane i fotografowane przez turystów, którzy odwiedzają Bieszczady w okresie całego roku.

Od wielu lat oczekiwano w Lesku na założenie fundacji, która mogłaby wspomagać finansowo kapitalny remont synagogi. Zbiórki funduszy sygnalizowali lescy Żydzi, żyjący obecnie za granicą. Do tej pory nie udało się zrealizować tego celu.

W ubiegłym roku przebywała w Lesku Pani Małgorzata Rubel — Polka żydowskiego pochodzenia, mieszkająca obecnie w Paryżu. Urzeczona pięknem leskiej synagogi postanowiła założyć fundację dla wspierania remontu tej świątyni i założenia w niej Izby Muzealnej poświęconej Żydom Galicyjskich. Czas jaki należy oczekiwać na zarejestrowanie fundacji w Sądzie Rejestrowym w Warszawie przeraził panią Rubel, która wybrała inną, szybszą ścieżkę organizacyjną i założyła w Lesku Towarzystwo Pamięci Żydów Galicyjskich, które zostało zarejestrowane w Sądzie Rejonowym w Krośnie. Przewodniczącym Towarzystwa została pani Małgorzata Rubel. Siedzibą jest Bieszczadzki Rejonowy Dom Kultury w Lesku.

Towarzystwo ma na celu pobudzenie społecznego zainteresowania życiem, kulturą i losem Żydów Galicyjskich, którzy od niepomyślnych lat byli swoistą, swojską a jednocześnie egzotyczną

częścią owej niepowtarzalnej mozaiki etnicznej, kulturowej, religijnej i społecznej, jaka do półwiecza temu istniała na terenach obecnej Polski południowo-wschodniej — dawnej Galicji.

Towarzystwo pragnie realizować swoje cele przez:

— organizowanie w budynku synagogi w Lesku i w już istniejącej Chacie Żydowskiej w Zyndranowej stałych wystaw poświęconych pamięci Żydów Galicyjskich,

— poszukiwanie i gromadzenie materiałów ikonograficznych, obiektów użytku liturgicznego i domowego, jak również dokumentów pisanych w celu zobrazowania w jak najszerszym zakresie życia religijnego kulturalnego, społecznego i politycznego Żydów od początku XX wieku do Zagłady,

— organizowanie imprez kulturalnych, promocji i zbiorów społecznych tak w kraju jak i za granicą, mających na celu stałe powiększanie zbiorów, jak również wkład w utrzymanie i konserwację budynku zabytkowej synagogi w Lesku i Chaty Żydowskiej w Zyndranowej,

— współpracę z żydowskimi i nieżydowskimi organizacjami i instytucjami w kraju i za granicą o pokrewnych zainteresowaniach,

— zbieranie materiałów pisanych w celu stworzenia w budynku leskiej synagogi Biblioteki tekstów o życiu i zagładzie Żydów Galicyjskich,

— popieranie badań naukowych i wydawniczych.

Współpracę z Towarzystwem zadeklarowało Muzeum Histo-



Lesko — bożnica



Obrazki z wystawy ➤

ryczne w Sanoku, a pracownik tego Muzeum Pan dr. Henryk Olszański został przewodniczącym.

W piątek 30 czerwca br o godzinie 16—tej nastąpiło otwarcie wystawy urządzonej w jednym z pomieszczeń w leskiej synagodze poświęconej pamięci Żydów Galicyjskich.

Na uroczystość otwarcia wystawy przyjechał Jan Jagielski z rządowej Fundacji „Wieczna Pamięć”. Fundacja została założona z myślą o ratowaniu szczątków kultury Żydów polskich. Poprzez jej działanie rząd polski chce pokazać, że w miarę swoich możliwości wspomaga działania społeczne na rzecz ratowania pamiątek żydowskich w Polsce — podkreśla Jan Jagielski. Ozdobą otwarcia wystawy był szabat w leskiej synagodze. Pusta od 50 lat skrzynia ołtarzowa Aron — ha — Kodesz czule przyjęła Torę, którą przywiózł ze sobą rabin Michael Schudrich z Fundacji Ronalda Laudera z Nowego Jorku. Kiedy nastał szabatowy wieczór, zapalono świece. Kobiety siadły po jednej stronie. Mężczyźni w jarmułkach po drugiej. Chasydzi zaczęli się modlić. Dzisiejsi polscy chasydzi są tacy nietypowi. W dzinsach, długowłosi, obwieszeni naszyjnikami. Ale kiwają się tak samo, jak Żydzi na całym świecie. Jakby robili to od czasu bar micwy. Niektórzy wiedzą o swoim żydostwie od niedawna. Wieczera szabatowa odbiegła jadalnisem od tradycyjnej kolacji szabatowej — nie było rosołu z kury, nie było kugla. Były śledzie i sałatki warzywne. Nie brakowało też koszernej wódki.

Małgorzata Rubel będąc w Bełżcu przywiozła stamtąd wykopane kości pomordowanych Żydów. Postanowiła pochować je na kirkucie w Lesku. Wydarzenie to było szczególnie ważne dla Michaela Tregenza (uczestniczył w otwarciu wystawy) jedyne go na świecie naukowca, który dogłębnie zbadał przeszłość obozu zagłady w Bełżcu. Pan Tregenza od 2 lat przebywa w Polsce i pracuje w instytucie Jana Pawła II w Lublinie. Drukuje swoje prace w „Zeszytach Majdanka”.

„Kiedy 30 lat temu przyjechałem do Polski na studencki obóz pracy, zaskoczyło mnie, że tak mało w Polsce można znaleźć informacji o Bełżcu, a przecież był to pierwszy obóz na ziemiach

polskich, obóz eksperymentalny. Zrodziła się we mnie obsesja, która trawi mnie już ponad 20 lat”. Michael Tregenza z naukowca powoli zmienił się w detektywa. Szukał śladów zbrodniarzy bełżeckich. Do niektórych udało mu się dotrzeć osobiście. Z dwoma z nich przeprowadził wywiady, które zakupiła jedna z niemieckich gazet. Szczególnie uparcie dr Tregenza podążał za Lorenzem Hackenholtem, który był kierownikiem komór gazowych w Treblince. Obecnie dr Tregenza przygotowuje do wydania w języku angielskim książki „Death Camp Bełżec”, którą wyda Muzeum na Majdanku. W przyszłym roku książka ta zostanie przetłumaczona na język polski i niemiecki.

Zawinięte w tałes kości Żydów z Bełżca pogrzebał rabin Michael Schudrich. Mogiłę zakopali wspólnie Polacy i Żydzi. Rabin odmówił modlitwę „Boże pełen miłosierdzia”. Nie mówił kadiszu, gdyż brak było rytualnej dziesiątki Żydów. Wśród przybyłych na otwarcie wystawy był Jonathan Webber, który pracuje w Instytucie Studiów Żydowskich w Oksfordzie. Przyjechał do Polski pierwszy raz w 1989 roku do Instytutu Socjologii UJ. Wygłosił tam kilka wykładów. W 1990 roku wszedł w poczet członków Międzynarodowej Rady Oświęcimskiej. W roku 1991 został prezesem Komisji Oświaty w łonie Rady. Jest jednym z głównych organizatorów sponsorowanego przez Wspólnotę Europejską programu „TEMPUS”, który ma na celu zapoznanie młodzieży z problemami etnicznymi i ich skutkami. Program kończy się w sierpniu wystawą w Oświęcimiu. Wystawą tą Jonathan Webber chce rozpocząć dyskusję na temat Holokaustu w Polsce. Pan Webber opracowuje studium na temat ruin cywilizacji żydowskiej w Polsce. Chce w tej książce pokazać jak wyglądać będzie za 20 lat wiedza typowego człowieka o Holokauście i jak wyglądać będzie propozycja pedagogiczna w tej kwestii. Chodzi mu o to by w innych krajach ludzie zrozumieli, że stereotyp Polaka—antysemity jest błędny. Uczestnikom — gościom przybyłym na otwarcie wystawy zorganizowana została wycieczka po miejscach materialnych pamiątek po Żydach galicyjskich, między innymi do Zydranowej i Rymanowa.

Redakcję Semper Fidelis odwiedził p. Czesław Szewczyk — społeczny opiekun Miejsc Pamięci Żołnierzy I Dywizji Pancerniej gen. Maczka, zamieszkały w Niemczech. Udostępnił redakcji wykaz poległych żołnierzy tej dywizji, których groby znajdują się w Zachodniej Europie. W wykazie redakcja podaje nazwiska żołnierzy pochodzących z kresów wschodnich oraz nazwę kraju, gdzie zostali pochowani. Być może są jeszcze rodziny, które dotąd nie wiedzą, gdzie znajdują się groby ich bliskich.

Nazwisko i imię	Data ur.	Miejsce ur.	Miejsce pochowania	Nazwisko i imię	Data ur.	Miejsce ur.	Miejsce pochowania
Bajdan Bronisław	11.4.09	Dojlidy-Oszmiana	Wlk. Bryt.	Gumowski Kamil	14.8.24	Kuźmicze-Postawy	Francja
Baliński Józef	26.10.14	Olechowiec	Belgia	Guściora Wojciech	12.3.10	Mazurów p. Kałusz	Francja
Bar Jan	20.12.13	Żydaticze	Francja	Gzell Henryk Leon	29.7.20	Szczarlej p. Świątch	Holandia (RAF)
Baran Wacław	18.9.16	Grodno	Francja	Holdemajer Józef	8.10.17	Stojanów	Belgia
Barylski Stanisław	8.9.1897	Strykówka p. Zbaraż	Francja	Hryniewicz Giedymina	5.5.16	Utryzki p. Lida	Holandia
Benedyga Andrzej	16.4.1898	Zykowca p. Zborów	Wlk. Bryt.	Humeniuk Jan	20.11.20	Wareszczaki	Niemcy
Bielec Michał	8.9.24	Ulenica p. Brzozów	Francja	Hutnik Franciszek	9.5.06	Korościatyn	Belgia
Błachowski Zdzisław	25.9.25	Żyrowiec	Holandia	Iwaszczak Adolf	5.1.20	Sambor	Holandia
Borzemski Paweł	7.4.19	Lwów	Niemcy	Jabłoński Franciszek	16.1.13	Łysiec	Francja
Brzozowski Stanisław	24.5.17	Siedlisko Kostopol.	Niemcy	Jabłoński Stefan	8.9.22	Skole	Francja
Budner Tadeusz	22.3.16	Kobylak p. Raszynin	Francja	Jakubowicz Jan	2.1.21	Jerzany p. Tłumacz	Francja
Byk Antoni	6.3.1899	Barysz	Francja	Janowski Michał	13.11.19	Michałowice-Rudki	Niemcy
Chlebowiec Andrzej	22.8.08	Mogilno p. Stolin	Wlk. Bryt.	Janusz Mieczysław	25.2.16	Henrykówka p. Bóbrka	Francja
Cholewa-Kleczkowski				Janusz Stanisław	3.5.1897	Ludcza w. Lwów	Francja
Marian (Ryszard)	30.5.05	Lwów	Holandia	Jermaków Paweł	24.11.06	Zadnisówka p. Skalatek	Niemcy
Cwenar Stanisław	17.12.22	Wolcza Dolna	Belgia (RAF)	Jewpłow Władysław	27.6.17	Łuck	Francja
Cytryn Michał	6.7.12	Libuchowa	Wlk. Bryt.	Jurewicz Wincenty	5.5.14	Korczowszczyzny-Mołodeczno	Niemcy
Czernichowski Ludwik	20.12.16	Duda Brodzka p. Brody	Francja	Jurkowski Stanisław	4.4.12	Czabarówka	Niemcy
Czeretoi Leon	14.4.20	Lida	Holandia	Kaczorowski Teofil	5.11.15	Rohatyń	Holandia
Czopek Jan	13.8.20	Czopaticze	Francja	Kamiński Paweł	4.10.03	Wiśniowiec	Holandia
Czunkiewicz Michał	8.10.06	Lubianki p. Oszmiana	Holandia	Kamiński Stanisław	8.3.20	Lwów	Francja
Czyrko Jan	17.5.22	Bobrowicze p. Kosów	Holandia	Kleban Ludwik	21.10.19	Lacka Wola	Francja
Darsicki Adolf	5.5.19	Wielkie Daszki-Postawy	Francja	Kmit Władysław	17.10.17	Zasulce p. Stolpce	Francja
Daum Wilhelm	26.3.23	Stryj	Wlk. Bryt.	Komosiński Zbigniew	10.11.21	Stanisławów	Francja
Dejna Franciszek	27.2.08	Tarnopol	Belgia	Kopko Józef	26.10.17	Osada Nowomiejska	Francja
Denek Władysław	20.10.10	Milcza p. Dubno	Holandia	Korzeniowski Stanisław	25.3.12	Dawidów p. Lwów	Wlk. Bryt.
Dmyterko Stanisław	8.5.19	Baworów p. Tarnopol	Holandia	Kos Zygmunt	17.8.08	Dragonówka	Niemcy
Dragun Bolesław	16.1.24	Dubrowa-Mołodeczno	Francja	Kostubadia Stefan	9.4.18	Tarnów p. Brzezany	Holandia
Drohomirecki Marian	21.1.21	Kołomyja	Francja	Kościuk Andrzej	25.3.04	Kowale p. Kosów	Belgia
Duchaczek Jan	15.6.18	Lwów	Holandia (RAF)	Kowiel Aleksander	1.6.10	Dubowaje p. Skalat	Niemcy
Dudek Karol	15.1.19	Lechowice Zarzeczne	Belgia	Koziołkowski Michał	1.5.19	Żuków	Niemcy
Egemann Hieronim				Kozula Kazimierz	25.2.20	Skole	Holandia
(Józef)	16.2.22	Stanisławów p. Lipie	Francja	Kraśniej Mikołaj	15.4.10	Chomicze p. Prużany	Francja
Eliasiewicz Witold	12.2.11	Strutyń	Belgia	Krocak Michał	27.9.1896	Srokie Lwowskie	Francja
Emilianczyk Stefan	13.3.15	Jelka p. Slonin	Holandia	Krzemionka Stanisław	14.11.19	Zdzienica p. Turek	Francja
Fedeszyn Edmund	11.11.18	Lwów	Francja	Krzyżanowski Tadeusz	19.6.20	Stanisławów	Niemcy
Ferenc Jan	12.12.19	Chlebowiska	Francja	Kubas Zygmunt	24.7.17	Drohobycz	Francja
Fiala Mieczysław	1.1.11	Drohobycz	Francja	Kuczma Tomasz	21.12.14	Winniczka p. Lwów	Holandia
Flisak Franciszek	27.11.19	Kaczanówka p. Skalat	Francja	Kukurowski Tadeusz	9.4.14	Lipca Dolna	Wlk. Bryt.
Fokszej Włodzimierz	14.12.05	Kosów	Wlk. Bryt.	Kusznir Mikołaj	13.5.17	Korzelice p. Przemyślany	Holandia
Fracek Stanisław	23.8.20	Zebłotówka	Francja	Kwiatkowski Maksymilian	13.10.18	Drohobycz	Francja
Frenkiel Bolesław	22.6.12	Borysław	Niemcy	Kwiatkowski Paweł	18.6.06	Michałówka	Francja
Fulawka Władysław	12.12.19	Dobrowody	Francja	Kwiecień Zbigniew	31.7.20	Stanisławów	Holandia
Gajda Stanisław	25.3.03	Mucharz p. Wasowicze	Wlk. Bryt.	Laskowski Alfons	11.4.20	Zylanka-Lida	Holandia
Gawliński Mieczysław	24.5.18	Obertyn	Wlk. Bryt.	Leśniak Józef	8.10.23	Polska Wola p. Tłumacz	Francja
Gdyk Stanisław	15.4.23	Slonim	Francja	Lewkowicz Jan	21.11.10	Kołodno p. Stolin	Belgia
Godowski Adam	15.12.20	Borysław	Belgia	Lityński Wacław	6.6.22	Zdanilówka p. Zdobunów	Niemcy
Gołda Władysław	1.1.20	Sambor Stary	Belgia	Łucki Stefan	3.8.20	Kuty p. Kosów	Francja
Grabowski Józef	30.8.14	Niżborg Nowy	Francja	Łukaszewicz Kazimierz	3.3.16	Jaśkiewicz	Francja
Greinier Eugeniusz	28.5.21	Krościenko Dobr.	Francja	Łuzarowski Jan	6.7.23	Poniatówka p. Równe	Francja
Grudzieński Stanisław	2.10.02	Lwów	Francja	Makarewicz Piotr	12.12.25	Slonim	Francja
Gryglaszewski Michał	15.9.19	Lwów	Wlk. Bryt.	Makowiecki Stanisław	23.2.11	Prużana Poleska	Belgia
Gryniewicz Bazyli	17.9.23	Dreck-Łuniniec	Wlk. Bryt.	Malinowski Piotr	12.6.18	Lisowca p. Zaleszczyki	Holandia
				Małecki Ignacy	25.3.15	Drańcza Polska	F (RAF)

Nazwisko i imię	Data ur.	Miejsce ur.	Miejsce pochowania	Nazwisko i imię	Data ur.	Miejsce ur.	Miejsce pochowania
Manugiewicz Kajetan	3.5.17	Kuty p. Kosów	Francja	Samojluk Antonui	21.7.22	Chopinów p. Łuck	Francja
Mazur Marian	15.4.18	Czahary Zbaraskie	Niemcy	Sawicki Leon	5.11.11	Brzozów w. Lwów	Francja
Mazurkiewicz Stanisław	2.9.20	Janów Lwowski	Belgia	Schlamberger Tadeusz	4.3.18	Stryj	Francja
Mecherzyński Janusz	19.11.05	Kruchowicze-Łuniniec	Francja	Sidorowicz Zenon	1.1.13	Mostwiliński-Oszmiana	Belgia
Miakszyło Aleksy	8.3.09	Mołodeczno	Francja	Sidoruk Bazyli	9.2.21	Pawłopol p. Kobryń	Francja
Michalski Władysław	7.2.20	Plebasówka	Francja	Sienkiewicz Franciszek	22.2.05	Puszcza p. Lida	Francja
Michułka Stanisław	3.1.17	Komamo-Zagószcz, Rudki	Belgia	Sirota Igor	1.1.22	Równe	Francja
Mickiewicz Arkadiusz	13.1.15	Druha p. Brasław	Niemcy	Skurjat Władysław	19.8.19	Borowiki p. Brasław	Francja
Mieszczanin Stefan	7.1.15	Niżniów p. Tłumacz	Holandia	Śluci Kazimierz	14.1.22	Schodnica	Wlk. Bryt.
Misiuk Adam	5.8.05	Narejeszy Dąbrowa p. Święciany	Wlk. Bryt.	Smolny Kazimierz	6.2.21	Stanisławów	Francja
Miś Jan	27.12.11	Jasionka p. Turek	Belgia	Snela Jan	22.11.20	Miejska Górka	Belgia
Miścironiek Zenon	10.3.18	Dąbrowa p. Święciany	Belgia	Sochacki Zdzisław	6.7.16	Lwów	Francja
Miziniak Ryszard	2.10.19	Lwów	Francja	Sożański Wacław	18.1.11	Kuśne Niżne p. Turek	Belgia
Możdżeń Jerzy Józef	22.1.22	Lwów	Francja	Spólnicki Adam	5.10.22	Kołomyja	Holandia
Mrzygłód Emil	21.1.21	Kulajce p. Rawa Ruska	Wlk. Bryt.	Staszewski Józef	22.6.22	Rakowa	Francja
Muszak Kazimierz	29.12.17	Pnikut	Francja	Suchodolski Władysław	18.11.19	Korma	Francja
Myścich Jan	14.5.10	Strachocin p. Maków	Francja	Szczepanowski Jerzy	21.11.09	Tustanowice	Holandia
Mytkowski Bronisław	21.08.16	Rybcza	Holandia	Szopa Jan	22.1.20	Czukiew	Belgia
Nachaj Paweł	27.9.10	Prudniki p. Wołożyn	Belgia	Szuber Marian	24.1.23	Podhajce	Wlk. Bryt.
Neiman Zygmunt	25.7.07	Antoniówka	Wlk. Bryt.	Szulczyński Jan	27.12.18	Lwów	Wlk. Bryt.
Nowak Bolesław	25.10.25	Markowce k. Otyni	Francja	Szumlicz Wiktor	11.11.19	Ochrymowce p. Zbaraż	Holandia
Nowak Julian	1.12.21	Tartaków p. Sokal	Holandia	Szwedzik Piotr	15.12.25	Pinsk-Polapowicze	Francja
Nowotny Zygmunt	22.4.13	Lwów	Belgia	Szyrwiel Bronisław	5.7.10	Borowiki p. Wołożyn	Holandia
Nycz Józef	29.9.20	Tarnawa p. Dobromil	Belgia	Śląski Ludomir	25.12.06	Stanisławów	Francja
Nydzia Józef	11.11.07	Lwów	Belgia	Tartowski Konstanty	3.5.10	Dolny Snów	Francja
Ochman Tafeusz	30.12.10	Stanisławów	Niemcy	Tomczak Józef	19.3.03	Mariampol	Francja
Oleszkiewicz Bazyli	15.12.23	Ostaszyn	Francja	Trautman Jan	7.1.13	Pukienicze	Wlk. Bryt.
Olichwier Jerzy	1.7.23	Olichwiery-Postawy	Francja	Trochimowicz Antoni	2.12.17	Matuszówka	Belgia
Oliwka Edward	3.4.25	Morsztyn	Francja	Trus Aleksander	27.12.13	Mikaszewice-Łuniniec	Francja
Opulski Eugeniusz	9.12.02	Starogrów p. Sokal	Wlk. Bryt.	Tur Izidor	20.5.08	Lwów	Francja
Orsini Mikołaj	17.7.16	Kamieniec Podolski	Francja	Turoniek Elias	20.8.12	Koszelewo p. Brasław	Niemcy
Oszmiański Piotr	29.6.18	Dubrowa-Mołodeczno	Holandia	Turowski Stanisław	12.1.18	Wodnik p. Równe	Francja
Panko Jan	16.4.11	Medenice	Francja	Tyburcy Władysław	3.2.02	Potutory	Wlk. Bryt.
Paskiewicz Mateusz	17.10.06	Kataryniec	Francja	Tyrcz Zbigniew	9.3.18	Lwów	Francja
Pawełko Józef	5.1.21	Ujście Zielone	Francja	Urbanowicz Antomi	10.2.19	Wangi p. Lida	Francja
Perlak Antoni	20.2.16	Helenków p. Brzeżany	Holandia	Wasiewicz Bronisław	10.4.15	Zakościele	Belgia
Pierzecki Władysław	28.9.19	kol. Karczewska p. Sarny	Holandia	Wasowski Jerzy	15.2.10	Borysław	Francja
Plawgo Jan	7.11.17	Zusiny Dąbrowa p. Święciany	Belgia	Wendeker Jerzy	11.10.09	Łaka	Francja
Popiuk Mikołaj	8.12.21	Pistyn p. Kosów	Francja	Węglarz Adam	22.10.24	Peratyn p. Radziechów	Francja
Potapeczuk Wacław	14.3.14	Putryszki	Francja	Wielicz Wincenty	20.11.18	Bardzie	Belgia
Prokopczuk Michał	22.11.18	Horyhlady p. Tłumacz	Holandia	Wisłocki Bolesław	4.7.17		Holandia
Przybyszewski Stanisław	31.3.19	Dolna Dąbrówka Kostopol.	Belgia	Włoch Tadeusz	10.6.22	Stryj	Belgia
Przytomski Alojzy	26.03.22	Kłodno	Niemcy	Wnęk Zygmunt	17.7.18	Kołomyja	Francja
Pukas Kazimierz	26.3.24	Zubrza w. Lwów	Belgia	Wodzianuk Jan	26.1.09	Chmielno	Belgia
Pytel Izidor	13.8.08	Kmidonice p. Zbaraż	Wlk. Bryt.	Wojciechowski Władysław	12.11.17	Hucisko	Wlk. Bryt.
Rackowski Wiesław	25.2.24	Lwów	Belgia	Wojciechowski Zbigniew	21.12.25	Grodno	Francja
Radczyk Jakub	5.5.25	Stydyn Wielki Kostopol.	Belgia	Wozaczyński Zbigniew	7.9.14	Lwów	Francja
Rafalski Kazimierz	7.3.24	Poroda p. Sarny	Holandia	Zabijak Stanisław	14.1.05	Witów Filipowicze	Francja
Rataj Jan	27.7.13	Osmołoda p. Dżisna	Holandia	Zadorożny Michał	11.11.19	Lwów	Niemcy
Reciakiewicz Eustachy				Zakowicz Stefan	4.6.20	Okniany p. Tłumacz	Francja
Kazimierz	20.12.05	Koniuszki Tulig. p. Rudki	Francja	Zaliński Alfred	18.11.25	Leonówka	Belgia
Rega Jan	11.11.17	Dubszcze p. Brzeżany	Holandia	Zaluski Józef	21.3.21	Dragonówka	Belgia
Remont Feliks	8.5.19	Czajczence	Niemcy	Zarański Mateusz	8.9.10	Pnikut	Francja
Rodycz Stanisław	7.5.20	Bilka Szlachecka p. Przemyślany	Francja	Ziarko Stanisław	8.5.11	Kociełów w. Lwów	Francja
Rosen Juliusz	20.3.10	Lwów	Belgia	Zmarzły Józef	22.7.20	Podhajce	Holandia
Różycki Karol	12.10.18	Burchanow-Złotniki	Belgia	Zych Aleksander	30.11.19	Tarnopol	Belgia
Rusinko Władysław	6.7.01	Stanisławów	Niemcy	Zyrmont Edward	14.9.16	Migolawce p. Wołkowysk	Francja
Sagan Teodor	12.6.14	Rasławka	Francja	Żołędziowski Antoni	14.2.24	Nowosiołki p. Równe	Francja
Sakiewicz Władysław	19.2.13	Tarnopol	Francja				

Bezimiennie mogiły polskie na cmentarzu kołomyjskim

(List młodsze­go pracownika naukowego Muzeum Historii Kołomyi przytaczamy z zachowaniem oryginalnej pisowni)

Cmentarz wojskowy w Kołomyi — miejsce wiecznego spoczynku polskich mieszkańców naszego miasta, — znane sądowniki, adwokaci, notaryusze, nauczycielowie i urzędnicy jest symbolicznym akcentem polskiej obecności w pejzażu kulturalnym Kołomyi, otula swą ziemią doczesne szczątki bezimiennych polskich jeńców i internowanych z polsko-ukraińskiej wojny 1918–1919 r.

Na pasie cmentarnich, jak i w okrzemich, tak i w masowych bezimiennych grobach spoczywa 119 osoby. Kiedyś, jak wynika z danych archiwalnych, na grobach byli krzyż — dziś jest tam pusto.

Na Kosaczowi — teraz dzielnicy Kołomyi — w czasie polsko-ukraińskiej wojny istniał ukraiński obóz jeniecki.

Na początku listopada 1918 roku, po rozpadzie Austro-Węgier, przebywający tam jeńcy z armii rosyjskiej, białoruskiej, czechy i polacy. Na tle innych obozów tego typu, funkcjonujących wówczas w Galicji, obóz na Kosaczowi, umiejscowiony w byłych koszarach austriackich, charakteryzował się stosunkowo dobrymi warunkami lokalowo-sanitarnymi, — część budynków była murowana. Tragedia było wszakże to, tak jak i w skali wszystkich obozów, iż nie był on przystosowany do warunków zimowych, napływ zaś kolejnych grup jeńców i internowanych sprzyjał epidemiom cho-

rob zakaźnych.

W r. 1918–1919 na Kosaczowi przebywało odpowiednio 119 internowanych polaków, 55 jeńców z armii bolszewickiej, 1 czech i 1 białorus. Z ogólnej liczby jeńców wojennych i internowanych na Pokucie w koncu 1919 roku, jeńcy i internowani polacy Wschodniej i Zachodniej Galicji stanowili największą grupę.

Straty ludzkie, głównie na skutek epidemii czerwono­ki i tyfusu w skali wszystkich obozów, przez które przeszło do 1000 człowiek.

Trudno, wobec znikomości materiałów archiwalnych, podać dokładną liczbę zmarłych na Kosaczowi. Chory byli kierowani do kołomyjskich szpitali, skąd droga znacznej z nich części wiodła do wspomnianych mogił zbiorowych na cmentarzu wojskowym w Kołomyi. Z wymienionych 119 osób tam pochowanych w latach 1918–1919 przeważająca część była narodowości polskiej.

Muzeum historii miasta Kołomyi wprowadził pracę naukową w rezultacie czego znaleziono 119 opowiadań śmierci jeńców polskich, które pochowane na cmentarzu wojskowym w Kołomyi. Martirológ wojen polskich jest przygotowywany do druku.

Iwan Monolatiy

24.06.1995 r.

POLEMIKI

Redakcja SF otrzymała list od p. Eugeniusza Tuzow-Lubańskiego, Sekretarza Związku Polaków na Ukrainie z Kijowa, który bez zmian zamieszczamy.

W gazecie Rady Najwyższej Ukrainy „Hołos Ukrainy” (nr. 123 od 6.07.95) został opublikowany artykuł p. Bogdana Horynia — „Komu potrzebny ten »bieg z przeszkodami?«, w którym autor podejmuje tematykę stosunków ukraińsko-polskich. Na początku czytając to, co pisze pan Horyń, deputowany ludowy Ukrainy, członek Prowidu i Rady Ukraińskiej Partii Republikańskiej, dyrektor instytutu badań diaspory ukraińskiej, można odnieść takie wrażenie, że autor jest zwolennikiem jak najlepszych stosunków ukraińsko-polskich — ale dalej... Pan Horyń pisze, że Chełmszczyzna, Łemkowszczyzna i Ziemia Nadsańska — to są ziemie od wieków ukraińskie, i w 1944 r. te regiony siłą zostały włączone do Polski. Czyje są te ziemie — na ten temat nie chcę z p. Horyniem prowadzić żadnej polemiki, bo jakoś nie wypada tego robić u progu XXI stulecia, po podpisaniu w 1975 roku Umowy Helsińskiej o nietykalności granic w Europie, i jeszcze dlatego, że dzisiaj można na własne oczy zobaczyć, do czego prowadzą pretensje terytorialne — świeży — przykład to wojna w Jugosławii, która pokazuje do jakich skutków i ofiar może doprowadzić szowinizm.

Dalej szanowny pan Horyń pisze o akcji „Wisła”. Czytelnik, nie obeznany w tej sprawie, może zrozumieć, że deportacja Ukraińców w 1947 r. z terenów Małopolski Wschodniej na Ziemię Odzyskaną — odbywała się tylko dlatego, że władze polskie dyskryminowały naród ukraiński. Wtedy nasuwa się pytanie — dlaczego, na przykład, nie było deportacji zamieszkałych w granicach Polski Białorusinów czy Litwinów. Z treści tego artykułu można zrozumieć, że Polacy tak nienawidzili wyłącznie i tylko Ukraińców, że w sposób barbarzyński, gwałcąc wszystkie prawa narodu ukraińskiego i prawo międzynarodowe, przesiedlali Ukraińców na Zachód i Północ Polski. Dwa kolory: czarny i biały. Czarny to Polacy. Biały to Ukraińcy. Szanowny pan dyrektor nawet półsłówka nie powiedział obiektywnie. Dlaczego? O akcji „Wisła” napisał, a o akcjach UPA na terenach Małopolski Wschodniej zapomniał, ale nie zapomniał o odszkodowaniu dla ludności ukraińskiej za akcję „Wisła”. A kto i w jaki sposób wynagrodzi Polakom za śmierć ich ojców, matek i dzieci, zabitych bestialsko przez upowców na

Wołyniu i Galicji? Czy jest takie odszkodowanie za dziki mord osoby ci bliskiej? Senat Rzeczypospolitej prosił Ukrainę o przebaczenie akcji „Wisła”, a czy Rada Najwyższa Ukrainy choć coś powiedziała na temat niszczenia Polaków przez UPA, nie mówiąc o jakimś geście pokuty?

Pan Horyń nic nie mówi — dokąd przesiedlano Ukraińców, nie mówi, że były to gospodarstwa poniemieckie, a jak gospodarują Niemcy, to my dobrze wiemy (nie mówi także o tym, że Ukraina Sowiecka przesiedlała Ukraińców za współpracę z UPA daleko na Północ, tj. na Syberię). Pan Horyń nawet nie wspomina, że Ukraińcom przesiedlonym teraz wolno powracać do miejsc poprzedniego zamieszkania, ale chętnych nie jest dużo. Oprócz tego radziłbym panu dyrektorowi ds. diaspory ukraińskiej przyjechać na te tereny deportacji i zobaczyć na własne oczy, w jakich warunkach mieszkają jego rodacy i porównać z tym jak mieszkają Ukraińcy we własnym kraju. Myślę, że wielu obywateli Ukrainy zgodziłoby się dzisiaj na taką deportację bez żadnego odszkodowania. I jeszcze prosiłbym pana dyrektora zapoznać się w Warszawie, jak rząd polski finansuje Związek Ukraińców w Polsce, a potem w Kijowie porównać to z opieką Ukrainy mniejszością polską.

Już na końcu do wszystkich grzechów polskich pan Horyń jeszcze dołącza, że dziesięć polskich organizacji patriotycznych wystąpiło z petycją zawieszenia działalności Związku Ukraińców w Polsce. Nie bardzo rozumiem dlaczego pan Horyń nie wymienia tych organizacji. I jeszcze chciałbym wiedzieć jakie znaczenie pan dyrektor wkłada w słowo „patriotyczne”, w tym kontekście. Co do tego „grzechu”, to o ile mi wiadomo dzisiaj, Związek Ukraińców w Polsce nadal działa i oficjalne władze Rzeczypospolitej nie przeszkadzają temu Związkowi, a nawet przekazują duże dotacje finansowe na jego działalność.

Kończąc tę polemikę czy raczej próbę postawienia problemów w stosunkach ukraińsko-polskich z głowy na nogi, zapytuję pana B. Horynia — komu służy taki „bieg z przeszkodami”?

Sekretarz Związku Polaków na Ukrainie

Eugeniusz Tuzow-Lubański

Odpowiedź na list profesora Jerzego Węgerskiego

Bronisław Szeremeta

W sprawach historii AK Okręgu Lwowskiego prof. J. Węgerski uważa się za niepodważalny autorytet, nie dopuszczając interpretacji wydarzeń innych uczestników — jeżeli nie jest ona zgodna z jego własną. I tak, nawet na historię mojego aresztowania ma „nieco inny pogląd” niż ja.

Z początkiem 1989 r. ukazały się w drugim obiegu moje wspomnienia pt. „Powroty do Lwowa”, wydane przez wydawnictwo ASPEKT we Wrocławiu. Moje relacje prezentowane w tym opracowaniu okazały się dla prof. Węgerskiego niewiarygodne. Z jakiego więc bardziej wiarygodnego źródła mógł on uzyskać informacje o moim aresztowaniu? Czy może od „Sasa”, który tak jak mnie, wydał „Krystynę”, „Marka” i parę innych osób w ręce sowieckiego kontrwywiadu „Smiersz”? Prof. Węgerski nie przyjmuje do wiadomości relacji o roli odegranej przez „Sasa”, swego współtowarzysza z oddziału leśnego, z którym kontaktował się aż do jego śmierci. A może te bardziej wiarygodne źródła to archiwum SB czy KC—PZPR, na które tak często się powołuje?

Prof. Węgerski zarzuca mi, że od 1989 roku podjąłem przeciw niemu oszczerczą kampanię. Czyżby za początek oszczerczej kampanii uznał krótką wzmiankę w moich wspomnieniach o panu Jerzym Węgerskim spotkanym w łagrze w Spassku koło Karagandy? W moich wspomnieniach o rodakach spotkanych w łagrach zawsze podawałem ich nazwiska i okoliczności w jakich się tam znaleźli. Tak też napisałem o p. Jerzym Węgerskim, którego poznałem tam przy budowie karceru. Był on kierownikiem tej budowy, a więc należał do elity obozowej, a takich nazywano „prydukami”. Ja jako katorżnik dowoziłem wtedy z kamieniołomu budulec na tę budowę. Wspominałem o tym bez żadnej złej myśli, a nawet z pewnym zrozumieniem — niektórzy bowiem byli przyjmować takie funkcje żeby po prostu lepiej przeżyć pobyt w łagrze i nie widzę powodu, dlaczego miałbym to przemilczeć. Ale prof. Węgerski widocznie dziś się tego wstydi i dlatego wzmiankę tę przyjął jako moją złośliwość. No cóż — z drugiej strony pełnienie takiej funkcji honoru nie przynosiło, choć sam Sołżenicyn należał w łagrze też do „pryduków” pełniąc funkcję brygadzysty, najbardziej pogardzaną i nienawidzoną przez wszystkich więźniów. Można się o tym dowiedzieć z wywiadu z prof. Jerzym Węgerskim zamieszczonego w Gazecie Wyborczej z 23.IV.94 pt. „Torem, lasem”, gdzie opisuje on w jaki sposób poznał Sołżenicyna. W wywiadzie tym pisze dalej tak: „Jeden z kolegów wspominał mi niedawno, że budowałem w Spassku karcer i on pierwszy w nim siedział; tymczasem ja pierwszy w nim siedziałem”. Gdyby tak było, to znalazłszy się w środowisku „błatnych”, którzy w większości wypełnili nowo zbudowany karcer, wściekli na cały świat i tego, kto go zbudował, nie wyszedłby z niego cało. W tym karcerze jako jeden z pierwszych przesiedziałem dwa miesiące za rzekome przygotowywanie się do ucieczki, ale p. Węgerskiego tam wówczas nie widziałem. Po wyjściu z karceru dowiedziałem się, że po ukończeniu budowy został on wywieziony do innego łagru.

W wywiadzie tym prof. Węgerski usprawiedliwia się, że musiał budować karcer, ponieważ nie był ani „błatnym” ani „baptystą”, którzy choć z różnych powodów, ale skutecznie odmawiali wykonywania jakiegokolwiek pracy. Postawę „błatnych” reżim tolerował i do pracy ich nie zmuszał, ponieważ i tak pasożytowali oni na koszt ogółu, a poza tym byli przydatni do poniżania i dręczenia więźniów politycznych. Natomiast „baptysty”, albo „monachy” (zakonnicy) jak ich ogólnie nazywano, choć wśród nich byli również starowiercy, to najdzielniejsi ludzie w łagrach. Oni jedyni mieli odwagę przeciwstawiać się zbrodniczemu reżimowi i żadne represje, szyskany czy tortury nie potrafiły zmusić ich do pracy. Na przykład, wypędzano ich zimą z baraku w białiznie do bramy wyjściowej obiecując, że dostaną ubranie jeżeli zgodzą się pójść

do pracy; ale oni, przemarzając na mrozie do kości, nie ruszali się z miejsca i tylko wołali, że „na djawola i antychrysta rabotat” nie budut, pust’ proklatyj propadiot!” (na szatana i antychrysta pracować nie będą, niech przeklęty szczególnie!). Przy takiej postawie byli oni dla władzy bardzo niebezpieczni i dlatego trzymano ich w łagrach w ścisłej izolacji. Czekiści starali się propagandą rozbudzić pogardę i nienawiść do „baptystów—monachów”; propaganda ta była nawet dość skuteczna, gdyż większość uważała ich za nienormalnych fanatyków religijnych porywających się z motyką na słońce. Byli jednak i tacy, którzy ich szanowali i uważali, że gdyby wszyscy poszli za ich przykładem, to dyktatura Stalina runęłaby jak domek z kart. Dziś rzadko się zdarza aby ktokolwiek opisując swe przeżycia w łagrach wspominał o „baptystach—monachach”. Jedynie p. Maria Wierzbicka w swoich wspomnieniach „Lwów—Ural—Komi (więzienie, łagry, zesłanie)” dużo miejsca poświęciła „monaszkom” (zakonnicom) odmawiającym pracy w łagrach. Natomiast prof. Węgerski jak gdyby uległ ówczesnej obozowej propagandzie NKWD, bo po upływie pół wieku wyraża się o „baptystach” pogardliwie, stawiając ich na równi z „błatnymi”. Dobrze by było, gdyby prof. Jerzy Węgerski zapoznał się z tymi wspomnieniami p. Marii Wierzbickiej, a przynajmniej z rozdziałem pt. „Monaszki” (str. 158).

Prawdą jest, że osobiście nie znałem i nigdy się nie zetknąłem z ppłk Macielińskim, a wszystko co o nim wiem pochodzi z książki prof. J. Węgerskiego. Być może prof. Węgerski znał go bliżej, a może nawet z nim współpracował, i dlatego całą książkę poświęcił wywodom o jego niewinności. Ale już z samej tej książki wyłania się inny wizerunek Macielińskiego aniżeli życzyłby sobie prof. Węgerski. Manipulując zebranymi wiadomościami i relacjami prof. Węgerski wyprowadza wątpliwe wnioski i twierdzenia o niewinności Macielińskiego, po drodze rzucając pomówienia i na innych oficerów. Jednym z pomówionych jest np. śp. ppłk Stanisław Mrozek, w którego obronie stanął jego syn inż. Zdzisław Mrozek, zmuszając prof. Węgerskiego do odwołania pomówienia i przeprosin na łamach Tygodnika Powszechnego Nr 40 z 4.X.92. Zdzisław Mrozek w swej pracy pt. „Przyczynki do konspiracji we Lwowie w 1940 r.”, która ukazała się na łamach Przeglądu Wojskowego Nr 3/92, na podstawie posiadanych materiałów przedstawił zauważone manipulacje prof. Jerzego Węgerskiego i w zakończeniu na str. 236 pisze: „Wywód swój podsumuję krótkim stwierdzeniem: Autor manipuluje faktami w sposób dla siebie wygodny, uzasadniając tezy tylko przez niego uznane za słuszne.”

Wiele jest w tej książce dowodów świadczących o współpracy Macielińskiego z NKWD. Wymienię tylko niektóre: kilkakrotnie aresztowany i wypuszczany przez NKWD, nie wykonywał rozkazów Komendy Głównej ZWZ (co w warunkach wojennych podlega sądowi wojennemu), nie przysyłał meldunków wywiadowczych (str. 332); natomiast poza plecami Komendy Głównej ZWZ utrzymywał łączność z Londynem i ustawicznie żądał pieniędzy. Na Macielińskiego zapadł prawomocny wyrok skazujący i tylko Rewizja Nadzwyczajna mogłaby ten wyrok uchylić — przy przedstawieniu przekonujących dowodów na jego niewinność. Kiedyś na spotkaniu we Wrocławiu prof. Węgerski oświadczył, że zamierzał przeprowadzić taką Rewizję Nadzwyczajną i chciał do tego zaangażować córkę Macielińskiego. Ta jednak odmówiła, ponieważ — jak twierdził — obraziła się, że nazwał jej ojca miernotą. Czy tylko taki powód mógł być przyczyną odmowy córki wzięcia udziału w rehabilitacji ojca?

Po przeczytaniu książki p. Wandy Ossowskiej pt. „Przeżyłam” odniosłem wrażenie, że ta dzielna patriotka, bez reszty oddana swemu dowódcy, padła ofiarą swego zaufania i wiary w niego. Macieliński powierzył jej bowiem zadanie niegodne oficera i dowódcy. Wysłał ją do Warszawy z poleceniem dotarcia do same-

go gen. Głota, przedstawienia mu ciężkich warunków materialnych organizacji i zdobycia jak najwięcej pieniędzy, o które bezskutecznie molestował w wysyłanych pismach. Pani Ossowska opisuje z jakim trudem usiłowała dotrzeć do Generała, jak ją zwodzili, a w końcu zaaranżowali spotkanie z rzekomym generałem wręczając jej 50 dolarów. Gdyby p. Ossowska się dowiedziała, że służyła zdrajcy, to można sobie wyobrazić jakim ciężkim byłoby to dla niej ciosem.

Powoływanie się na autorytet gen. Paszkiewicza nie jest dla mnie argumentem. Gen. Paszkiewicz po powrocie z Zachodu wysługiwał się władcom PRL i likwidował AK na ziemi białostockiej dowodząc oddziałami MSW. Ani mnie, ani nikogo kto poznał metody działania NKWD, prof. Węgierski nie przekona budowaniem własnych tez i cytowaniem wypowiedzi uznanych przez siebie autorytetów. Zarzuca mi, że sam będąc oficerem AK krytykuję i oczerniam jego, także oficera AK, który pierwszy zebrał materiały i tyle książek o AK napisał. Otóż jestem pełen uznania

za trud włożony przez niego w zbieraniu tych materiałów, ale protestuję przeciw wykorzystywaniu ich w sposób nierzeczny i nieobiektywny, kierując się sympatią czy antypatią do niektórych osób i organizacji. Rzetelnie historię AK przedstawił p. Władysław Śledziński vel Wojciech Myślenicki, szef BIP—u Obszaru Lwowskiego AK, człowiek kompetentny i wiarygodny, w artykule „O zakłamaniej historii Lwowskiej Armii Krajowej” opublikowanym w czasopiśmie „Morze i Ziemia” Nr 27/602 z 6.VII.94. Czy prof. Jerzy Węgierski uważa, że ten artykuł również go oczernia?

Nie chodzi tu więc o jakąś oszczerczą kampanię z mojej strony. Nie mogę się tylko pogodzić z tym, że oficer Lwowskiej AK i współwięzień z sowieckiego łagru stara się zrehabilitować zdrajcę. Każdy wie czym był dla Polski i Polaków system sowiecki. Bardzo niewiele jednak pisze się o rodzimych zdrajcach i kolaborantach. A jednego z nich prof. Węgierski usiłuje uniewinnić, zarazem kładąc cię na dowództwo ZWZ.

P. Dr. Jerzemu Masiorowi odpowiedź na P y t a n i e w SF nr 27

Janina Augustyn-Puziewicz

50 lat minęło. Ale nie w tym rzecz. Czy wrócilibyśmy? Oto jest pytanie. Czy wróciłabym ja, moje koleżanki, znajomi, czy wróciłbyś Ty, Jurku? Nie wiem, przecież starych drzew się nie przesadza. Może pozostawmy to pytanie bez odpowiedzi, bo prawda boli. Nie wrócilibyśmy. Gdzie nam teraz odchodzić i po co? Kto na nas tam czeka? Kto wygląda naszego przybycia? Kto chciałby się podjąć dzwignia czyjegoś starego życia na swoich barkach, w imię lwowskiego braterstwa jedynie. Kto by nam świeczkę na grobie zapalił? Nikt nie chce zostać zapomniany. Kto by nas wspomniął? Dzieci? Czy pamiętałyby, jeżeli pozostałyby tu na NOWYM, bo pozostałyby napewno. One teraz TU mają swoje domy. DZIECI! nasze DZIECI! Z jednego pytania zrodziło się następne. Czy przekazaliśmy naszym dzieciom wiedzę o naszym rodzinnym Mieście, czy zaszczepiliśmy im chociaż odrobinę naszej miłości do Miasta rodziców i dziadków? Czy nauczyliśmy kochać nasze wspomnienie nieznanego im Miasta Przecież Ono jest, żyje, choć dziś innym życiem. Czy bodaj raz każdy z nas powiedział swemu dziecku kochaj Lwów przez miłość do matki lub ojca. Czy umieliśmy własne wspomnienia tak przekazać, aby stały się taką samą tradycją jak święta Bożego Narodzenia lub Wielkiej Nocy? Wiadomo, miasto nie może być tradycją, ale tradycją może być to wszystko, co w nas zostało. Czy wystarczająco dużo opowiadaliśmy naszym dziś dorosłym dzieciom, jak to dawniej w naszym rodzinnym Lwowie bywało? Jak się śpiewało wieczorami na podwórku, lub kamienicznych progiach, w parkach, na Wałach czy na Pohulance. Czy nasze dzieci będą umiały przekazać swoim dzieciom, a naszym wnukom, zasłyszane od nas opowieści o Mieście Siedmiu Wzgórz, Wysokiego Zamku, Kajzerwaldu, Pohulanki i Stryjskiego Parku. A może słyszały nuconą przez nas piosenkę „W Stryjskim Parku na festyni...”

Czy opowiedzieliśmy im, że byli w tym wspaniałym Mieście trzy metropolie: łacińska, ormiańska i grekokatolicka? Zaprezentowaliśmy im jakie nam bliskie postacie Ujejskiego, Zbierchowskiego, Makuszyńskiego i wiele innych? Co wiedzą (od nas) o lwowskich Orłętach? To wszystko już historia, ale jeżeli o niej im nie opowiadaliśmy, to na kartkach jakiej jednej łatwo dostępnej książki ją znajdą? Ta historia przymusowo opuszczonego Miasta powinna być znana i bliska naszym dzieciom, a przez nie naszym wnukom. Od naszych własnych wspomnień i marzeń o (nierealnym dla nas) powrocie, ważniejsze jest przekazanie historii naszej Miłości nie tylko do Lwowa, ale do wszystkiego, co polskie i nasze, aby te informacje szły z pokolenia w pokolenie. Coś z tych przekazów ocaleje, będzie żyć, gdy nas już nie będzie. Jeżeli ginie pamięć i tradycja, umiera miłość. Cóż warta ziemia bez narodu

który by ją kochał? Dlatego nie mówmy o powrotach. Nas już tak niewielu. Młodym pozostawmy nasze wspomnienia, naszą miłość do nieznanego im Miasta wraz z jego historią. Może kiedyś losy narodów napiszą inny scenariusz, wtedy to, co im przekazaliśmy ożywi pamięć o nas i wzbudzi wdzięczność. Czy to zostało zrobione? Może dzięki naszym zamkniętym ustom; nie ujawnionym wspomnieniom, wizerunek naszego Miasta razem z nami zejdzie w cień... Oby tak się nie stało.

Niedawno odszedł od nas ostatni bard Lwowa, Jerzy Michotek. Napisał Kolysankę dla lwowskiej wnuczki. Jak to miło, że po Nim została. Została — takie duże słowo do małego wiersza.

Śpij, moja miłości,
Jeśli chcesz, nim uśniesz coś Ci powiem, powiem..
Kładę tu dwa grosze, Ale nim nie skończę, nie unosić proszę
powiek..
Będę mówił o jednym takim Mieście na tym świecie całym,
Gdzie był Zamek, przed ratuszem stały lwy,
A Trzeciego Maja
Trąbka tak tam grała..
wcale nie jest smutno mi
Śpij, maleństwo, śpij
Lulila, lulila, lulali..
śpij, śpij, śpij..
Lulila, lulila, lulali..
śpij, śpij, śpij..
Śpisz już, mój motylku,
Idź więc szybko! Idź, Idź! Choćby tylko we śnie, we śnie..
Idź na Żelazną Wodę, na Dwernickiego, Zofii, Supińskiego
i w tę drogę

Weź mnie, weź mnie!..
Pobiegamy przez Długosza, Mikołaja i Akademicką..
Plac Mariacki... włóczki — „Trójkąt w Kole”... mydło —
„Jeleń Schicht”...

Potem przez Halicką i już... i już..
Boże, gdzie to wszystko?..
Wcale nie jest...wybacz mi..
Śpij, maleństwo, śpij..
Śpij...!

A co zostawił nam? Też coś: „Wierne Madonny”. One niech
nam i naszym wspomnieniom towarzyszą do końca...

Cracovia—Leopolis

Jest to tytuł nowego czasopisma Oddziału Krakowskiego TML i KPW. Zaplanowany jako kwartalnik i redagowany przez zespół w osobach: Andrzej Chłipański (red. nac.), Barbara Kościak, Janusz M. Paluch przy współpracy Rady Redakcyjnej, gdzie oprócz wyżej wym. osób znajdujemy nazwiska Barbary Czałczyńskiej, Romany Machowskiej, Andrzeja Olszewskiego, Krystyny Stafińskiej i Adama Żarnowskiego. Jest pismem, jak mówi nota wstępna od Redakcji, o Krakowie i Lwowie w sensie dwóch rozległych historycznych regionów, które los przed 50 laty rozdzielił.

Numer 1. kwartalnika zawiera następującą treść: Kraków—Lwów. sześć wieków razem (autor L. Podhorodecki), zarys biografii arcybiskupstwa lwowskiego J. Bilczewskiego ks. Fr. Płaczka oraz komplementarne fragmenty jednego z listów pasterskich arcybiskupa. Wywiad z p. Tadeuszem Noworolskim, reprezentantem rodziny właścicieli słynnej kawiarni krakowskiej, której korzenie wywodzą się z Pokucia. Dział literacki prezentuje w numerze proza Barbary Czałczyńskiej (nowela pt. „Podróż na Wschód”), wiersz Alicji Bober poświęcony tragicznemu wywózowi Polaków ze Lwowa 13 IV 1940 r.

Pomyślany jako stały dział wiadomości z tamtej strony granicy zamieszczono krótki szkic o aktualnej strukturze archidiecezji lwowskiej. Interesująco zapowiada się również słownik geograficzno-historyczny — w numerze 1. omówiono syntetycznie hasła Kołomyja, Komarno, Rozdół, Stanisławów i Turka. Z cyklu „Sylwetki” M. Bogdanowicz przedstawił barwne życie Mariana Rosco-Bogdanowicza, autora pamiętnika obrazującego życie i obyczaje ziemianstwa polskiego w Galicji. Ze ściśle krakowskim tematem łączy się w dziale „Kultura i nauka” niewielki ale treściwy

artykuł Kazimierza Kuczmarka pt. „Dar rodziny Lanckorońskich dla Zamku Królewskiego na Wawelu”. Całość dopełnia Kronika Aktualności krakowsko-lwowskich ze szczególnym osobnym omówieniem działań, wystaw, rocznic obchodzonych w 1994 r. w Krakowie pod hasłem „Rok lwowski”.

Redakcja „Semper Fidelis” życzy Redakcji „Cracovia—Leopolis”, by z pełnym sukcesem, wykazując wagę wzajemnych związków historycznych Krakowa i Lwowa, dokumentowała tę prawdę, iż związki te nie będą wygasać, lecz będą stanowić w przyszłości dalszą kontynuację procesu rozwoju kultury w tej części Europy.

A generalnie — mimo braku mecenatu państwowego i samorządowego wydawnictwa kresowe — rozwijają się. Jest to wynik ofiarnej, nieraz ciężkiej indywidualnej pracy, która przynosi tak poważne edycje jak „Rocznik Lwowski” (J. Wasylkowski wydał już 3. tom) czy mniejsze i skromniejsze wydania, poświęcone dziejom pszczyńskich rejonów i miejscowości — oto niektóre z nich: „Strzecha Stryjska”, „Głos Podola”, „Głos Buczacza”, „Spotkania Świrzan”, wiadomości z Drohobycza oraz coraz bardziej ambitne zielone zeszyty „Gdzie Szum Prutu”. Wielka szkoda, że wypadki losowe nie pozwoliły na kontynuację pisma „Kresowianie”, wydawanego staraniem p. Jarosława Haaka z wałbrzyskiego Oddziału TML i KPW. Może zła passa się odwróci. Redakcja „Semper Fidelis”, widząc ile trudności trzeba pokonać, wyraża swoje wielkie uznanie wszystkim PT Redaktorom wymienionych wyżej tytułów i ma nadzieję, że nadal się będą ukazywać, a np. „Biuletyn Informacyjny” Poznańskiego Oddz. TML i KPW przekształci się niedługo w kwartalnik „Kresowianie w Wielkopolsce”.

Redakcja

Książki o Lwowie — Lwów w książkach

Jacek Kolbuszewski „KRESY”, Wrocław, 1995, „Wydawnictwo Dolnośląskie”, z serii „A to Polska właśnie”. 256 str. + fotografie i barwne reprodukcje w tekście. Cena 18,90 zł.

Piękna, mądra i wzruszająca książka. Ocenili ją każdy z nas, kresowian, już po otwarciu pierwszych kartek, i przeczyta sercem, a nie wzrokiem. Autor, historyk literatury polskiej, swoim tekstem, cytatem, obrazem przypomina wszystko, co dotyczyło Kresów. Nie tylko odstawia zapomniane obrazy z pyłu czasu, ale analizuje znaczenie Kresów dla polskiego dziedzictwa kulturowego, utwierdza w przekonaniu, że Kresy i Polska — to jedność, mimo zmian terytorialnych i demograficznych ostatniego pięćdziesięciolecia. Tak odczytałem tę książkę, na przekór temu, co autor pisze w ostatnim jej rozdziale, zatytułowanym „Podzwonne dla Kresów”.

Kresy w książce Kolbuszewskiego to całe nasze wschodnie, północno-wschodnie i południowo-wschodnie pogranicze, rubieże utracone, od mickiewiczowskiej Kowieńszczyzny, Wilna, Dźwińska po zazbruczańską Ukrainę. Ale Lwów i przedwojenne województwa południowo-wschodnie zajmują w książce poczesne miejsce.

Książka jest edytorskim majstersztykiem. Każda strona łączy dwa nurty: literackiemu tekstowi towarzyszą co najmniej dwie komplementarne reprodukcje lub fotografie, znakomicie dobrane, technicznie doskonałe.

Mimo wysokiej ceny — książka powinna się znaleźć w domu każdego kresowianina, jego syna czy wnuka, nie tylko dla przypomnienia, ale i przemyslenia.

Książkę uzupełnia mała antologia tekstów (też i o kuchni kresowej!) oraz aneks z bibliografią, źródłowym wykazem ilustracji i indeksem nazwisk.

/LS/

Bronisław Szeremeta „WATAŻKA”, Wrocław, 1995, nakładem autora. 64 str., cena 3,00 zł.

Czarnym, a raczej czerwono-czarnym „bohaterem” książeczki Szeremety jest Dymitr Kupiak, upowski watażka, budzący grozę, dowódca czoty Służby Bezpieki UPA, który w latach 1944–1945 działał na terenie powiatu Kamionka Strumiłowa. Kupiak, czyli „Klej”, na czele swego oddziału napadał, grabił i palił wsie w okolicach Krasnego, Buska i Kamionki Strumiłowej dawnego województwa tarnopolskiego, a ofiarami jego byli nie tylko Polacy, ale i Ukraińcy, którzy nie chcieli podporządkować się władzy UPA. Oskarża się go o śmierć ponad 200 osób.

Autor opiera treść książki na przebiegu procesu członków czoty „Kleja”, jaki odbył się w Krasnem w 1969 roku, oraz na autobiograficznej książce samego „Kleja”, wydanej w Kanadzie w 1991 roku, jak również na wspomnieniach bardziej bezpośrednich, bo swoich własnych i swojej kuzynki, świadka zbrodni czoty Kupiaka.

Książka, mimo że jest napisana spokojnym, zrównoważonym tonem, budzi grozę szczegółami dokonanych zbrodni. A o szczegółach tych relacjonują głównie Ukraińcy, świadkowie wezwani na sąd w Krasnem, krewni i sąsiedzi pomordowanych.

Dymitr Kupiak w 1945 roku pod przybranym (polskim) nazwiskiem uciekł przez Polskę i Czechosłowację za ocean i dziś jest szacownym obywatelem ukraińskiej społeczności w Kanadzie.

Książeczka, z przedmową prof. Edwarda Prusa, jest wydana starannie, choć jej wartość obniża tandetny, łopatologiczny rysunek na okładce.

Na marginesie tej — i innych — książek nasuwa się refleksja: kiedyś historycy opracują księgę będącą zsumowaniem wszystkich zbrodni upowskiego szowinizmu? Upowskiego, a nie ukraińskiego, bo to nie to samo. Książeczki czy broszurki w rodzaju

„Watażki” umykają, przeciekają przez palce, zapomni się o nich. Na forum międzynarodowym liczyć się będzie tylko książka wielka, sumaryczne przedstawienie ogromu ludobójstwa lat 1943–1945, „Czarna Księga 170 zbrodni dokonanych na Wołyniu i Podolu. Dopiero po niej będzie można mówić o wyrównaniu rachunku krzywd czy przebaczeniu. Trzeba się spieszyć, póki nie obejmie tego zapomnienie.

/LS/

Bohdan Urbankowski „CZERWONA MSZA ALBO UŚMIECH STALINA”, Warszawa, 1995, wyd. „ALFA”. 504 str., cena 19 zł.

Pamięć ludzka jest ułomna i ulotna, ale *scripta manent* – to, co zostało napisane, to pozostanie. Nie brali tego pod uwagę ci pisarze, dziennikarze, literaci i poeci, którzy w latach czerwonej okupacji, poczętej 17 września 1939 roku, sławili „braterskie wyzwolenie”, Wielkiego Wodza w Moskwie, „armię chłopów i robotników” i nowy, jakże ponury ład. Ci sami pisarze i poeci później, w powojennej już Polsce, wysławiali partię, Bieruta, przyjaźń polsko-radziecką, ba, nawet Urząd Bezpieczeństwa, opluwali wierszem tych, których aktualnie należało opluwać, byli w „dyspozycji” i „na linii”.

Urbankowski nikomu nie darował. Jego książka jest antologią

literackiej zdrady i poniżenia. Wiersze – poczynawszy od drukowanych w lwowskim „Czerwonym Sztandarze” utworów Ważyka, Pasternaka, Leca, Lewina, Szemplińskiej, aż do pochwalnych panów Woroszyńskiego, Prutkowskiego, Międzyrzeckiego czy Symborskiej z lat prawie-że ostatnich – przypominają o smutnych kartach polskiej literatury. Na szczęście istniał jeszcze Miłosz, istniał Herbert, pisali inni...

Urbankowski nie poprzestaje na analizie tej ciemnej poezji, lecz wszystko, o czym pisze, umieszcza na szerokim tle historycznym, publikując „czyny i rozmowy” niekiedy prawie nie znane przeciętnemu czytelnikowi.

A czytelników-Lwowiaków najbardziej zainteresuje pierwsza część książki, zatytułowana „Prawdziwy początek PRL”, dotycząca lwowskiego świata literackiego w latach 1939–1941, poddane go największemu chyba naciskowi wschodniej władzy, „pierekowe” dusz.

Książka jest wydana starannie. Liczne przypisy pozwalają czytelnikowi sprawdzić, gdzie i kiedy omawiany poeta maczał pióro w czarnym – jakże czarnym – atramencie dla wysmarowania swych rymowanych myśli. Brak w książce skorowidza nazwisk. Może to i lepiej, gdyż łatwiej będzie o nazwiskach tych zapomnieć.

/LS/

W lwowskiej katedrze

Janusz Wasyłkowski

Pani K., którą miałem przyjemność poznać w połowie lat siedemdziesiątych we Lwowie, opowiadała:

— Byłam w niedzielę na porannej mszy św. w katedrze. Tłok był znaczny, jak zwykle przy głównym ołtarzu pełno staruszek, przy wejściu trochę młodzieży, coraz częściej i jakby odważniej przychodzącej do kościoła. Starowinki skupione na przodzie modłą się na ogół żarliwie i półgłosem. Słyszę więc nagle, jak moja sąsiadka wypowiada nieco głośniejsze: „I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym wojowajcom...”

Zaskoczona, czy bardziej zdziwiona tym sformułowaniem, pochylałam się nad babinką i szeptem powiadam: Nie mówi się, proszę pani, „naszym wojowajcom”, tylko „winowajcom”... Siwiuteńka głowina przechyla się lekko, wyblakłe oczy patrzą na mnie z pewną dozą zdziwienia, zmieszanego z politowaniem i słyszę donośny szept: „Czy bolszewiki zawojowały nam Lwów, czy nie zawojowały?”

Kiedy nie odpowiadam na to jakże proste i jednoznaczne pytanie, starowinka dodaje:

— Tak i wojowajcy!

I odwraca się ode mnie, jak od człowieka, z którym w ogóle nie warto poważnie rozmawiać.

Milknę jak niepyszna, ale któregoś innego dnia, słyszę znowu, jak inna staruszczyzna, modląc się, mówi: „...pod polskim Piłatem”. Ponownie, nie bardzo wiedząc dlaczego, nie wytrzymałam, nauczycielski nawyk chyba, bo wie pan, nauczycielką byłam z zawodu i zamiłowania, znowu pochylałam głowę do ucha modlącej się kobiety i tłumaczę jak dziecku: Nie mówi się „pod polskim Piłatem”, ale „pod ponckim...”; choć w tym momencie uświadamiam sobie, że słowo „poncki” nie właściwie dzisiaj nie mówi, nie nie znaczy, jest odległe, jak cała starożytna historia...

I znowu patrzą na mnie błado-niebieskie oczy typowej lwowskiej przekupki, takiej, co to swoje wie i nie da sobie w kaszę dmuchać, i słyszę pełną pretensji ripostę, wypowiedzianą ironicznym lyczakowskim akcentem:

— Ta przecież bolszewiki są dla Polski Piłatami...

No nie? Tak więc i pod polskim Piłatem...!

Z życia Towarzystwa i zaprzyjaźnionych organizacji

Coraz częściej spotykamy się z przywoływaniem pamięci zamordowanych w latach wojny rodaków z Kresów wschodnich przez szowinistów ukraińskich.

11 czerwca br. uroczystość została odsłonięta tablica w kościele parafialnym w Głubczycach. Ta manifestacja patriotyczna zgromadziła kilka tysięcy uczestników z całego regionu. Po mszy poświęconej pamięci pomordowanych, uczestnicy udali się pod pomnik ofiar II wojny światowej, gdzie odbył się dalszy ciąg uroczystości z udziałem kompanii honorowej Wojska Polskiego.

Miedzy innymi przemawiali burmistrz mgr D. Kaśków, przewodniczący ŚZZAK Śląskiego Okręgu w Katowicach prof. dr Zbigniew Gregorowicz oraz dr Aleksander Korman.

Uroczystość w Głubczycach — 11 czerwca 1995 r.

Uroczystość — stanowiąca manifestację patriotyczną — zakończył prezes Zarządu Oddziału Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej w Głubczycach Jan GONIEWSKI, składając podziękowanie za mszę św., fundację tablicy pamiątkowej, za udział władzom miejskim, prezesom i członkom oddziałów ŚZZAK spoza Głubczyc, delegatom Związku Sybiraków w Głubczycach, prezesom oddziałów Związku Inwalidów Wojennych w Głubczycach i Kietru oraz prezesom Związku Kombatantów RP i Osób Represjonowanych w Głubczycach i Kietru, dyrektorom szkół średnich i podstawowych, prezesowi oddziału Związku Nauczycielstwa Polskiego w Głubczycach, oficerom Wojska Polskiego, kompanii honorowej, kapelmistrzowi i orkiestrze wojskowej, harcerzom i

młodzieży szkolnej oraz tym, którzy wsparli finansowo uroczystość, i wszystkim organizatorom i uczestnikom tej wspaniałej uroczystości.

Odrębne podziękowanie otrzymały rodziny pomordowanych na Wschodzie i mieszkańcy Ziemi Głubczyckiej, biorący udział w tej uroczystości.

Specjalne podziękowanie za uświetnienie uroczystości otrzymały poczty sztandarowe: Jednostki Wojskowej 22 Brygady Górskiej w Nysie; Okręgu Dolnośląskiego ŚZZAK we Wrocławiu; Oddziałów ŚZZAK z: Bielska Białej, Kazimierza Górniczego, Kluczborka, Olkusza, Nysy; Związku Inwalidów Wojennych RP Oddziału w Głubczycach; Związku Kombatanów w Głubczycach i Kietrzu; Związku Harcerstwa Polskiego w Głubczycach; Zespołu Szkół Ogólnokształcących w Głubczycach; Zespołu Szkół Rolniczych w Głubczycach; Szkoły Podstawowej nr 2 w Głubczycach; Państwowej Szkoły Muzycznej im. Ignacego Paderewskiego w Głubczycach.

Imienne podziękowania otrzymały takie osoby jak: ks. proboszcz Edward BOGACZEWICZ; ks. dziekan Michał ŚLĘCZEK; burmistrz miasta Głubczyc mgr Dariusz KAŚKÓW; inż. Jan WEC; burmistrz miasta Olkusza Janusz DATKIEWICZ; prezes Okręgu Śląskiego ŚZZAK w Katowicach prof. dr Zbigniew GREGOROWICZ; prezes Środowiska Obszaru III — Lwów Okręgu Dolnośląskiego ŚZZAK we Wrocławiu lek. Ryszard MERKEL; dr Aleksander KORMAN z Wrocławia; prezes ŚZZAK Oddziału w Nysie Jan DOMINIEWSKI; komendant Komendy Rejonowej Policji w Głubczycach Jan ŻUKOWSKI oraz Straży Miejskiej; prezes Oddziału Związku Sybiraków w Głubczycach Kazimiera SAWICKA; autor tekstu na tablicy pamiątkowej prof. dr Jerzy WĘGIERSKI z Katowic; wykonawca tablicy Kazimierz POD-



Przed Pomnikiem Żołnierzy Poległych w II wojnie światowej w Głubczycach przemawia burmistrz p. mgr Dariusz Kaśków.

STAWKA z Baborowa; dowódca Jednostki Wojskowej 22 Brygady Górskiej w Nysie płk MOTOWIDELKO; komendant Wku w Głubczycach płk Antoni FALKOWSKI; komendant ZHP Ryszard KONTOCH.

Wyrazy podziękowania Jan GONIEWSKI zakończył m.in. hołdem pamięci kresowych Polaków zamordowanych w ostatniej wojnie przez ukraińskich szowinistów.

Inf. wł.

Brodzianie znowu razem

Zbigniew Grata

W dniach 30–31 maja 1995 r. odbył się w Wiśle kolejny, trzeci już zjazd Brodźniaków, w którym to gronie znalazłem się i ja, jako że jestem również „jednym z Nich”.

Dużo by można pisać na temat gehenny „Brodźniaków”, którzy z miasta powiatowego położonego na wschodniej rubież ówczesnego województwa Tamopolskiego, rozsypali się niemalże po całym świecie.

Próbę ponownej, przynajmniej częściowej integracji, niegdyś społeczności jednego miasta na kresach, podjęła się dr. med. Stanisława Valis-Schyleny mieszkająca obecnie w Wiśle.

30 maja nastąpiło oficjalne otwarcie Zjazdu i przedstawienie osiągnięć zrealizowanych w ubiegłym roku, oraz prezentacja wszystkich tych, którzy po raz pierwszy dotarli na Zjazd, a między nimi byłem i ja. Reprezentowałem siebie, byłego mieszkańca Starych Brodów, oraz Zarząd Główny Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich.

Z osiągnięć przede wszystkim należy wymienić realizację zobowiązań podjętych na poprzednim Zjeździe:

Została wykonana replika cudownego wizerunku MB Częstochowskiej z kościoła parafialnego w Brodach.

Kościół, którego budowę rozpoczęto w 1584 r. ufundował Stanisław Żółkiewski, a istniejąca do dziś świątynia powstała z fundacji Koniecpolskich. Mimo pożaru w 1859 r. zachowała się pierwotna forma — jednonawowa, w stylu renesansowym; konsekrowano ją w 1696 r. pw. Podwyższenia Krzyża Świętego. Po obu stronach nawy znajdowały się kaplice boczne. W lewej kaplicy znajdował się obraz MB Częstochowskiej i Jej poświęcona była kaplica. Obraz, będący wolną kopią jasnogórskiego wizerunku, wykonany był przez hrabinę Ludwikę Abramowicz i подарowany

został kościołowi w 1900 r. (w Starych Brodach do dziś zachował się pałac tej rodziny).

Drugim zrealizowanym zadaniem było wykonanie i umiejscowienie tablicy pamiątkowej na miejscu pochówku Feliksa Westa, również byłego mieszkańca Brodów.

Feliks West (1846–1946), księgarz, wydawca, prowadził w latach 1882–1939 firmę księgarsko-drukarską w Brodach; wydawał głównie dzieła literackie oraz serie, m.in. „Arcydzieła Pisarzy Polskich i Obcych”. Sprawę referował realizator zadania, Wacław Fastnacht.

Oto Jego wystąpienie:

„Kto z Brodźniaków nie pamięta Feliksa Westa?

Ten o niewielkiej postaci staruszek (bo tylko takiego pamiętają) był wielkim Polakiem i tam w Brodach udowodnił swoje ogromne zasługi dla naszej historii i kultury. Przez kilka dziesiątków lat prowadził w Brodach bogatą, wszechstronną księgarnię. Tam można było dostać nie tylko wszystkie niemal wydawnictwa polskie, ale także i te cenniejsze z Europy. Jego księgarnia była dla małych wówczas uczniów jakby świątynią książki. Także przez kilkadziesiąt lat prowadził F. West w Brodach żywną, prężną oficynę wydawniczą. On pierwszy wydał tam wszystkie dzieła naszych trzech Wieszców. Wiedział i uczył innych co znaczy w życiu człowieka, pokoleń, narodu, słowo i myśl zawarta w książkach.

Okres długiej działalności i zasług F. Westa trwał do 1939 r. aż przyszła okrutna zawierucha wojenna. W roku 1944 w marcu Niemcy wysiedlili z miasta wszystkich mieszkańców. F. West po krótkim pobycie we Lwowie dotarł do Nowego Sącza. Tu przez niemal dwa lata — tracąc powoli wzrok — żył F. West w ubóstwie

i trudnych warunkach, dochodząc o krok do wieku 100 lat życia. Zmarł tam 18.I.1946 roku. Został pochowany w grobie ziemnym, a ponieważ nikt go potem nie opłacał, po upływie 20 lat miejsce to zostało przekazane innej rodzinie.

I tak ślad po wielkim Feliksie Weście zniknął. Ostatnio Koło Brodzian, chcąc przynajmniej w ten sposób uczcić Jego pamięć — uzyskało zgodę obecnych dysponentów tego miejsca i umieściło tablicę na znajdującym się tam dzisiaj nagrobku. Treść napisu na tablicy brzmi:

„W tym miejscu spoczywa

FELIKS WEST

1846–1946

orędownik polskości na Kresach Wschodnich
zasłużony wydawca i księgarz w Brodach”

Ksiądz Julian Musiał, przedstawił sytuację „na dzisiaj” związaną z budową kościoła, a raczej skromnej kaplicy w sytuacji, gdy werdykt sądowy nakazuje zwrot kościoła wspólnocie a władze miejscowe nie honorują werdyktu. Prosił o pomoc w tym względzie. Również prosił o pomoc w postaci żywności. Na koniec zaprosił Brodzian, by odwiedzili „stare kąty”, bo świadomość ludzi — Polaków mieszkających w Brodach, że ktoś o nich myśli, jest już wielką podporą psychiczną.

Na zakończenie dnia uczestnicy w czasie mszy św. odśpiewali hymn Męskiej Sodalitacji Marińskiej „Błękitne rozwiniemy sztandary”, „O Panie, który jesteś w niebie” i jak niegdyś:

„Matko Najświętsza, z kościoła brodzkiego
Uproś nam łaski Syna Swojego
Bądź zawsze z nami, w każdej potrzebie,
Madonno nasza błagamy Ciebie!”

Pamiętaj o tych, którzy czczą Cię w Brodach,
I tych rozsianych hen po świata grodach,
Daj nam Brodzianom spotkać się w niebie,
Madonno nasza błagamy Ciebie!”
Drugi dzień zjazdu wypełniło spotkanie towarzyskie.
Nie sposób oddać wiernie atmosfery pełnej wzruszeń i radości

ludzi trzeciego wieku, którzy spotkali się ze sobą nieraz dopiero pierwszy raz od lat dziecięcych i młodzieńczych. Atmosferę spotkania o niecodziennym znaczeniu w życiu każdego z nas należy zawdzięczać przede wszystkim niebywałemu urokowi organizatorki spotkania, Pani dr Stanisławie Valis-Schyleny.

Dlatego też, nazajutrz, w dniu, w którym „Nasza Stasięka” obchodziła 80. rocznicę urodzin, podczas śniadania były wspaniałe kwiaty i moc serdecznych życzeń zdrowia, oraz dożycia przynajmniej 2001 roku.

Na końcu wszyscy odśpiewali piosenkę ułożoną „na kolanie” przez Tadzia Skupienia, który na spotkanie przyjechał z Anglii:

Jak długo tutaj w Wiśle
Stoi Stasięki dom,
Tak długo my Brodzianie
Przyjeżdżać będziemy doń.
Stać będzie kraj nasz cały,
Stać będzie Stasi dom,
Nie zginą też Brodzianie
Boć to polskości trzon.

Razem z Panią Stanisławą aktywnie pracują: pani Maria Rottermund, Zofia Danuta Bazielić, pani Wiesława Dzikiewicz-Golis, pan Leszek Zassowski, pan Wacław Fastnacht.

Kochani Brodzianie! Gdziekolwiek jesteście, odezwcijcie się pod adres: **dr Stanisława Valis-Schyleny, Al. ks. bp. Juliusza Bursche 21, 40-032 Katowice.**

Sponsorzy mile widziani, bo każdy nawet najskromniejszy dowolny datek pomoże w realizacji trudnych zamierzeń, m.in. pomocy materialnej pozostającym w Brodach Polakom, jak również w zorganizowaniu kolonii letniej dla dzieci polskich z Brodów.

Ewentualne datki można składać na konto: **Zofia Danuta Bazielić PKO BP I/O Katowice 27515-13-173-40006.**

Za rok spodziewamy się więcej uczestników 4. już Zjazdu Brodzian.

Listy do Redakcji

Szanowni Państwo!

Przy Instytucie Geologii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu powstaje muzeum kamienia — lapidarium. Jednym z najciekawszych eksponatów jest kula wykonana ok. r. 1930 ze sjenitu wołyńskiego (prawdopodobnie kamieniołom „Żdół”) kula posiada średnicę 86 cm i wagę ok. 900 kg.

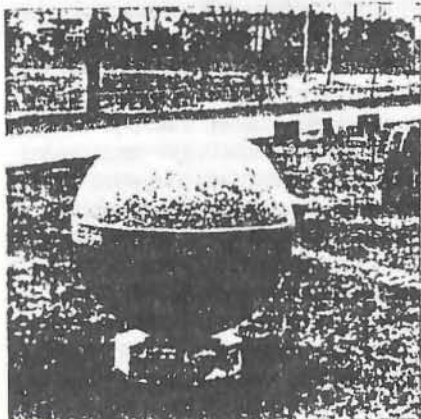
Z zamieszczonego na niej napisu wynika, że wykonał ją w Klesowie (powiat Sarny) M. Gawiak — najprawdopodobniej pracujący tam mistrz kamieniarski.

Wg niepotwierdzonych informacji była ona jedną z czterech, zdołanych cokoł pomnika Józefa Piłsudskiego na poznańskiej Cytadeli.

Po zawierusze wojennej zachowała się tylko ta jedna. Chciałbym zebrać jakieś dane biograficzne (pełne imię, rok urodzenia, śmierci, adres itp.) o wykonawcy kuli M. Gawiaku, by je wpisać na tabliczkę informacyjną.

Korespondencję proszę kierować pod adres redakcji lub:

Henryk Walendowski
61-477 Poznań
ul. Św. Trójcy 5
tel. (0-61 32 32 12



W związku z opublikowanym na łamach „Semper Fidelis”, nr 1/18/1994, artykułem dra Aleksandra Kormana pt. „O KSIĘDZU ADAMIE GROMADOWSKIM”, wpłynął list od Danuty Oborskiej-Shygera z USA — siostry Krystyny Oborskiej, o której tragicznym losie autor podał niektóre szczegóły, w związku z aresztowaniem jej w roku 1940 przez „NKWD”.

W liście tym czytamy:

„(...) Krystyna została aresztowana w marcu 1940 r. i drugi raz 7 stycznia 1941 roku. Rozprawa odbyła się w marcu w Tampolu z członkami organizacji ks. Gromadowskim, Kazimierzem Kosiarskim, a także Matką naszą Adelą Oborską, którą wyratował adwokat z Rosji, zamówiony przez Dr Shygera i Dr Homy z Podwołoczysk, którzy opłacili wielką sumę...”

Przez te długie lata stale szukaliśmy Krystyny, a opis z Jej fotografią... był wysyłany nie tylko do Rosji, ale też do bliskich europejskich krajów.

Ja nigdy nie wiedziałam, co się z Nią stało, aż z Krakowa... dostałam historyczny opis Dr Alexandra Kormana. Od tego czasu powróciły moje wielkie przeżycia i staram się pamiętać o Krystynie nigdy nie zgubić...

Jeszcze raz z wielkim szacunkiem i pochwałą dziękuję Doktorowi za wielki opis o ks. Gromadowskim i kolporterach z konspiracji Lwowa”.



W Świdwinie w dniu 1 lipca br. nadana została nowa nazwa ulicy w centrum miasta: Orłki Lwowskich. Odświeżenia tablicy dokonała p. Waleria Marko i p. Adam Malinka, o czym zawiadomił nas prezes TML i PKW p. Mieczysław Tostur.

Serdecznie proszę o informację, czy i kto posiada relację z działalności ś.p. kpt. Kazimierza Bilejczuka w WiN na terenie pow. głubczyckiego. Do tej organizacji należałem już od października 1945 roku i wówczas dowódcą był por. cz.w. Prus Szusler, Grom, Dolina, Bug. Dowódca — komendant obwodu AK Złoczów w latach 1942/43 opuścił Głubczyce, przenosząc się do Nysy i tam mieszkał do śmierci w 1970 roku. Posiadam kserokopię jego relacji, do której wniosłem uwagi, przekazując Profesorowi J. Węgierskiemu. Dla porządku informuję, że pochodzę z Huty Pieniackiej, której tragiczne wydarzenia 28.II.1944 roku są opisane w „Nieukarane zbrodnie” autorstwa dr. A. Kormaniana i nr 2/12/1995 „Na rubieży”.

Z góry dziękuję za pozytywne ustosunkowanie się do próśb i łączę piękne kresowe pozdrowienia, przekazuję najlepsze, z głębi serca płynące życzenia zdrowia i wytrwałości w dalszej społecznej i patriotycznej działalności.

Mieczysław Mendelski, Głubczyce

Polskie dzieci z Ukrainy na obozie harcerskim w Sobótce k. Wrocławia

W pierwszych tygodniach sierpnia br. w harcerskim ośrodku w Sobótce przebywało 10 dziewczynek i 7 chłopców w wieku od 9 do 14 lat z polskich, katolickich rodzin, mieszkających na Ukrainie. Były to dzieci z Kijowa, z Białej Cerkwi, z Popielni oraz najwięcej z Fastowa. Opiekunkami były panie z Kijowa: Julia Sikorska i Zofia Nagórna. Oprócz zajęć rekreacyjnych w Sobótce dzieci zwiedziły Wrocław, Poznań, Książ oraz okolice Sobótki. Dzieci mieszkają od 85 do 160 km od Czarnobyla. Proboszczem w Fastowie jest ks. Zygmunt Kozar w kościele rzym.-kat. p.w. Podwyższenia Świętego Krzyża. Organizatorami była Sekcja Współpracy z Polakami na Wschodzie, prowadzona przez członka ZG TML i KPW oraz przez I Hufiec ZHP — Wrocław Stare Miasto. Stronę finansową we Wrocławiu zabezpieczyło Kuratorium Oświaty, Klub Inteligencji Katolickiej, OO Dominikanie i Arcybiskupi Komitet Charytatywny. Oprócz tego do akcji włączył się finansowo ks. proboszcz i ks. wikary z Sobótki oraz parafianie.

Halina M.

W związku z artykułem w Semper Fidelis nr 1/24/1995, „Moje chodzenie po Lwowie” autorstwa Pana Emila Hliba str. 32 mam wątpliwości odnośnie osoby Kazimierza hr. Badeniego namiestnika Galicji, czy był właścicielem Gródka Jagiellońskiego.

Znane mi źródła mówią, że Kazimierz hr. Badeni namiestnik Galicji i austriacki premier ministrów był dziedzicem Buska.

Na dowód powyższego podaję parę cytatów z książki pt. „Rządy polskie w Austrii, Gabinet Kazimierza hr. Badeniego 1895—1897” Waldemar Łazuga, Poznań 1991. „...O co więc chodziło? O zapis majątkowy Anny Wiererów wdowy po Henryku hr. Mierze, którego Kazimierz i Stanisław Badenowie byli siostrzeńcami o dwa dobrze prosperujące klucze; Busk, który objął Kazimierz i Radziechów który przypadł w udziale Stanisławowi” (str. 42). „...W Galicji dzień 2 października był wielkim świętem. Wyniesienie dziedzica z Buska to nie tylko bowiem osobisty, życiowy sukces człowieka, ale tryumf polityki konserwatywnej i zasad, wielkie i zasłużone zwycięstwo całego zachowawczego obozu. Na czele oczywiście z Badenim” (str. 60). „List od Badeniego, zapraszający na naradę do Buska zastaje go właśnie w drodze powrotnej. Zaskoczony chyba nie jest, bo z ewentualnością taką liczył się od pewnego już czasu. W wagonie sądzi jednak, że chodzi o resort kolei żelaznych, który on Biliński dopiero utworzy. W Busku dowiedział się, że chodzi o ministerstwo skarbu” (str. 55). „Z czasem jego pałac w Busku stał się miejscem spotkań starej konserwatywnej gwardii” (str. 206).

W związku z powyższym prosiłbym autora o podanie mi źródła z którego wynikałoby, że Kazimierz hr. Badeni był właścicielem Gródka Jagiellońskiego, bądź o sprostowanie tej informacji.

Łączę serdeczne pozdrowienia dla redakcji Semper Fidelis i autora artykułu Pana Emila Hliba. Były mieszkaniec Buska

Adolf Zabuski, ul. Lwowska 19 m 3, 53—515 Wrocław

Harcerstwo we Lwowie

Od ponad pięciu lat w obwodzie lwowskim działa polskie harcerstwo. ZHR — Referat „Wschód” w osobie hm. W. Turzańskiego dopomógł w organizowaniu życia harcerskiego na Ukrainie.

Przez pierwsze dwa lata harcerki i harcerze z dwóch lwowskich szkół, nr 10 i nr 24, oraz z Mościsk wyjeżdżali na obozy harcerskie do Polski.

W 1993 r. I Lwowska Męska Drużyna Harcerzy „TROP” (LMDH) im. A. Małkowskiego zorganizowała w okolicach Skolego swój pierwszy samodzielny obóz harcerski. W bieżącym roku I LMDH „TROP” zorganizowała i poprowadziła obóz „Leśniczówka” zgrupowania Lwowskiego Związku Drużyn Harcerskich „BARC”. Obóz odbył się w terminie od 4 do 22 lipca 1995 roku w okolicach Starego Sambora, koło wioski Szumina. Uczestniczyło w nim 71 osób z I LMDH „TROP”, III Lwowskiej Drużyny Harcerzy „Kresowa Łąka” im. Jurka Bitschana oraz I DH z Mościsk.

Obóz był prowadzony systemem puszczańskim, tzn. dzieci same musiały postawić namioty, zbudować wszystkie urządzenia obozowe oraz same, pod opieką instruktorów, prowadziły kuchnię. Oprócz rutynowych szkoleń harcerze uczestniczyli w grach, zdobywali sprawności oraz stopnie harcerskie, a na koniec obozu trójka chłopców z LMDH została dopuszczona do złożenia przyrzeczenia harcerskiego.

Harcerze uczestniczyli we mszy świętej w miejscowości Stara Sól, gdzie przy okazji zwiedzili ruiny pięknego kościoła pod wezwaniem Michała Archanioła. Dzieci były także na wycieczce w Laszkach Murowanych, skąd Maria Mniszkówna, poślubiwszy Dymitra Samozwańca, wyruszyła w orszaku ślubnym do Krakowa.





Harcerze pomagali leśnikowi przy porządkowaniu lasu oraz przy sianokosach, odwiedzając się za pobyt w pięknym jodłowo-limbowym lesie Samborszczyzny. Pod koniec obozu harcerze gościli szefa Referatu „Wschód” ZHR hm. Wiesława Tużańskiego.

Komenda obozu „Leśniczówka” LZDH „BARC” szczególnie dziękuje „WSPÓLNOCIE POLSKIEJ” za finansowe wsparcie, a tym samym – umożliwienie zorganizowania tego obozu.



Na zaproszenie ZHR w sierpniu przyjechało ze Lwowa do Polski kilka harcerek. Dziewczynki były na obozie harcerskim „LEŚNI LUDZIE” w miejscowości Chartów nad jeziorem Radochowskim w woj. gorzowskim pod opieką drużyny z Krakowa. W czasie krótkiego pobytu we Wrocławiu zwiedziły zabytki i Panoramę Raclawicką. Pobyt we Wrocławiu umożliwiły i umiliły panie z Domu „Pogodnej Jesieni”. Serdecznie im za to dziękuję. Wtedy to poznały osobiście dh. E. Radomską, z którą wcześniej korespondowały.

Harcerki z zastępu „Niezapominajki” miały możliwość porównania, jak prowadzony jest obóz harcerski w Polsce i u siebie.

Harcerze ze Lwowa proszą nadal o kontakt z ZHR z Wrocławia.

Inf. własna

SZKOŁA im. św. MARII MAGDALENY WE LWOWIE

Znana lwowska szkoła im. św. Marii Magdaleny — dawniej powszechna, dziś 10-latka, jako Szkoła nr 10, z polskim językiem nauczania — obchodzi w przyszłym roku swoje 180-lecie. Została założona w roku 1816 przy kościele pod tym samym wezwaniem, w latach 1840-tych rozdzieliła się na dwie równoległe: męską i żeńską (i taki stan pamięta pokolenie przedwojennych uczennic i uczniów). Od czasu II wojny stanowi znów jedną całość, która mieści się w dawnej szkole męskiej („białej”, zbudowanej w latach międzywojennych, w odróżnieniu od „czerwonej”, wzniesionej w drugiej połowie XIX wieku).

Z okazji pięknej „okrągłej” rocznicy Dyrekcja zamierza zorganizowanie uroczystego jubileuszu, połączonego ze zjazdem we Lwowie b. uczennic i uczniów. Święto szkoły odbędzie się w październiku 1996 roku. Dyrekcja zaprasza serdecznie wszystkich, którym bliska jest pamięć tej szkoły, a rozproszonych dziś po całym świecie. Zgłoszenia do uczestnictwa należy kierować do dnia 30 czerwca 1996 roku na adres: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, 31-111 Kraków, ul.

Piłsudskiego 27, „Sokół”, lub na adres Szkoły nr 10, 290013 Lwów, ul. Puzkina 1, Ukraina. Komitetowi organizacyjnemu zjazdu przewodniczy Pani Dyrektor Marta Markunina.

Organizatorzy zapewniają przygotowanie bazy noclegowej. Przewiduje się m.in. zwiedzanie miasta, jego zabytków, cmentarzy, parków i okolic.

Uprasza się ponadto tych wszystkich, którzy nie odpowiedzieli dotąd na apel, zamieszczony w „Przekroju” nr 2308 z 1989 r., o nadesłanie w terminie do końca grudnia br. wspomnień o szkole i nauczycielach, o losach swoich oraz koleżanek i kolegów. Przewiduje się wydawnictwo jubileuszowe.

Do zobaczenia na zjeździe!

Z upoważnienia Dyrekcji Szkoły Średniej nr 10 we Lwowie

Zarząd Oddziału Krakowskiego
Towarzystwa Miłośników Lwowa
i Kresów Półd-Wschodnich.
Andrzej Chlipalski
Jerzy Żuk

APEL

W wyniku usilnych starań Bytomskiego Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich i życzliwego stanowiska Dyrekcji Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu, powstanie w tym Muzeum stała ekspozycja dotycząca Lwowa i Kresów Południowo-Wsch. Urządzenie tej ekspozycji i jej poziom uwarunkowane są zgromadzeniem odpowiedniej ilości eksponatów.

Apelujemy gorąco do wszystkich, którym droga jest wspólna przeszłość i historia Lwowa i Kresów Poł.-Wsch. — nie dopuśćmy, aby poszła ona w zapomnienie — a obserwujemy ze smutkiem, jak znikoma jest znajomość tych spraw w dzisiejszym polskim społeczeństwie. Przeciwdziałaniu takiemu stanowi rzecz mała służyć wymieniona ekspozycja. Dlatego też prosimy — ofiarujcie na ten cel będące w Waszym posiadaniu pamiątki. Mogą to

być fotografie, grafiki, obrazy i rysunki, zarówno zabytków architektury, jak i fragmentów krajobrazu lub stanowiące pamiątki narodowe. Cenne będą dokumenty (oryginały lub ich foto i kserokopie) dotyczące różnych faktów historycznych oraz ilustrujące wszelkie formy życia i działalności.

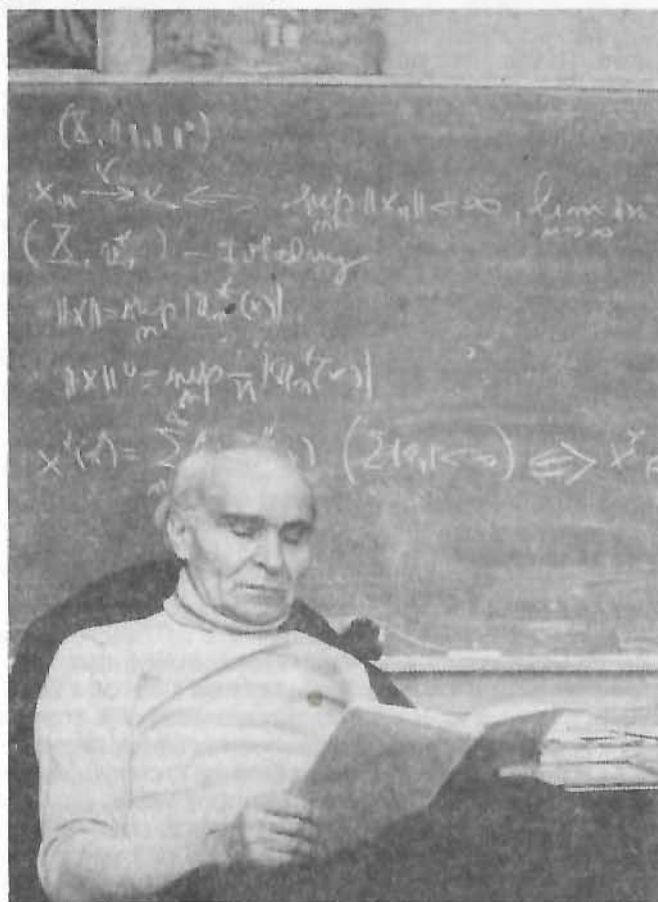
Ofiarodawcy proszeni są o kontakt z dyrekcją Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu.

Od redakcji

Przypominamy, że we Wrocławiu w Muzeum Historycznym — Arsenal — od kilku lat zbierane są również przez Dział Kultury Kresów Wschodnich wszelkie materiały związane z tą dziedziną, które były już eksponowane przy różnych okazjach.

Profesor dr Andrzej Alexiewicz

Andrzej Alexiewicz urodził się 11 lutego 1917 r. we Lwowie w rodzinie znanych lwowskich lekarzy Andrzeja i Zofii Link-Alexiewiczowej. Jego ojciec przez wiele lat był internistą w Szpitalu Powszechnym we Lwowie, był także honorowym konsulem Czechosłowacji we Lwowie. Matka była lekarzem – pediatrą, pracowała również w Szpitalu Powszechnym, a później w Kasie Chorych m. Lwowa. Pełniła funkcję prezesa Okręgowej Izby Lekarskiej we Lwowie. Aresztowana przez NKGB w nocy 2/3 stycznia 1945 r. i wywieziona z transportem więźniów na wschód, zmarła w niehumanitarnych warunkach 1 czerwca 1945 r. w łagrze górniczym nr 310 w Krasnym Domie.



Andrzej Alexiewicz uczęszczał do klasycznego gimnazjum nr 6 im. Stanisława Staszica na Łyczakowie, w roku 1935 po zdaniu matury został studentem Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego UJK we Lwowie, gdzie przez pierwszy rok studiował fizykę, a następnie matematykę. Jego nauczycielami uniwersyteckimi byli wybitni profesorowie, jak Hermann Auerbach, Stefan Banach, Leon Świątek, Stefan Kaczmarz, Stanisław Loria, Władysław Orlicz, Wojciech Rubinowicz, Stanisław Mazur, Juliusz Paweł Schauder, Hugo Dionizy Steinhaus oraz Eustachy Żyliński. W styczniu 1940 r. ukończył studia pisząc pod kierunkiem prof. Żylińskiego pracę magisterską „Ogólna teoria ciągłych działań algebraicznych”. Już od stycznia 1939 r. pracował jako zastępca asystenta przy Katedrze Matematyki UJK prof. Stefana Banacha. Studia aspiranckie w Katedrze Matematyki przerwało wkroczenie do Lwowa wojsk hitlerowskich. W czasie kolejnej okupacji Andrzej Alexiewicz pracował jako karmiciel wszy i laborant w Instytucie Tyfusowym prof. Rudolfa Weigla. Równocześnie brał udział w tajnym nauczaniu, kontynuując jednocześnie pracę naukową na

utajnionym Wydziale Matematyki we Lwowie, pisząc swoją dysertację doktorską „O ciągach operacji” pod kierunkiem prof. Władysława Orlicza. W maju 1944 r. przed zespołem profesorów: Augustem Zierhofferem jako dziekanem, Władysławem Orliczem i Władysławem Nikliborcem złożył egzamin doktorski z zakresu matematyki i fizyki teoretycznej.

W czasie okupacji, w celu ratowania życia, zajmował się intensywnie produkcją fikcyjnych dokumentów. 2 maja 1940 r. w kościele pw. św. Antoniego na Łyczakowie wziął ślub z panną Julią Klonowską. Z małżeństwa tego było pięcioro dzieci.

W kwietniu 1945 r. wraz z rodziną Andrzej Alexiewicz jako tzw. „repatriant” przeniósł się w ślad za prof. Władysławem Orliczem do Poznania, gdzie przez 50 lat kontynuował tradycje słynnej lwowskiej szkoły matematycznej – analizy funkcjonalnej, stworzonej przez Stefana Banacha i Stanisława Mazura. W lipcu 1945 r., po przeprowadzeniu postępowania weryfikacyjnego, Rada Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego Uniwersytetu Poznańskiego im. Adama Mickiewicza (UAM) nadała Mu stopień doktora w zakresie matematyki. W roku 1948 habilitował się na tym samym wydziale i w roku 1954 został profesorem nadzwyczajnym, a w roku 1962 – profesorem zwyczajnym. Pełnił funkcję prodziekana, dziekana, a w roku 1956 prorektora ds. nauki UAM. Był organizatorem zaocznych studiów matematyki w Poznaniu, Szczecinie i Zielonej Górze. Od czasu przejścia w roku 1987 na emeryturę pracował na części etatu Wydziału Matematyki i Informatyki UAM.

W latach 1959–60 przebywał na Uniwersytecie New York University of Washington w Seattle. Brał czynny udział w licznych zjazdach krajowych i zagranicznych. Wychował kadrę naukową, z której największe sukcesy odnieśli profesorowie: Zbigniew Semadeni, Michał Kisielewicz, Jerzy Kąkol, i Andrzej Sołtysiak. Był promotorem 20 prac doktorskich i wielkiej liczby prac magisterskich. Wykładał wiele przedmiotów: analizę matematyczną, teorię funkcji analitycznych, rachunek wariacyjny, równania różniczkowe, matematyczne metody fizyki, teorię całki Lebesgue’a, topologię, geometrię różniczkową oraz termodynamikę i mechanikę teoretyczną.

W 1970 r. wydał obszerną „Analizę funkcjonalną”, będącą pierwszą monografią napisaną przez polskiego matematyka. Wydał wiele publikacji z analizy funkcjonalnej, właściwości ciągłych operatorów, gdzie główną ideą jest stosowanie metody kategorii Baire’a w przestrzeniach Banacha i Frecheta. Przez 45 lat był recenzentem prac drukowanych w „Zentralblatt für Mathematik” i „Mathematical Rev.”.

Był członkiem i wieloletnim prezesem poznańskiego oddziału Polskiego Towarzystwa Matematycznego oraz członkiem zwyczajnym Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

W wolnych chwilach malował obrazy i słuchał muzyki, przeważnie Jana Sebastiana Bacha. Uwielbiał również turystykę górską. Dobrze znał Karpaty Wschodnie i Tatry, również morze. Szczyty gór i kolory morza postrzegał zawsze w sposób szczególny, oddając swoistymi barwami malowane krajobrazy. Pozostało po nim wiele prac, wiele również abstrakcyjnych płócien. W muzyce znajdował treści matematyczne. Nieobca mu była twórczość Strawińskiego, Bartoka, Prokofiewa czy też nawet współczesnych twórców muzyki.

Prof. Andrzej Alexiewicz był współzałożycielem i pierwszym prezesem poznańskiego oddziału TML i KPW. Brał czynny udział w organizowaniu pomocy dla Rodaków pozostałych za linią jałtańską. W życiu prywatnym i naukowym zawsze nawiązywał do swych kresowych korzeni i do ukochanego Lwowa.

Zmarł 11 lipca 1995 r. w Poznaniu.

Motto:
*Pacatycha
 Znów przy rozstaju
 Na drzewie zwalonym
 przed samą drogą siedzę i czekam
 I nie wiem
 Na co? I nie wiem na kogo?*

Jerzy Michotek

Wiesława Wysocka-Michotkowa

Wróciłam z pogrzebu Jerzego. Nie przypuszczałam, że zjedzie taka rzesza krewnych — bo Lwowiak Lwowiakowi krewnym.

Tak mnie uczył Jerzy i jeśli nawet czasami ktoś go zawodził, to ostateczny wynik był jak trza. Wydaje mi się, że czytelnicy — Lwowiacy znają go lepiej ode mnie. Niesforny, nie dał się okiełznać, a tego przecież chce każda kobieta — żona.

Był wielowarstwowy, tryskający życiem, uczynny bez granic. Pamiętam jak zorganizowałam wraz z Energopolem (wtedy był jeszcze dyrektorem p. Bobrański) pierwszy transport z paczkami świątecznymi dla krewnych czyli Lwowiaków. Na noc musiałam się wynieść do Mamy, a kiedy rano przyszedłam na Saską Kępę, gdzie mieszkamy, myślałam, że przeżyłam oblężenie Warszawy przez Lwowiaków. Mieszkanie i klatka schodowa pełna krewnych czyli Lwowiaków a pokoje, piwnica i wozy ciężarowe przed domem załadowane po sufit paczkami świątecznymi właśnie dla nich.

Podobnych wydarzeń w moim życiu z Jerzym było dużo. Pani Danuta Nespiak prosiła abym napisała coś w rodzaju życiorysu... Życie miał Jerzy nietypowe. Jako Lwowiak żył i uczył się we Lwowie, choć urodził się w Częstochowie. Rynek we Lwowie — tam Jego korzenie. Kiedy skończył 18 lat, a więc zaraz po maturze wywieźli Go ci, którzy wciąż wołają *bol-sze, bol-sze!* — więcej! więcej!) do Workuty. Nietypowo, bo jako szpiega litewskiego (Gdzie Rzym, gdzie Krym a gdzie kręcone słupy?). Tam udało mu się przeżyć pięć lat. Losów nie będę opisywać, bo prawie każda książka o Sybirze to rys życia Jerzego i wielu, wielu kresowiaków. Tylko kilka tytułów: Beata Obertyńska — W domu niewoli, Józef Czapski — Na nieludzkiej ziemi, Herling-Grudziński — Inny świat.

Potem ciężkie lata powojenne i studia polonistyczne we Wrocławiu, który był Mekką Lwowiaków. Wiem, że tam działał również dla utrzymania tego, co lwowskie. O tym jednak mogliby powiedzieć ludzie, którzy wtedy z Jerzym tam byli. Nie wiem dlaczego przeniósł się do Warszawy, może za dziewczyną? Pracował najpierw w Domu Wojska Polskiego (śpiewał), potem jako autor tekstów i muzyki a także jako wykonawca w Teatrze Satyryków, potem w Syrenie. Tam właśnie Go poznałam. Wtedy jeszcze chodził o kulach (kontuzja wojenna). Kiedy zostałam Jego żoną miał jeszcze kulę i muszę się przyznać, że dziś już nie pamiętam jak to się stało, że ją odrzucił. Zaczął chodzić bez kul, czasami z lekką opierając się na mnie. Potem były lata wyjazdów z grupami estradowymi do Rosji, Czechosłowacji, Bułgarii, Węgier, do Anglii, Francji, Ameryki i



Kanady (1995). Pamiętam naszą podróż poślubną. Właśnie do Lwowa. Był rok 1957 i była to pierwsza polska grupa estradowa, która wyjechała do ZSRR. Trasa wiodła przez Lwów. Zrobił wtedy wraz z Jurkiem Abratowskim też ze Lwowa (kierownik zespołu muzycznego), mnóstwo zdjęć, które obejrzało mnóstwo Lwowiaków. Miłość do Miasta okazała się silniejsza od przyjaźni, bo zdjęcia wsiąkły. Dalsze dzieje to praca z-cy głównego reżysera rozrywki w TVP, no i wreszcie — Solidarność wybuchła w 1980

i była przełomem w życiu każdego Polaka. A Jerzy? Napisał „Dziesięciu Batiarów” (chyba już po wypadkach w Radomiu 1976) w 1980 „Wojenkę”, a dalej to już poszło jak lawina. Napisane 1982 r. w listopadzie dla uczczenia Orłąt Lwowskich „Wierne Madonny” po raz pierwszy zaśpiewała Kasia Zachwatowicz w kościele Św. Krzyża w Warszawie (trzymała przez Jerzego za ramię). „Wierne Madonny” wraz z innymi pieśniami zawiozłam osobiście na Jasną Górę do Ojca Golonko, o którym dużo i pięknie mówił nam Lwowiak z Gdańska Mieczysław Filipczak. Przyszła era wolności a z nią już jawne spotkania Polaków Kresowiaków. Tutaj już Państwo wiecie, jak Jerzy myślał, co mówił, pisał i śpiewał. Książka „Tylko we Lwowie”, kasety z pieśniami lwowskimi i nie tylko są porozrzucane po całej Polsce. To Jego ślady. Tyle w wielkim skrócie o Jerzym. Resztę to niech sobie każdy sam dośpiewa.

żona Wiesia





RADIO POLONIA, chór "SYMFONIA" z Hamilton
 oraz POLSKIE LINIE LOTNICZE LOT

zapraszają na :

WIECZÓR LWOWSKI

pod hasłem

"ODBUDUJEMY CMENTARZ ORŁA"

atmosferę Lwowa ożywi :

pisarz, poeta
JERZY MICHOTEK
 piosenkarz, aktor

Przygotuj się na ten wieczór młody Polaku, bo Lwówian tam przyjdą tłumy. Musisz przekonać się sam Rodaku co w sercach ich do dziś szumi.

Zainteresowani odbudową CMENTARZA ORŁA we Lwowie mogą składać datki w Credit Union na numer konta 68622

Część dochodu z występu przeznaczona jest na odbudowę CMENTARZA ORŁA we Lwowie

Z ostatniej chwili

Otrzymałam list od p. Barszczewskiego z Katowic. To jest strzał w dziesiątkę. Od śmierci Jerzego myślę o utworzeniu fundacji Iwo-

wskiej Jego imienia, która popierałaby młode talenty związane twórczością muzyczną, poezją czy też plastyką ze Lwowem. Gdybyście Państwo zechcieli wydrukować ten list w całości, byłabym bardzo wdzięczna. Myślę, że Jerzy też, chociaż z innej perspektywy.

Wiesława Wysocka-Michotkowa

Dusze sprawiedliwych są w rękę Boga i nie dosięgnie ich męka. „A zaczęło się wszystko od dyfterytu. Obrzydliwa choroba. Szczególnie dla bezbronnego dziecka. Leżałem — kłębuszek biedy, jedno przerażenie. I tylko jak kostur chromego, jak poręcz niewidomego czy światło w mroku horyzontu — oczy Mamy. Panicznie bałem się, że wąski strumień powietrza zostanie odcięty i wtedy...” To było 70 lat temu. Miałeś wtedy Jurciu niespełna 5 lat. Opisałeś to w swojej książce tak plastycznie. Czy to było naprawdę 70 lat temu, czy w ten ostatni poniedziałek, kiedy w szpitalu na Płockiej — mimo wszelkich wysiłków lekarzy — rozleciał się ostatni płatek płuc, tak, że „wąski strumień powietrza został odcięty — i wtedy...” Była godzina 3 po południu. Godzina śmierci Jezusa na krzyżu. „On jest nad nami i widzi wszystko. Jest dobry, piękny i taki jasny, że nasze oczy nie mają szans zobaczenia Go — głos mamy szeleści jak liście jesienne pod oknem pokoju w domu ZAIKS-u w Konstancinie. Jest samą sprawiedliwością i nie dopuści, by stała się krzywda. By nam się stała krzywda. Uspokajam się nie płacząc. Mężczyzna nie płacze. Nawet gdy ma kilka lat. Czarna czereda przyleciała i obsiadła sękaty, zmęczony jawor za oknem. Zauważyłaś Mamo, że gdy pojawiają się kruki i wrony, cichną i kryją się inne ptaki? — Nie, to nie Mama. To Wiesia głaszcząc Cię Jurciu po dłoni, tuli opadającą głowę — przypomina matczyne słowa o miłosierdziu Bożym. „Zdało się oczom głupich, że pomarli, żeście ich poczytano za nieszczęście i odejście od nas za unicestwienie, a oni trwają w pokoju.” Przed paru dniami jakaś miła pani powiedziała w audycji, że nie odszedłeś, że zostajesz wśród nas, zostajesz: w swoich piosenkach, w tych cudownych balladach — o naszym mieście... o nas!

Było dziesięciu batiarów, takich batiarów, że hej:
dwóch z Łyczakowa, brzdąc z Kleparowa,
czwarty z Kurkowej, piąty z Wałowej,
szósty z Kubali, siódmy z Podwała,
ósmo z Kadeckiej, dziewiąty z Wuleckiej,
a ten dziesiąty — ten już w trzydziestym dziewiątym...

W trzydziestym dziewiątym... Miałeś wtedy 18 lat. Pierwsze 6 na Cetnarówce, w domku na Persenkówce, a potem już w Rynku, gdzie Ojciec Twój miał restaurację — cukierenkę. Ochronka św. Józefa — VIII gimnazjum im. Kazimierza Wielkiego — I drużyna harcerzy — rok 1939 — a potem (jak zwykłeś z humorem opowiadać) wyrok i zsyłka „na białe niedowiedzie”... Powrót o kulach. Film — podwieczorek przy mikrofonie — telewizja — koncerty — spotkania — we Lwowie i dla Lwowa. Dla Lwowiaków i kresowiaków gdziekolwiek oni są. Nie odmawiałeś żadnym zaproszeniom, ale stawiałeś dwa warunki: za darmo — i: musi być młodzież. Tak było aż do tego ostatniego koncertu — w Kanadzie. Spotykaliśmy się tyle razy: na Sadybie u Małgosi, na harcerskich dniach skupienia w Laskach... Przychodziłeś zawsze z gitarą...

Wziął stary batiar gitarę, starą gitarę, że hej —
gdzieś tam przydybał batiańskie orlecia
z Woli, z Sadyby, z Pragi, z Okęcia,
przyszły ostatki z batiańskiej jatki,
on spojrział na nich, oni na niego —
podniósł gitarę: no jak — zaczynamy?
Tamci odparli: brak dziesiątego...
Jeszcze ciut ciut poczekamy.

Bardzo nam będzie brak tego dziesiątego. Bardzo nam będzie brak Ciebie Jurciu! — tak często bywałem u Ciebie w domu na Styki. Zawsze gościnną Wiesia robiła doskonałą kawę, ale nie

zawsze dało się spokojnie pogadać, bo bez przerwy ktoś dzwonił... z całego świata. Odwiedzałem Cię w szpitalu na Płockiej... Nie wiele ponad tydzień temu — byłeś w domu — udzielałem Ci namaszczenia chorych — wstałeś do obiadu. Wtedy (po raz drugi zresztą) zobowiązałeś mnie do czegoś, co wykonuję dzisiaj. Zdawałeś sobie doskonale sprawę ze swej nieuleczalnej choroby. Na spotkanie z Panem byłeś całkowicie przygotowany. Zresztą od lat przecież spotykałeś się z Nim w codziennej Komunii św. Dzisiaj coś się zmieniło — zmieniło na lepsze... „Życie Twoich wiernych o Panie zmienia się, ale nie kończy, i gdy rozpadnie się dom doczesnej pielgrzymki, znajdą przygotowane w niebie wieczne mieszkanie”, bo: „Ci, którzy Mu zaufali, zrozumieją prawdę, wierzą w miłość będą przy Nim trwali, łaska bowiem i miłosierdzie dla Jego wybranych”. Więc: „będziesz przy Panu w krainie żyjących!”

Śliczna Gwiazdo miasta Lwowa — Pani Łaskawa —

Ostrobramska — Śnieżna — niech Cię... zresztą nikt o Niej tak nie śpiewał — jak Ty sam...

(wykonanie z taśmy magnetofonowej Jerzego Michotka:)

Strząśnij łzę, strząśnij z warg,
Łyczakowska Madonno,
Chroń Swój skarb, chroń nasz skarb
Dłonią bezbronną —
Ciepłą, drobną jak u dziecka,
Jak przylipka kulikowska,
Chroń nas Panno Jazłowiecka —
matko Łyczakowska.
Wiary trzeba, Matko Boska,
daj nam ją, daj —
O madonno Łyczakowska
Trwaj, trwaj, trwaj!
Wybacz nam, wybacz zło
O Madonno Łaskawa.
Syńcia tul, uproś Go —
Za nas się wstawiaj.
Szeregami lwowskie dzieci
Na kolana upadają,
Byś w Swej pieczy chciała mieć je
Proszą Cię, błagają!
Siły trzeba, Matko Boska,
Daj nam ją, daj —
O Łaskawa Matko Polska
Trwaj, trwaj, trwaj!
mało nas, ciężko nam
Usłysz nas, Matko Śnieżna,
Twoja cześć ciągle trwa
Tobie należna.
W nas wygnaniach i batiarach
Niewzruszona i potężna,
Trwa ta wiara, trwa ta wiara —
Mamo. Mamo Śnieżna!
Cierpliwości, Matko Boska,
Daj nam ją, daj —
Matko nasza, Mamo Lwowska
Trwaj, trwaj, trwaj!...
Amen.

Artur Leinwand (wspomnienie córki)

*„Świat opustoszał z bliska i z daleka,
Choć stracił tylko jednego człowieka.”
/Marian Hemar/*

Te słowa poety-lwowianina można odnieść do mieszkańca Miasta Zawsze Wiernego, którego niedawno pożegnaliśmy w Warszawie. Zawał serca zabrał Go niespodziewanie 25 lipca 1995 roku.

Artur Leinwand, urodzony 26 stycznia 1923 na Zamarstynowie, wychował się w mieście różnych narodowości, religii i kultur. We Lwowie żył w cieniu miejsc przesiąkniętych patosem, a nierzadko tragizmem historii. Zarazem jednak chłonał niepowtarzalny folklor lwowskiej ulicy i humor najweselszego miasta w Polsce. Na



uksztaltowanie Jego osobowości znaczący wpływ miał ojczym, Mieczysław Selzer-Sieleski, legionista i obrońca Lwowa z 1918 roku, który zaszczylił w Nim pasję czytania książek.

Wszystko to zaowocowało po latach. Jako historyk, Artur Leinwand badał przeszłość swego miasta, mówił i pisał o jego dramatycznych dziejach (np. trzy obrony Lwowa czy masowe mordy dokonane przez NKWD na więźniach lwowskich w 1941 roku), opracowywał dokumenty (np. trzytomowa reedycja źródeł do dziejów obrony Lwowa 1918–20).

Promieniował z Niego zawsze — by użyć określenia Kornela Makuszyńskiego — uśmiech Lwowa. Miał charakterystyczną wymowę i akcent łatwo rozpoznawalny przez wtajemniczonych. Znał wiele lwowskich anegdot i powiedzonek. Na powitanie zwykle mówił „caje rączki” i chętnie powtarzał życzenie „Daj ci Boże zdrowie, a Matka Boska pieniędzy”. Tych cytowanych przez Niego przysłów starczyłoby na odległość „jak stąd do Winnik”. Lubił dowcipy i lubił się śmiać. Cechująca Go zawsze pogoda ducha i optymizm pozwoliły przetrwać ciężkie chwile, jakich życie Mu nie szczędziło.

Pobyt na „nie ludzkiej ziemi”: głód, bieda, choroby, pracę w kopalniach Zagłębia Donieckiego i Azji Środkowej przeżył między innymi dzięki temu, że nie załamywał się. Zawsze miał nadzieję, której dawał wyraz powtarzając często jako szczególnie bliskie Mu słowa „sursum corda!” oraz — za Słowackim — „niech żywi nie tracą nadziei”. Z azjatyckiej Rosji Artur Leinwand nie bez trudności wyrwał się do wojska polskiego. Od 1943 służył w 1 Armii Polskiej, z którą przeszedł szlak bojowy do Łaby.

Po wojnie ukończył studia historyczne na Uniwersytecie Warszawskim. W 1961 roku obronił pracę doktorską, a w 1971 — zrobił habilitację. Był historykiem pracującym w wojsku (doszedł do stopnia pułkownika), lecz jak sam nieraz podkreślał, mundur Mu ciążył. Czas pokazał, iż zwolnienie z wojska w 1968 roku okazało się dla Niego wyzwoleniem. W ciągu 40 lat uprawiania historii zajmował się m.in. wojną polsko-sowiecką (temat Jego pracy doktorskiej), ruchem socjalistycznym w Polsce (pisał o Bolesławie Limanowskim, Kazimierzu Pużaku, opublikował książki o Hermanie Liebermanie i Tadeuszu Szturm de Sztremie), procesem moskiewskim Szesnastu Przywódców Polskiego Państwa podziemnego i dziejami Lwowa.

Ścisłe współpracował z Instytutem Historii Polskiej Akademii Nauk. Działał w Towarzystwie Miłośników Historii. Od początku lat siedemdziesiątych dosłownie do ostatnich chwil życia prowadził żywą działalność odczytową. W latach PRL, kiedy jeszcze wiele tematów z naszej historii było zakazanych, wygłaszał odczyty i referaty dla przewodników warszawskich (w PTTK), dla

miłośników historii (w TMH), dla młodzieży, w kościołach i podczas stanu wojennego na zamkniętych spotkaniach. Nie bał się poszukiwać prawdy i mówić głośno o sprawach skazanych na niepamięć. Niezależnie od okoliczności trzymał się zasady „róbmy swoje”. Mówił o powstaniu niepodległego państwa polskiego w 1918 roku, o wojnie polsko-sowieckiej, o Józefie Piłsudskim, Polskiej Partii Socjalistycznej i jej działaczach nurtu niepodległościowego, o zbrodniach NKWD w Polsce. O sprawach tych również pisał w drugim obiegu; wydał pod pseudonimem dwie książki oraz szereg artykułów.

Osobne miejsce w Jego działalności naukowej i popularyzatorskiej zajmował Lwów. Na temat historii grodu nad Półcią wygłosił cykl wykładów w sekcji kresowej PTTK w Warszawie na Starym Mieście. Miał referaty i odczyty w Gdańsku, Krakowie, Przemyślu, Wrocławiu, Nowym Jorku i we Lwowie (ostatni 1 lipca tego roku). Organizował sesje naukowe poświęcone Miastu Zawsze Wiernemu, m.in. na temat 325 rocznicy Uniwersytetu Jana Kazimierza oraz 75-lecia obrony Lwowa. W latach 1987–1995 prowadził Zespół Dziejów Lwowa. Uczestnicy owego seminarium zbierali się w salce przy kościele Św. Trójcy w Warszawie, a od października 1992 — w Instytucie Historii PAN. Podczas spotkań dyskutowano nad referatami dotyczącymi historii i kultury Lwowa oraz nad nowymi publikacjami. Artur Leinwand należał do grona współzałożycieli Oddziału Warszawskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa. Był członkiem kolegium redakcyjnego „Rocznika Lwowskiego” wydawanego w Warszawie od 1991 roku oraz członkiem Rady Kolekcji Leopoldis, jaka powstała przy Muzeum Niepodległości.

Niezamordowany w działaniach na rzecz swojego miasta, w pracy naukowej — mimo nieskrywanego sentymentu — starał się zachować umiar i obiektywizm. Rzetelność badacza (nie tylko dziejów Lwowa) ściśle łączyła się z rzetelnością człowieka. Był otwarty i prostolinijny; z najwyższym niesmakiem odnosił się do kłamstw i fałszerstw zarówno w nauce historycznej, jak i w życiu. Nie przywiązywał wagi do tytułów, stanowisk i zaszczytów. Uważał, że istnieją sprawy ważniejsze. Jednak cenił sobie dowody uznania i ludzkiej sympatii, jakimi czasem Go obdarzano. Za swoją działalność otrzymał Krzyż Obrony Lwowa 1939–1944. W maju br. harcerze z kręgu obrońców Lwowa 1939 roku przyjęli Go do swego grona jako członka honorowego.

Swoją pasją badawczą i uczuciem do Miasta zawsze Wiernego potrafił zarazić innych. Miał serdecznych, niezawodnych przyjaciół (lwowian z urodzenia i z wyboru), którzy dzielili z Nim te pasje. Był życzliwie nastawiony do świata, chętnie pomagał innym i robił to bez ostentacji.

W Jego życiu liczyła się przede wszystkim najbliższa rodzina i — właśnie Lwów. Kiedyś opowiadał swój piękny, pogodny sen. Śniło Mu się, że latał, a właściwie unosił się, nad Lwowem. Parę lat temu podczas pobytu w Stanach Zjednoczonych odwiedził sanktuarium Matki Boskiej Częstochowskiej w Doylestown. Jak potem opowiadał, do księgi z intencjami wpisał: „Powróć nas, Matko, do Lwowa”. Wrócił tam w ostatnich tygodniach życia, jakby specjalnie po to, by się pożegnać. Podróż ta objęła wszystko, co najważniejsze. Po raz ostatni zobaczył lwowski Rynek i miasteczko, w których mieszkał, najpiękniejszy w Polsce pomnik Mickiewicza i Cmentarz Orłat, był na mszy w Katedrze Łacińskiej, odwiedził Malechów i Zadwórze — pola bitew wojny polsko-sowieckiej 1920 roku, spotkał się z ludźmi. W drodze powrotnej obejrzał Żółkiew — miasto urodzenia Jego matki. Przyjechał ze Lwowa szczęśliwy.

Do końca pełen energii, pracował nad tym, co Mu najbardziej leżało na sercu. Ostatnie chwile spędził na naszym warszawskim, ale kresowym z ducha mieszkaniu, wśród książek i rycin Stamtąd. Pozostawił na biurku niedokończoną pracę. Nagle nasz świat opustoszał...

Aleksandra J. Leinwand

Przekazał pałeczkę w sztafecie pokoleń...

J. W. Wingralek

Miałem szczęście pracować z Panem Dyrektorem Józefem Bobrowskim na co dzień, a Opatrzność sprawiła, że właśnie we Lwowie. Po niemal półwiecznej bolszewickiej nocy przystąpiliśmy do odtwarzania jednego z najwspanialszych pomników polskości – Cmentarza Orłąt.

Pan Dyrektor miał wspaniały dar, którym obdzielał otoczenie – dar zjednywania dla sprawy, którą uważał za najważniejszą: przezwyciężanie i przywrócić nam i światu ten wspaniały, jakże wymowny dla narodu polskiego pomnik obrony, a nie agresji...

To dzięki Niemu my – edukowani w PRL fałszem narzuconym w interesie imperium moskiewskiego – wyraźniej dostrzegaliśmy wartość najcenniejszą: miłość Ojczyzny. Tu dopiero większość z nas uczyła się Historii. Bo przecież nie masz wspanialszej lekcji, jak przebywanie, rozmyślanie i praktyczne działanie w Miejscach, które świadczą o tej Miłości. I z takim Przewodnikiem.

Nie sposób wymienić wszystkich Miejsc, bo i Orłęta, i Powstańcy Listopadowi 1830/31, i Styczniowi 1863, i niezliczone mogiły Wielkich Polaków, którzy swą Miłość do Ojczyzny poświadczali trudem nie tylko szabli, pióra, pędzla, liry, „szkiełka i oka”, ale także znojem pracy najzwyczajszej...

Nie sposób także wymienić wszystkich potrzeb myśli i serca. I barier. A On potrafił mierzyć siły na zamiary. Choć nie raz był blisko załamania.

Tak niedawno jeszcze w baraku bazy „Energopolu” w Pasiebach, tuż przy południowej obwodnicy Lwowa, wsłuchiwałem się w słowa Pana Józefa... Słowa mądre, cierpliwe, życzliwe...

...i te, które z troską wskazywały na czekające Polskę przeobrażenia. Będąc świetnym ekonomistą podkreślał często: „... Polska już wkrótce musi odejść od sztucznej gospodarki, po prostu wróci do normalności, stąd czekające nas bankructwa państwowych przedsiębiorstw – molochów, zwłaszcza w przemyśle zbrojeniowym i innych pracujących na potrzeby imperium, powstanie też bolesny problem bezrobocia...”

...i te słowa skierowane do mnie po jakiejś napastliwej „burzy” naszej zwierzchności z Kobrynia: „... to, że my z »Energopolem« budujemy we Lwowie hale fabryczne czy budynki mieszkalne, będzie wcześniej czy później zapomniane, ale to, że ratujemy Orłęta, pozostanie w pamięci...”. Tę myśl, tak prostą i oczywistą – On przed nami odkrywał,

...i te związane z organizacją – po niemal pół wieku – uroczystości 11 Listopada 1988 r. w Teatrze Wielkim we Lwowie. Władze miejscowe, po wcześniejszej zgodzie, nagle zorientowały się, jakie to Święto – wycofały zgodę! To właśnie On postawił na swoim i uroczystość odbyła się. Trzeba było widzieć wtedy lwowiaków, aby przekonać się, jakie to było dla nich wydarzenie! I te słowa przekonujące, by rozszerzyć asekurancki repertuar Centralnej Orkiestry Wojska Polskiego, np. o pieśni legionowe. Nie udało się,

...i te słowa przy organizowaniu mnóstwa spotkań z lwowiakami, którzy Ziemi Ojczyściej nie opuścili. Zwłaszcza podczas pierwszego spotkania w stołówce „Energopolu”, gdy kochane Tajoko przynieśli swe gorące serca, śpiew z harmonią i wikt z kropelkami. I podczas klasycznych rozmów Polaków do rana... Wtedy padały już trwożne pytania: „A co będzie, gdy wy z »Energopolem« wyjedziecie”

...i te słowa poszukujące rozwiązań szczegółowych lub przy omawianiu sposobów i forteli dla pokonania niezliczonych trudności (m.in. aby uzyskać zgodę na remont wybranych grobowców. Pan Dyrektor został „krewnym” prof. Leona Pinińskiego, ja zaś –

prof. Władysława Abrahama...),

...i te podczas całodobowych, gorących dyskusji po wyjeździe międzyrządowej Komisji Polsko-Ukraińskiej tuż przed 20 maja 1989 r. Wbrew ustaleniom tej Komisji, bez zgody władz miejscowych rozpoczęliśmy prace na Cmentarzu Orłąt.

Cóż teraz czeka Orłęta bez Niego? Wszak pałeczkę przekazał! Tymczasem podpisany w grudniu 1994 r. protokół – pierwsza zgoda na rekonstrukcję (częściową) – nie jest realizowany! Prace miały być rozpoczęte na wiosnę, a już jest jesień! Opracowany projekt odbudowy utknął gdzieś we Lwowie. Znam realia „w tym temacie”.

Pożegnaliśmy Dyrektora Bobrowskiego na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie 13 września br. Wśród liczego grona żegnających profesorowi Andrzejowi Stelmachowskiemu łamał się głos: „... teraz pewnie witają Ciebie Twoje Orłęta”.

W Montrealu w dniu 8 lipca br. zmarła lwowianka, wdowa po gen. Wacławie Stachewicz, córka profesora Uniwersytetu Lwowskiego Władysława Abrahama i siostra Obrońcy Lwowa gen. Romana Abrahama.

śp. Wanda Stachewiczowa

Wielką i znaczącą pracą dla Polski, Lwowa i Polonii w Kanadzie zasłużyła na naszą wdzięczność i pamięć.

Z.O.

25 lipca 1995 r. w Warszawie w pełni sił twórczych odszedł od nas

śp. prof. dr hab. Artur Leinwand

historyk, więzień Sybiru, lwowianin, popularyzator problemów Lwowa i Kresów. Cześć Jego pamięci.

Z.O.

8 września br. zmarł

śp. mgr Józef Bobrowski

były dyrektor Energopolu we Lwowie, niezapomniany opiekun środowiska polskiego we Lwowie. Ogromne zasługi w odbudowie cmentarza Obrońców Lwowa zapisały się złotymi zgłoskami w sercach Lwowian. Odszedł Człowiek wielkiej skromności i szlachetności odznaczony m.in. Krzyżem II Obrony Lwowa. Cześć Jego pamięci.

Red.

Środowiska kresowe poniosły dotkliwą stratę — zmarł 23 września br. we Wrocławiu

śp. mgr Leszek Wierzejski

urodzony 24 lipca 1929 r. w Stanisławowie, znawca i popularyzator wiedzy o swym rodzinnym grodzie Stanisławowie, członek redakcji Wrocławskiej Gazety Polskiej. Zmarły był wielokrotnym organizatorem zjazdów Stanisławian i wyjazdów z pomocą charytatywną na ziemię rodzinną.

Cześć Jego pamięci.

Red.



Dom Wypoczynkowo-Sanatoryjny Naczelnej Rady ZPHiU w Warszawie „Leśna Polana” w Krynicy przy ul. Świdzińskiego 37, tel. 0-18-71-56-31 udzieli około 50% zniżki dla zorganizowanych grup emerytów oraz wycieczek szkolnych w okresie pozasezonowym (turnusy 1-, 2-, 3-tygodniowe).

Pensjonat posiada:

- 50 miejsc noclegowych w 2-, 3-, 4-osobowych pokojach;
- salę konferencyjno-telewizyjną;
- kawiarnię z salą dyskotekową;
- pomieszczenia zabiegowe;
- domową kuchnię - 3 posiłki smaczne i obfite.

Na miejscu można korzystać, po konsultacji lekarskiej, z następujących zabiegów:

- diatermia
- diadynamik
- salux
- inhalacje indywidualne
- kąpiele 4-komorowe
- kąpiele perłkowe
- kwarcówka
- masaże lecznicze

> w cenie skierowania

> odpłatnie

Pozostałe zabiegi w Zdroju, za jednorazową opłatą 15,00 zł za całość kuracji (odcinek renty):

- możliwość urządzania ogniska,
- możliwość korzystania z wycieczek krajoznawczych autokarowych i na Słowację (paszport),

„Leśna Polana” serdecznie zaprasza!

CONTENTS

p. 1 — Danuta Nespiak	Leader article on Lwow into ruin under present Ukrainian administration.
p. 2 — Jerzy Masior	Unforgettable climate of the pre-war Lwów Corso.
p. 3 — Władysław Filar	Criminal operations of Ukrainian bands against Polish population in the South-East Borderland during the World War II.
p. 6 — Władysław Śledziński	Home Army Forest Squads in the light of documents dug out after 50 years.
p. 7 — Jan Kielanowski	Slaughter of Poles kept imprisoned by the Soviets in Lwów when the latter were retreating at the beginning of German-Soviet war. The number of victims reached up to 5000.
p. 8 — Stanisław Mitraszewski	Bulletin of the Chief Council of the Federation of Borderland Organizations concerning the way of collecting funds for restorations of the Eaglets Cementary in Lwów.
p. 9 — Rev. Józef Wołczański	The Bishopic — on the Rev. Dr Bolesław Twardowski, the Archbishop of Lwów (continued).
p. 12 — Szczepan Świątek	Recollections of Andrzej Dunin, a Lwów bank clerk, on the feelings of Polish intellectuals from the outbreak of war on 1st September 1939 to April 1940.
p. 13 — Izabella Czermakowa	The house on Krasuczyn (continued)
p. 15 — Ludwika Castori-Dąbrowska	My lovers — recollections of the theatre life in Lwów before and during the war.
p. 18 — Zbigniew Himle	„Tłoka” — a poem of the Huculland (Hutsulland)
p. 19 — Danuta Fakowska	An excursion to the Huculland (Hutsulland).
p. 20 — Angela Sołtys	Collection of works of art from the Podhorce Pallace being exhibited at the Tarnów Regional Museum.
p. 22 — Mieczysław Buziewicz	The Society in Commemoration of Galician Jews has come into being at Lesko. On 30th June 1995 an exhibitions devoted to Galician Jews — citizens of Poland was opened in the Lesko synagogue.
p. 26 — Ivan Monolatiy	119 nameless Polish graves in the cementary at Kołomyja.
p. 26 — Eugeniusz Tuzow-Lubański	Polemics with Bogdan Horyń concerning Ukrainian-Polish relations.
p. 27 — Bronisław Szeremeta	Polemics with Prof. Jerzy Węgierski.
p. 28 — Janina Augustyn-Puziewicz	My response to dr. Masior...
p. 29 — Leszek Sawicki	Books about Lwów — Lwów in books.
p. 30 — Janusz Wasylkowski	In the Lwów Cathedral.
p. 30	Patriotic ceremony in Głubczyce.
p. 31 — Zbigniew Grata	Brody citizens together again.
p. 32	Letters to the Editors.
p. 33 — Halina M.	Polish scouts from Ukraine at the camp in Poland.
p. 35	Memories of lately dead persons — former citizens of Lwów.

Numer został wydany z opóźnieniem spowodowanym zmianą redakcji technicznej i miejsca druku. Bardzo przepraszamy Szanownych Czytelników.

Redakcja.

Lista Ofiarodawców

w lipcu i sierpniu 1995 r.

1. Tadeusz Feczko, Przemyśl	10,-	15. Monika W. Urbanowska, Łódź	15,-	29. Lesław Mossakowski, Zakopane	50,-
2. Danuta Bolanowska, Łódź	20,-	16. Wojciech Podolecki, Kielce	10,-	30. Stanisław Królikowski Zabrze	10,-
3. Edward Adles, Kraków	3,- 3,-	17. W. A. Podoleccy Kielce	10,-	31. Zofia Tadeusz Krzyśków, Bytom	20,-
4. Adam Pobóg-Spolski, Niemcy	25,-	18. Józef Wojciechowski, Legnica	10,-	32. Grażyna Stankiewicz, Bydgoszcz	5,-
5. Irena M. Thiel, USA	4692,-	19. Stanisław Mossoczy, Bielsko-B.	20,-	33. Tadeusz Świętnicki, Przemyśl	10,-
6. Ireneusz Chojnacki, Łódź	20,-	20. Henryk Walendowski, Poznań	30,-	34. Teresa Kordec, Warszawa	24,-
7. Andrzej Hanuszewski, Pyskowice	60,-	21. Irena Braun, Sanok	100,-	35. Z.T. Marciński, Anglia	37,-
8. Stefania Rurek, Jasień	10,-	22. Janina i Roman Chrzastowsy,		36. Jerzy Stokłosa, Ostrowiec	
9. Józef Rajski, Łódź	15,-	Katowice	20,-	Świętokrzyski	20,-
10. Naczelna Rada Zrzeszeń Prywatnego		23. Marek Choiński, Kazimierza Włka	10,-	37. TML i KPW, Bolesławiec	1000,-
Handlu i Usług, Warszawa	50,-	24. Wanda Klimkowicz, Przemyśl	10,-	38. Józef Joanna Starzecy,	
11. Andrzej Niesiołowski, Warszawa	10,-	25. Prof. dr Artur Hutnikiewicz, Toruń	300,-	Wrocław	10,- + 10,-
12. Jerzy Wolańczyk, Rokietnica	34,-	26. Janina Blum, Wrocław	10,-	39. Stanisław Piela, Rzeszów	10,- + 10,-
13. Bronisław Suchecki, Wrocław	10,-	27. Stanisław Tarnawski, Poznań	10,- + 10,-	40. Maria Żurowska-Gangi, Toruń	5 + 5,-
14. Prof. dr Stanisław Tabin, Lublin	15,-	28. Władysław Nowicki, Koźuchów	6,-	41. TML i KPW, Jasło	55,10

Wszystkim Szanownym Ofiarodawcom składamy serdeczne podziękowania

Od wydawcy

- Dla polskich dzieci za wschodnią granicą Fundacja Kresowa „Semper Fidelis” organizuje akcję gwiazdkową. Przyjmowane są datki, dobrze zapakowane paczki z niepsującą się żywnością, z dobrą odzieżą, zabawkami i butami dla dzieci i młodzieży. Do paczek prosimy wkładać życzenia świąteczne, zaś na zewnątrz prosimy zaznaczyć wiek i płeć dziecka. Paczki przeznaczone są dla głodujących, biednych dzieci polskich za wschodnią granicą. Przyjmowane będą w siedzibie TML i KPW we Wrocławiu przy ul. Ruskiej 32/33, I piętro codziennie oprócz sobót i świąt w godz. od 11⁰⁰ do 16⁰⁰.
- Fundacja Kresowa Semper Fidelis wydała kalendarz na 1996 r. z widokami z pocztówek Kresów Południowo—Wschodnich. Nabyć go można w siedzibie Towarzystwa, w księgarniach Ossolineum i w naszych Klubach i Oddziałach. Warto kupić!
- Zawiadamiamy, że prenumerata na dwumiesięcznik „Semper Fidelis” na 1996 rok będzie wynosiła 18,00 zł,
„Gazety Lwowskiej” — 15,00 zł,
„Dziennika Kijowskiego” — 15,00 zł.
- Prosimy wszelkie wpłaty (a szczególnie wdzięczni będziemy ze wsparcie pieniężne naszej działalności) kierować na konto bankowe Fundacji PKO IV Oddział Wrocław Nr 93549-10012-132-3. Osoby chcące odnowić rodzinne groby na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie, proszone są o porozumienie się z Fundacją. Będziemy na ten cel organizować zbiórki pieniężne na cmentarzach w czasie świąt zmarłych. Uważamy, że po ratowaniu polskich nekropolii na Powązkach, Rosie przyszedł czas na jedną z najstarszych i najpiękniejszych nekropolii, jaką jest cmentarz Łyczakowski we Lwowie. Wasze wsparcie przyczyni się do udzielenia pomocy przez nas innym. Dziękujemy!

W imieniu Zarządu Fundacji
Dyrektor
mgr Danuta Tabińska-Juhasz